

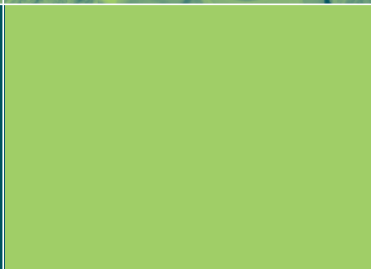


Polska, Czechy,
Słowacja,
Niemcy Wschodnie,
Ukraina

1989 
EUROPA NA DRODZE PRZEMIAN



Kobiety w czasach przełomu 1989-2009



Polska, Czechy,
Słowacja,
Niemcy Wschodnie,
Ukraina



Kobiety w czasach przełomu 1989-2009

Publikacja przygotowana w ramach regionalnego programu „Demokracja płci/Polityka kobiet”

Koordynacja: **Agnieszka Grzybek, Agnieszka Mrozik**

Redakcja i korekta: **Agnieszka Grzybek**

Projekt graficzny: **Studio 27**

Publikacja wydana przez Przedstawicielstwo Fundacji im. Heinricha Bölla w Polsce
Warszawa, listopad 2009.

Treści zawarte w tej publikacji odzwierciedlają wyłącznie opinie ich autorek, natomiast nie prezentują oficjalnego stanowiska Fundacji im. Heinricha Bölla.



Projekt wspierany przez Unię Europejską: dofinansowywanie organizacji działających na poziomie europejskim na rzecz aktywnego społeczeństwa europejskiego.

ISBN: 978-83-61340-36-2

Copyright by Przedstawicielstwo Fundacji im. Heinricha Bölla
Wszelkie prawa zastrzeżone

Publikacja dostępna na stronie:
www.boell.pl

Przedstawicielstwo Fundacji im. Heinricha Bölla

ul. Żurawia 45,

00-680 Warsaw, Poland

phone: + 48 22 59 42 333

e-mail: hbs@boell.pl

Spis treści

Agnieszka Rochon, Agnieszka Grzybek Wstęp	6
---	---

1. Polska

Bożena Umińska-Keff Odzyskać traktory	14
---	----

Agnieszka Graff Gdzie się podziała baba na traktorze i cyniczny twardeł? O bezpowrotnie utraconej genderowej niewinności	28
---	----

Sylwia Chutnik Transformers, czyli przemiany w Polsce w oczach trzydziestolatki ...	39
--	----

2. Czechy

Petra Hůlová Szczęście bez Seana Connery	56
--	----

Jiřina Šiklová Kobiety i transformacja – przykład czeski	69
---	----

Kateřina Jacques Czekając na aksamitną rewolucję kobiet	79
--	----

3. Słowacja

Jana Juráňová

O tym, jak przeszłość jest wciąż
obecna w naszej teraźniejszości 100

Anna Grusková

Powiedzcie Zsófi i innym... 111

Ľubica Kobová

Feminizm jako praktyka wolności 124

4. Niemcy Wschodnie

Rita Pawlowski

Nie da się stworzyć państwa bez
kobiet! Niemieckie doświadczenia
transformacji 1989-1990 140

Jana Simon

Moja pechowa włoska biografia 147

Mirjam Hirsch

O transformacji, czyli
o niepodważalnej kategorii
zachodniej na przykładzie
postkomunistycznych Niemiec 157

5. Ukraina

Natalka Śniadanko

Być czy uważać się za...,
czyli o niepopularności
feminizmu w Ukrainie 170

Tania Malarczuk

Jedzenie i picie 182

O Autorkach 193

**Kobiety
w czasach
przełomu
1989-2009**

Polska, Czechy,
Słowacja, Niemcy
Wschodnie,
Ukraina

Wstęp

Dwudziestolecie przełomu roku 1989 skłania do rocznicowych podsumowań. Zbliżający się ku końcowi rok 2009 był wypełniony intensywną debatą o osiągnięciach i porażkach, sukcesach i straconych szansach minionych dwóch dekad, bardzo często mającą – w krajach byłego bloku wschodniego – charakter rozliczeniowego domykania historii. Wobec intensywności nagłaśnianych medialnie sporów o hierarchię wydarzeń i symboli (polski Okrągły Stół *versus* upadek muru berlińskiego) i skład „listy zasłużonych” (czy i dlaczego powinni się na niej znaleźć Wałęsa albo Gorbaczow), zarówno rola i znaczenie kobiet w wyda-

rzeniach roku 1989, jak i ich doświadczenia w dwudziestoleciu transformacji stanowią w oficjalnym rocznicowym dyskursie wątek marginalny.

Pomimo dwudziestu lat demokratycznej transformacji kobietom nie udało się w sferze życia publicznego zniwelować na tyle dzielącego je od mężczyzn dystansu, aby ich głos w debacie publicznej był wyraźnie słyszany – a ponadto ocena minionych dwóch dekad z perspektywy kobiet nie do końca wpisuje się w klimat rocznicowego święta. Jest bowiem pewnym paradoksem, że dla kobiet z krajów byłego bloku wschodniego odzyskana w roku 1989 wolność wiązała się często ze znacznym ograniczeniem praw ekonomicznych, socjalnych i reprodukcyjnych. Cięcia kosztów socjalnych, a tym samym związanych z macierzyństwem uprawnień z okresu realnego socjalizmu, czy też restrukturyzacja dużych zakładów przemysłowych najboleśniej uderzyły w kobiety. Szczególnie w początkowym okresie przemian kobiety – postrzegane przez pracodawców jako obciążony opieką nad dzieckiem i obowiązkami domowymi mało dyspozycyjny „pracownik gorszej kategorii” – doświadczyły masowego bezrobocia i feminizacji ubóstwa. Mimo zaangażowania w demokratyczną opozycję i ruch dysydencki, po 1989 roku kobiety zostały także wykluczone z udziału we władzy i relegowane do sfery prywatnej. Renesans przeżywał dyskurs prawicowy postrzegający kobietę wyłącznie przez pryzmat wspólnoty, jako strażniczkę wartości rodzinnych. We wszystkich postsocjalistycznych krajach środkowoeuropejskich, choć z różnym natężeniem i skutkiem, przetoczyła się debata w sprawie prawa do przerywania ciąży. W Polsce zakończyła się ona przyjęciem w 1993 roku restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej, której zapisy pozwalające na aborcję w skrajnych przypadkach, nie są przestrzegane w publicznych placówkach opieki zdrowotnej. Śmiało można zaryzykować tezę, że mimo rozbudzonych oczekiwań aktywne obywatelstwo kobiet zostało w praktyce ograniczone¹. W minionym dwudziestoleciu pojawiło

¹ Świetną analizę pierwszych lat przemian w Polsce, ówczesnej Czechosłowacji i na Węgrzech stanowi praca brytyjskiej socjolożki Barbary Einhorn, *Cindarella Goes to Market. Citizenship, Gender and Women's Movement in East Central Europe*, London-New York 1993.

się, co prawda, wiele organizacji kobiecych, które zwracają uwagę opinii publicznej na dyskryminację kobiet, starają się nagłaśniać rażące przypadki łamania praw kobiet i prowadzą na różną skalę kampanie uświadamiające, nie powstał jednak masowy ruch kobiet. Nie zrodziło się poczucie wspólnoty interesów.

Kongres Kobiet Polskich, który odbył się w Warszawie w dwudziestą rocznicę pierwszych prawie wolnych wyborów do Sejmu, jest – przynajmniej w kontekście polskim – wartym uwagi odstępstwem od tej reguły. Zorganizowany z oddolnej inicjatywy kongres, który mimo różnic połączył środowiska kobiece i zgromadził ponad trzy tysiące kobiet gotowych do wypracowania wspólnej platformy wymiany doświadczeń i stworzenia pozytywnego programu działań, zasługuje na szczególne uznanie i jednocześnie podkreśla potrzebę dostrzeżenia i uznania kobiecego doświadczenia i roli, jaką kobiety odegrały w przemianach.

Próżno bowiem dziś szukać całościowego, analitycznego ujęcia sytuacji kobiet w ostatnim dwudziestoleciu, które próbowałoby odpowiedzieć na pytanie, jak kobiety wpłynęły na transformację i w jaki sposób transformacja wpłynęła na ich położenie. W minionych latach powstało wprawdzie kilka raportów poświęconych przemianom społeczno-ekonomicznym, uwzględniających perspektywę równości płci, ale istniejące analizy są fragmentaryczne i rozproszone². Ponadto brakuje prac odśladających indywidualne doświadczenia kobiet z różnych miejsc regionu, wyrażonych przez nie same.

Wobec deficytu debaty publicznej na temat roli kobiet w okresie przemian, publikacja Przedstawicielstwa Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie podejmuje próbę wielowątkowego dialogu o doświadczeniach transformacji, oddając głos kobietom. Autorki publikacji oceniają minione dwudziestolecie reform z punktu widzenia kobiet z byłych krajów bloku wschodniego: Czech, Polsk, Słowacji, Ukrainy i w dawnym NRD – i na tym tle – z perspektywy osobi-

² Por. np. *Płeć a możliwości ekonomiczne kobiet w Polsce: czy kobiety straciły na transformacji?*, Bank Światowy, Warszawa 2004.

stych doświadczeń. Publikacja stanowi zarazem platformę międzypokoleniowego dialogu, albowiem autorki reprezentują różne pokolenia: pokolenie kobiet, których dorosłe życie rozpoczęło się na długo przed rokiem 1989, pokolenie kobiet, których dorosłość rozpoczęła się wraz z przełomem, oraz kobiety, które wcześniejszego okresu nie znają już z własnego doświadczenia. Wśród autorek są pisarki (m.in. Bożena Umińska-Keff, Petra Hůlová, Natalia Śniadanko, Sylwia Chutnik, Jana Jurášová), badaczki feminizmu (na przykład Agnieszka Graff, Jiřina Šiklová czy też Mirjam Hirsch), dziennikarki (Rita Pawlowski, Jana Simon), które łączą pracę pisarką czy dziennikarską z zaangażowaniem w ruch kobiecy. W publikacji przeplatają się teksty osobiste z bardziej teoretycznymi rozważaniami, zaś teksty literackie stanowią niejednokrotnie dopełnienie bardziej obiektywnych prób opisu minionych dwudziestu lat.

W ocenie autorek publikacji odzyskana po przełomie roku 1989 wolność ma często gorzki posmak rozczarowania, choć świadomość traconych szans przyszła z czasem: „Dwadzieścia lat temu nie byłam specjalnie naiwna, ale jednak w roku 1990 uważałam, że feminizm dość szybko może się stać wiodącą ideą dla kobiet, bo przecież nadchodzi pluralizm idei politycznych i związana z nim możliwość artykułowania własnego interesu politycznego, więc czemu kobiety miałyby tego nie zrobić?” – pisze w swoim eseju Bożena Umińska-Keff – dodając, że w następnych latach zamiast pluralizmu nastąpiło skostnienie i wyrównanie wszystkiego konserwatywnym walcem, zaś wyzwolenie od „czerwonego” okazało się – paradoksalnie – wyzwoleniem od idei emancypacyjnych. Jana Jurášová, współzałożycielka ASPEKTU, pierwszej feministycznej organizacji słowackiej, długoletniej partnerki Fundacji im. Heinricha Bölla, wspomina, że w pierwszych latach transformacji zarzucano jej samej i jej koleżankom, że upominając się o prawa kobiet, marnują swoje siły na problemy, które nie są tak ważne, jak obrona demokracji. W dyskursie o kierunku przemian feministkom trudno było się przebić z przekonaniem, że demokracja bez kobiet nie jest prawdziwą demokracją i w tym kontekście udział kobiet jest wyznacznikiem jej jakości.

Rita Pawłowski pisze o trudnych relacjach dzielących środowiska kobiece w zjednoczonych po upadku muru Niemczech. Młode feministki z obszaru byłego NRD, twierdząc, że „bez kobiet nie da się stworzyć państwa”, energicznie włączały się w jego budowanie, zakładając Niezależny Związek Kobiet (Unabhängiger Frauenverband), stojący w krytycznej opozycji do Demokratycznego Związku Kobiet w Niemczech (Demokratischer Frauenbund Deutschland) – postsocjalistycznej organizacji, o której przetrwanie walczyły ich matki, próbując znaleźć dla siebie miejsce w nowym świecie. Tekst Rity Pawłowski, niepozbawiony samokrytycznej refleksji, skłania do porównań rozwoju ruchów kobiecych w postsocjalistycznych krajach i postawienia sobie pytania, na ile „państwowym” organizacjom kobiecym udało się przededefiniować swoją rolę, czy i jak funkcjonuje współpraca środowisk kobiecych o odmiennym rodowodzie – oraz – czy współpraca postsocjalistycznych organizacji z powstałym po 1989 roku ruchem kobiecym zwiększyłaby efektywność równościowych działań? Tekst Kateriny Jacques, przedstawicielki czeskiej partii Zielonych (Strana Zelených), podejmuje ocenę wpływu organizacji kobiecych na politykę. Jacques pisze o trudnościach we współpracy między polityczkami a organizacjami kobiecymi, które za wszelką cenę starają się pozostać „politycznie bezstronne” i apartyjne, częstokroć jednak wklajają się w sprzeczności wynikające stąd, że „kwestię płci stawiają ponad treść pracy politycznej” i tylko pod tym kątem oceniają czyjąś działalność polityczną, nie biorąc pod uwagę reszty politycznej agendy.

Przedstawiona w publikacji w dużej mierze krytyczna ocena demokratycznej transformacji z perspektywy kobiet nie jest jednak pozbawiona akcentów pozwalających z optymizmem spojrzeć w przyszłość. Zdaniem Jiřiny Šiklovej, czeskiej socjolożki, sygnatariuszki Karty 77 i założycielki legendarnych Gender Studies w Pradze, pierwszej feministycznej organizacji w Republice Czeskiej, kobiety w Czechach startowały w roku 1989 z poziomu zerowego, obecnie zaś – jeśli chodzi o „rozwój ruchu kobiecego, feminizmu i genderowego podejścia do kwestii społecznych”, Czechy dorównują większości państw Unii

Europejskiej. Agnieszka Graff, w oparciu o kilkunastoletnią obserwację tendencji w dyskursie politycznym, dochodzi do wniosku, że mimo iż „w sferze faktów jest kiepsko”, to jednak w ciągu ostatnich lat „nastąpiło coś, co można nazwać utratą zbiorowej niewinności genderowej”. Temat płci mocno się upolitycznił: w dyskusji o kwestiach płci przestano dowcipkować, rzucać bon motami, powielać zasłyszane klisze, natomiast zaczęto się spierać i dzielić. O roli kobiety dyskutują lewicowi i konserwatywni politycy, wychodząc z tego samego założenia, że kobiety są dyskryminowane, tyle że proponują zupełnie różne recepty na wyjście z impasu. Dwadzieścia lat po przełomie roku 1989 publiczna debata o równości płci nie prowadzi jeszcze do spektakularnych zmian, niemniej jednak nabiera treści.

Agnieszka Rochon,

dyrektorka Przedstawicielstwa

Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie

Agnieszka Grzybek,

koordynatorka Programu Regionalnego

„Demokracja płci/ Polityka kobiet”

1.

Polska

Odzyskać traktory

Bożena Umińska-Keff

Bolszewickie perszerony

W *Świecie bez kobiet*, książce wydanej w 2001 roku, która jest pierwszą większą próbą analizy genderowej Polski po transformacji, Agnieszka Graff pisała:

„(...) zryw wolnościowy, jakim była „Solidarność”, stanowił na planie symbolicznym akt przywrócenia porządku patriarchalnego, który system totalitarny zaburzył. Tak jak komunizm stał się w zbiorowej nieświadomości okresem *Seksmisji*, tak wyjście na powierzchnię stanowiło moment odzyskania męskości, odcięcia obmierzłej pępownicy”¹.

Trafne zdanie, tyle że nie trzeba było „przywracać porządku patriarchalnego”, bo w czasie PRL-u nie groził mu żaden istotny wstrząs. Natomiast po upadku PRL należało **usunąć** demokratyczne w istocie korekty dotyczące płci, które socjalizm realny (nie komunizm, bo takiego ustroju nigdy nie było) wniósł do praktyki społecznej, będąc skoliigacony – ach, siódma to woda po kisielu – z zestawem emancypacyjnych i lewicowych idei społecznych.

Z jakiegoś powodu najchętniej przywoływaną ikoną komunistycznej dewiacji związanej z płcią i nachalnym wyzwalaniem kobiet (czyli zniewalaniem ich do obcego wzorca) stały się traktorzystki. Historycznie rzecz biorąc, chodzi o fotografie i filmy z początku lat pięćdziesiątych, o okładki pism dla kobiet, na których pojawiały się nowe bohaterki socjalizmu – ale i nowe bohaterki modelu genderowego – młode kobiety na traktorach, często przodowniczkami pracy, wymieniane wtedy z imienia i nazwiska, często podawano też wieś, w której pracowały i mieszkały. Wyobrażam sobie, że dla wielu młodych kobiet były atrakcyjne jak gwiazdy filmowe i pobudzały wyobraźnię, bo reprezentowały nowy model kobiecości. Powrót „normalności”, jak zauważała Agnieszka Graff w *Świecie bez kobiet*, polegać miał na tym, żeby symbolicznie ściągnąć kobiety z tamtych traktorów (ale tylko z tamtych) i postawić je tam, gdzie tradycyjnie ich miejsce, np. przy kuchni. Gdzie i tak stały. Także wtedy, kiedy wracały do domu

¹ A. Graff, *Świat bez kobiet*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2001, s. 26.

po pracy na traktorze, bo nie propagowano w PRL-u żadnego wzorca realnej równości płci. Więc czemu te traktory z początku PRL tak złością i gorszą tradycjonalistów i prawicę do dziś? Przecież gdyby to byli traktorzyści, nikt by o nich dziś nie pamiętał. I nie pamięta.

A zatem przyjrzyjmy się sprawie.

Traktory to technika, postęp cywilizacyjny, więc siła i niezależność, czyli kulturowo męskie atrybuty. Traktor to kontrola natury i władza nad nią. Traktor ponadto trzeba umieć obsługiwać, jest to umiejętność techniczna, i potem już traktor jedzie, a jadąc, oddala się od domu, bo na pewno nie należy do sfery wewnętrznie domowej. (W końcu obsługa pralki nie budzi żadnych sprzeciwów, ale pralka stoi w domu i nie oddala od niego kobiety, a może nawet odwrotnie, nie mówiąc już o tym, że pierze rzeczy męża pod okiem żony, czyli tradycyjnie). Choć z drugiej strony traktor nie jest samochodem terenowym, daleko nie odjedzie, i w sumie jest bezpieczny. Z kolei jako narzędzie postępu technicznego jest swego rodzaju bronią, środkiem władania nad zasobnością i środowiskiem. Tymczasem kobieta według schematu kultury i religii to bierność, zależność i miła głupota. Technika daje poczucie sprawczości, władzy nad środowiskiem i produkcją. Bardzo męskie atrybuty.

Dla prawicy z kolei jedyną kobiecą produkcją jest produkcja dzieci, usług i odtwarzanie przez to tej właśnie hierarchii, na dole której stoi kobieta. W sferze wspólnoty jej nie ma lub jest postacią pomocniczą: ugotuj, zabandażuj, sprzątnij. Ale nie żeby zaraz: zaoraj pole. Oranie pola to męskie zajęcie, to wyraz władania zasobami, wyraz posiadania zasobów. Męska władza nad kobiecą płodnością ziemi. Kiedy kobieta siedzi na traktorze, płodność ziemi dostaje fioła i nie wie, gdzie ma przynależeć w sensie symbolicznym. To dopiero jest *Seksmisja*, produkcja płodności i płodów bez pomocy fallusa.

A dalej – traktor nie ma konotacji narodowych, nie ma w nim nic specyficznie polskiego, więc tym bardziej jest komunistyczny i wrogi. W każdym razie wtedy, kiedy siedzi na nim kobieta. Tę kobietę na traktorze prawicowe i tradycyjne oko może widzieć jako „naszą” kobietę, kobietę naszego plemienia, uwiedzioną czy porwaną przez bolszewika i wsadzoną na ich konia.

(Ciekawe, jakie tu dalsze mogą być konotacje psychoseksualne, zważywszy, że ten koń był dla kobiet całkiem atrakcyjny. Wiele chciało być traktorzystkami i wiele nimi było. Oczywiście, powie się dziś, że traktor jest jak perszeron, pociągowy koń bez gracji, zresztą mechaniczny i rykliwy, podczas gdy nasz, polski, jest namiętny i galopuje jakże elegancko; kto wie, czy ten bolszewicki to w ogóle nie kobyła?

Nie, oczywiście, to już by było nie w duchu epoki, ale kto w końcu wiedział, jakiej płci jest kobieta na traktorze?)

Robiąc niedawno zakupy w Carrefourze przyjrzałam się osowiałej pani jadącej na wielkiej maszynie do czyszczenia podłogi. Oczywiście, jest rok 2009, a nie 1949, więc kobieta w tej sytuacji nie dziwi. Ale też wiadomo, że jedzie ona w swojej sprawie, w sprawie swojego zarobku i jej społeczne znaczenie jest mniej więcej takie, jak każdej sprzątaczkii czy sprzątacza, nawet jeśli mają wielkiego mechanicznego mopa. Tymczasem traktorzystka była – co nietypowe dla kobiety – w centrum życia wspólnoty, w centrum życia społecznego. Jej obecność na traktorze była obecnością **kobiety** w życiu społecznym – nie w przestrzeni prywatnej, tylko społecznej, i nie była obecnością pomocniczą czy służebną, ale sprawczą. Bardziej nawet niż murarki na budowach, bo te nie były wyposażone technicznie, i często zarządzał nimi majster mężczyzna², podczas gdy traktorzystki same zarządzały swoim traktorem, który wtedy, w zafowanej technicznie Polsce, nie był czymś powszechnym. Był nowością, znakiem postępu, rozwojem, osiągnięciem. Swego rodzaju mercedesem. Powszechne były wtedy konie.

Dlatego w całej tej przed- i bezrefleksyjnej drwinie z tamtego emancypacyjnego wizerunku nigdy nie chodziło o rzeczywistość – o to, że kobiety miały do traktorów w końcu nie za duży dostęp, że ta praca bywała dla kobiet bardzo atrakcyjna i podnosiła ich samoocenę, że jednak prowadzenie traktora jak na prace rolnicze jest stosunkowo lekkie, więc nadaje się dla kobiet, które na Zachodzie czy w USA prowadzą i prowadziły maszyny rolnicze, i że legenda mówiąca, że kobie-

² Omawia to na przykładzie socrealistycznych wizerunków Ewa Toniaik [w:] *Olbrzymki. Kobiety i socrealizm*, Korporacja Ha!Art, Kraków 2008, s. 103-120.

tom to szkodzi, jest tylko legendą. Szkodzi tylko w pierwszym trymestrze ciąży, natomiast podobno jako praca permanentna źle wpływa na męską płodność, bo podgrzewając i trzęsąc stale workiem mosznowym, osłabiała plemniki.

Węc kobieta na traktorze oburza nie jako zestaw faktów, ale jako symbol, oczywiście, jako uzurpacja, sięganie po to, co absolutnie męskie. I z dzisiejszej perspektywy można uniewinnić kobiety – są w końcu, jak wiadomo, podatne na męskie manipulacje (co pokazuje także wspomniana *Seksmisja*), winni są komuniści, obcy, nie polscy i nie katoliccy manipulatorzy. To oni sprawili, że subwersywny obraz nabrał popularności – i był tym, czym pozycja „odwrotna” w powieści *Konopielka* Redlińskiego. Akcja, przypomnę, toczy się na Polesiu, w odciętych od świata bagnach po II wojnie, we wsi, do której pierwszy raz przybywa nauczycielka założyć szkołę i uczyć dzieci. Tę nauczycielkę gospodarz, u którego zamieszkała, podejrzwał kiedyś, jak ze swoim partnerem uprawiała seks – mężczyzna na dole, nauczycielka na górze! Gospodarz niemal dosłownie zobaczył świat na opak, i ta pozycja była jak symbol zapowiadający koniec ładu dotychczasowego świata, przez negowanie jego podstawowych podziałów, które są filarami porządku. Kobiece i męskie, słabsze i dominujące, kobieta pod, mężczyzna nad. Ciekawe, że gospodarz z Polesia sam stopniowo przeszedł na stronę tych nowości, włączył w swój obraz świata nowe elementy.

Jednak dla prawicy i polskich katolickich konserwatystów nie ma mnogich porządków – „tego porządku” i nowego porządku, bo „ten porządek” nie ma alternatywy. „Ten” jest porządkiem, kropka. W tym sensie prawica zawsze jest autorytarna, bo możliwy jest dla niej jeden jedyny porządek, który uważa za naturalny, dany i wieczny, którego strzeże.

Wracając do tematu głównego: o tyle więc, o ile transformacja w Polsce szła w kierunku demokratycznym, obywatele Polski zyskali pewne swobody. Swobodę (pewnych) wyborów politycznych, wypowiedania się (coraz bardziej w pewnych granicach), poruszania się, zatem i swobodnego opuszczania ojczyzny, i inne, których lekceważyć nie należy. Obywatele, czyli my, mężczyźni i kobiety.

Lecz o tyle, o ile transformacja w Polsce była dziełem ludzi, którzy nie mieli w praktyce do czynienia z porządkiem demokratycznym i rozumieli go czasami powierzchownie lub anachronicznie (dobrym przykładem jest sam Wałęsa), a dodatkowo cały ruch „Solidarności” związany był z ludźmi i ideami Kościoła, który jest strukturą hierarchiczną, sztywną i opartą na posłuszeństwie, a nie dyskusji – o tyle obywatele pewne swobody stracili. Zwłaszcza obywatelki kobiety, bo wyzwolenie się od „czerwonego” było też wyzwoleniem się od idei emancypacyjnych. Ponadto odcięcie się od jakiegokolwiek tradycji lewicowej, którą w latach dziewięćdziesiątych reprezentowali jeszcze na przykład Jacek Kuroń i Zofia Kuratowska, a potem już nikt ze strony „Solidarności”, było zabójcze. Solidarnościowa i postsolidarnościowa propaganda perswadowała ludziom, że to, co jest dobre dla Kościoła, jest też dobre dla nich, bo mamy tu zbieżność interesów i celów. „Państwo to ja” , powiedział wtedy niejako Kościół katolicki w Polsce. Ale takiej zbieżności nie było i nie ma.

Rozumienie własnego interesu politycznego jest jednak powiązane z indywidualizmem, którego niemal nie ma w polskiej tradycji, a indywidualizm z kolei wiąże się z poczuciem szacunku dla siebie i dla własnej **tożsamości, jakakolwiek by nie była, jako że jest ludzka i moja**. Na obie te postawy, na indywidualizm i szacunek dla własnej (nie zbiorowej i zmitologizowanej) tożsamości nie ma dziś w Polsce za dużo miejsca. Kościół karze i za indywidualizm i za samodzielne myślenie, jest w końcu wielkim magazynem, z którego wydaje się egzemplarze zbiorowej tożsamości masowo produkowane. Zasadą tej tożsamości jest wykluczanie, usuwanie wszystkiego, co mogłoby zagrozić najdrobniejszą zmianą w obrębie tej tożsamości, tzw. polskiej i katolickiej.

„(...) wszystko, co polskie, przedzierzgnęli na katolickie, wszystko katolickie uznali za szczerze polskie i tak tymi dwuznacznikami dziś zręcznie szermieją, że odrobili już prawie wszystko to, co od początku XVIII wieku w sumieniu ogólnym ludzkości uczeni i bohaterowie, rozumni i poczciwi, kosztem krwi, życia i ciężkiej pracy wypracowali na koniec”.

To dziewiętnastowieczna pisarka, Narcyza Żmichowska, która komentuje utrwalenie się w XIX wieku zbitki Polak – katolik, a którą cytuje w roku 1929 Boy-Żeleński, dodając komentarz na temat odrodzenia się Polski w roku 1918:

„Kamień grobowy odwalono, Polska zaczęła żyć własnym życiem. Natychmiast kler wyciągnął rękę po nią, jakby po swoje prawe dziedzictwo. Umocniony w potęgę przez naszą ordynację wyborczą, świadom swego wpływu na masę włościańską i na kobiety, oparł się przede wszystkim na tych czynnikach”³.

Otóż to.

Jak rozumiem zakaz przerywania ciąży w Polsce

20 lat temu nie byłam specjalnie naiwna, ale jednak w roku 1990 uważałam, że feminizm dość szybko może się stać wiodącą ideą dla kobiet, bo przecież nadchodzi pluralizm idei politycznych i związana z nim możliwość artykułowania własnego interesu politycznego, więc czemu kobiety miałyby tego nie zrobić?

Feminizm był moim wkładem w transformację, ideą wybraną dla mnie wśród innych, niemożliwych dla mnie idei. Przypomnę, że w 1993 roku zebraliśmy ponad milion podpisów wspierających referendum w sprawie aborcji, i wszystkie zostały zlekceważone przez nową demokrację polską. Dominacja Kościoła, choć widać już było kierunek, nie była jeszcze faktem tak bardzo dokonanym jak po kolejnych osiemnastu latach. Polska nie była jeszcze krajem pozakonstytucyjnie wyznaniowym.

Miałam wtedy poczucie wyższości wobec działaczek z dawnej Ligi Kobiet Polskich – jakby były dinozaurami, które ciężko krocząc na wielkich łapach, schodzą właśnie ze sceny świata, a my, ssaki, nowa formacja, lekkobrojni antypatriarchat, wskakujemy na nią. Nie wzięłam pod uwagę faktu, że dinozaury są różne i że żyjemy, my, ssaki, w dolinie dinozaurów, ale nie z Ligi Kobiet Polskich,

³ T. Boy-Żeleński, *Dziewice konsystorskie*, [w:] *Pisma*, t. XV, PiW, Warszawa 1958, s. 75.

tylko tych oznaczonych krzyżami. I w sumie, **w praktyce** wcale nie było nam tak daleko do siebie, feministkom i tamtym działaczkom, choć sposób interpretacji rzeczywistości by nas dzielił. Wtedy to może by mi nie przeszło przez gardło, bo jako nowy ssak nie chciałabym się przyznawać do pokrewieństwa z dawnymi dinozaurami, ale dziś, kiedy widać, że nie one i nie my byłyśmy górą, nie ma się co tak wypierać pokrewieństwa po starej krwi emancypacji.

Dziś o wiele bardziej jestem skłonna uszanować tamte kobiety i ich kobiecą solidarność, której w III RP nie ma za dużo. Wszystkie: i my, te nowe, feministki, i one, te dawniejsze działaczki – byłyśmy oburzone faktem odbierania kobietom praw obywatelki i człowieka, co ukoronowano nową ustawą antyaborcyjną w roku 1993. A był to sam początek odbierania, które trwa do dziś i jest, jak widać, procesem.

Chcę tu powtórzyć, że zakaz aborcji oznacza dla mnie to, że kobiety są pozbawione elementarnych praw, z zasobu praw jednostki i człowieka.

Można się z taką sytuacją osobiście zetknąć lub nie, zależnie od tego, czy zajdzie się w niechcianą ciążę lub czy na przykład będzie się miało nieszczęście poważnie zachorować w ciąży.

W pierwszej sytuacji pomóc praktycznie mogą jeszcze pieniądze na nielegalny zabieg i to jest sposób, w jaki większość Polek sobie radzi. Za pomocą złotych, euro, rubla czy hrywny. W drugiej sytuacji nic może nie pomóc, jak się zdarzyło z młodą kobietą, która zmarła na nieleczoną *colitis ulcerosa*, ciężką chorobę jelit. Nie leczono tej choroby, ponieważ lekarze „bali się”, że badania uszkodzą płód. W efekcie skazali 25-letnią kobietę na ciężką agonię i śmierć⁴.

Zrabowali jej całe życie. Obrońcy życia.

⁴ W 2005 roku 25-letnia mieszkanka Piły, nie doczekawszy się pomocy, zmarła z powodu sepsy. Lekarze w obawie, że może dojść do poronienia, odmówili zbadania jej i leczenia, powołując się na klauzulę sumienia. Rodzice dziewczyny próbowali dochodzić sprawiedliwości, ale prokuratura umorzyła sprawę we wrześniu 2008 roku, sąd podtrzymał jej decyzję, natomiast lekarski sąd dyscyplinarny orzekł, że lekarze nie popełnili błędu lekarskiego. Obecnie sprawa trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, który zajął się nią w trybie pilnym, już w kilka miesięcy od jej wniesienia. Pomocy prawnej rodzinie zmarłej dziewczyny udzielają prawniczki Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny.

Na złe przypadki, a na pewno już na poniżenie godności ludzkiej, nie ma w tej sytuacji sposobu. Jak wiadomo, żadnemu mężczyźnie nikt nie odmówi leczenia dlatego, że choruje i ma w sobie płód, bo mężczyznom nie zdarza się jednocześnie chorować i być w ciąży. Nieprawda?

Ludzie płci żeńskiej jako zbiorowość tracą w Polsce część swoich ludzkich i obywatelskich praw, takich jak prawo do decydowania o sobie, o swoim życiu i jego przebiegu, prawo do ochrony życia i zdrowia, fizycznego i psychicznego – jeśli zdarzy się im taka sytuacja, jaka się zdarza tylko ludziom płci żeńskiej.

W ten sposób **ludzie płci żeńskiej** są pozbawiani podmiotowości, czyli ludzkiej mocy sprawczej dotyczącej własnego życia. W pewnych sytuacjach przedstawiciele Kościoła i państwa przejmują bezpośrednią kontrolę nad ciałami **ludzi płci żeńskiej**, także przeciwko ich wyborom, a nawet możliwości ich dokonania.

Wszakże **ludzie płci męskiej** nie zachodzą w niechciane ciążę i nie chorują, będąc w chcianych lub niechcianych ciążach. Nieprawda?

Ale skoro jedni nie zachodzą w ciążę, a drudzy tak, to w zasadzie trzeba zadać pytanie, czy istnieją dwa czy jeden gatunek ludzi? Jeśli jeden, to prawo musi być takie samo. **Wszyscy** ludzie powinni mieć prawo do decydowania o sobie i swoim życiu. Bez różnicy płci.

Kiedy płód nabywa praw obywatelskich i ludzkich przed człowiekiem płci żeńskiej, w którego macicy się rozwija, pytaniem jest, kto mu nadaje te prawa, odbierając je uprzednio kobiecie? Nadaje mu je Kościół i politycy, którzy reprezentują interesy Kościoła, przejmując kontrolę nad ciałem kobiety.

I to jest konkluzja – w Polsce tylko mężczyźni i Kościół katolicki – jako reprezentant zbioru zasad i postaw – mają pełnię praw ludzkich. Kobiety z niej wyparto. Kościół musi utrzymywać hierarchię nie tylko wewnątrz własnych murów, także w obrębie społeczeństwa, którym włada, właśnie po to, żeby czuć, że nim włada i stanowi z nim jedność.

Tak, ale... Ale kobiety w Polsce otrzymały prawa polityczne i obywatelskie w 1918 roku. Wcale przyzwoita data, zaraz po I wojnie światowej, razem z większością krajów Europy. Wcześniej niż inne kobiety – jeśli przypomnieć so-

bie, że Francuzki dostały te prawa w 1945, Włoszki w 1946, Hiszpanki w 1931, Szwajcarki jeszcze później, zależnie od kantonu. Skoro więc kobiety część praw mają, a części nie, przypominają człowieka, który jedną nogą idzie po krawężniku, a drugą w rynsztoku. Zmienić swoją sytuację może sam, bez pomocy, aktem woli, podciągając jedną nogę do drugiej.

Powiedzmy sobie bowiem szczerze: jeśli kobiety w Polsce mają nie-dobre, dyskryminujące prawo aborcyjne, to mogą to same zmienić. Jeśli nie zmieniają, i nawet nie próbują jako grupa społecznego interesu zabrać się za to, to ta bierność opisuje stan ich świadomości. Kościół został w Polsce uznany za siłę polityczną numer 1, której lepiej się nie narażać. Teksty Boya-Żeleńskiego o władzy kleru w Polsce międzywojennej, a zwłaszcza o jego sile nacisku na kobiety, nazywały się *Nasi okupanci*. Ale kto nas okupuje? Kto nas okupuje w sytuacji potencjalnie politycznie otwartej na różne możliwości? Sami siebie okupujemy, nasz konformizm musi dać przyzwolenie władzy Kościoła. To polska mentalność tworzy ten stan rzeczy. Jak dotychczas Kościół katolicki, nawet w Polsce, nie ma armii, marynarki ani wyrzutni rakiet.

To zniewolenie to jest samo-zniewolenie, ta okupacja jest auto-okupacją.

Niemniej na planie idei sprawiedliwości jest rzeczywiście tak, jakbyśmy mieli do czynienia z dwoma, nie z jednym gatunkami ludzi – z męskim, wolnym (relatywnie) i pod-męskim, zależnym od męskiego w bardzo podstawowych sprawach. Jednak, jak się rzekło, historia się nie powtarza i nie jesteśmy w tym samym miejscu. Dziś kobiety mają szerszy wybór i mogą sobie obrać – przynajmniej symbolicznie i przynajmniej te, które nie mają wrażliwości na własne ludzkie upokorzenie – pleć honorową. Mogą być posłanką prawicy i zaganiać inne kobiety do kościoła, gdzie wszystkie pokłonią się „dziecku poczętemu”, dziwnemu tworowi wyobrażeń i języka, który wygnał kobiety z ich ciał i stał się synonimem słowa „ciąża”. W ten sposób nie wiadomo, w jaki sposób „dziecko poczęte” znajduje się w obrębie ciała kobiety, które właściwie nie już potrzebne jako ciało, ale jako siedziba niebiańskiej istoty. Można więc być siedzibą. Można też być kobietą sukcesu i mówić o sobie:

Jestem menagerem, nauczycielem, żonem

Kobiety odpowiadają na dzisiejszą sytuację, która jest rodzajem *backlashu*, kontruderzenia anty-emancypacyjnego, najgorzej jak mogą, bo strategią asymilacyjną. **Asymilacja, przypomnę, czyli upodobnienie, jest zasadą, w myśl której mniejszość wtapia się w większość, upodabnia się**, stara się stopić, co ma być ceną akceptacji, ale przeważnie i tak nie jest. Tę metodę historycznie podejmowały mniejszości aspirujące do równych praw, które miały im być przyznane przez dzierżących władzę w społeczeństwach nie znających pojęcia różności i równości. Asymilacja to strategia słabych i aspirujących, w której uznaje się, że istotna władza leży poza naszym zasięgiem. Asymilacja kosztuje: ceną jest zacieranie tożsamości i związane z nim zaburzenie szacunku dla siebie. Ale w Polsce kobiety pełną kapitalistyczną parą asymilują się do męskiej reguły, do męskiego poczucia wyższości, dzieląc, jak widać bez buntu, odwieczne założenie, że to, co męskie, ma znaczenie, kobiecie nie ma. Męskie jest prestiżowe, bogate i władcze. **Gdyby mężczyźni w Polsce mieli fioletowy kolor skóry, a kobiety żółty, kobiety powszechnie malowałyby się w Polsce na fioletowo.** I malują się, tylko że make up'em jest język. Jak wiadomo, polski jest bardzo fleksyjny i dba o zachowanie rodzaju, czyli płci osoby, która się wypowiada. Nawet w liczbie mnogiej „zrobiliśmy” i „zrobiliśmy”.

Niemniej niemal każda kobieta czynna zawodowo jest mężczyzną, każda profesjonalistka jest profesjonalistą. Lekarki są lekarzami. Nauczycielki są nauczycielami. Dziennikarki są dziennikarzami. Aktorki aktorami.

„Jestem pisarzem”, oświadczyła pisarka Manuela Gretkowska, i to jako szef/owa Partii Kobiet. Ups.

Jestem historykiem, dziennikarzem, socjologiem, psychologiem, prezesem (zwłaszcza kiedy prezeska jest prezesem) – mówią kobiety, i nie jest to przypadek. Kiedy jakaś siostra, czyli brat, im się przeciwstawi, że na przykład jest

dziennikarką, inne się oburzają – jak ona się przyzna, że jest dziennikarką, to się wyda, że i one nie są dziennikarzami! I jak to brzmi?

To brzmi tak, jakby kobiety chciały, żeby nie zauważano, że nie są **ludźmi płci męskiej**. W społecznym sensie, oczywiście. Bo prywatnie, jak się domyślam, chcą, żeby zauważono, że nie są płci męskiej.

Ale te końcówki nie maskują płci tej, która ich używa, tym bardziej pokazują patriarchalny charakter polskiej kultury, drugorzędność kobiet, które niekoniecznie świadomie zakładają przecież, że użycie prawdziwej rodzajowo końcówki odbiera im powagę, zwłaszcza profesjonalną. Ale użycie nieprawidłowej demaskuje lęk kobiet przed kobiecym brakiem znaczenia. I kobiecą nieumiejętność poradzenia sobie z tym inaczej niż tylko przez to, co się nazywa identyfikacją z agresorem, z silniejszym.

A co było złego w tych traktorzystkach? Powiedziałabym, że w samych traktorzystkach, w tych kobietach, które zdobyły okładki pism dla kobiet, w tym nowym wzorcu dla kobiet nie widzę nic złego. Dziś może nas razi raczej to, że tą siłą przewodnią byli mężczyźni i że to oni wsadzali kobiety na traktory. Ale inaczej wtedy być nie mogło. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych o feminizmie nie myślała nawet Betty Friedan, jak sadzę. Może Simone de Beauvoir myślała, ale nie były to optymistyczne myśli.

Niemniej kiedy i dziś w Polsce pravicowi panowie mówią o śmiesznej traktorzystce, tej obcej sile na polskiej wsi, zaczynam się gotować. Jakby to była jakaś wilczyca chora na wściekliznę atakująca małe Czerwone Kapturki, które akurat spieszyły na mszę do kościółka, jakby to była King Kong rozwalająca Kraków pełen cudnych kościołów, jakby to była wampirzyca pro-aborcyjna, jakaś żydowska Lilith warująca, żeby się napić świeżej krwi z serca dziecka poczętego – poczętego dopiero wczoraj, a tej tak się spieszy, że nie rozumie, że jeszcze tego serduszka nie ma w sensie fizycznym i że musi wziąć na wstrzymanie – więc skoro taka zła jest ta traktorzystka, skoro taki budzi opór, to może ona jest naszym symbolem, naszą ikoną, i trzeba by stanąć murem po jej stronie i nie dać jej ruszyć? Może to jest ta polska wersja Rosie Spawaczki z „We can do it!”

i trzeba ją raczej na sztandary feministyczne, a nie wypierać się z nią znajomości? Może to była nasza matka, ciotka czy babka? Bo traktorzystki to nie był wymysł, miały twarze, imiona, nazwiska, adresy i osiągnięcia.

Bo, kiedy tak wiele stracone, czy na początek nie mogłybyśmy zamaryć, po raz pierwszy, o tym, żeby odzyskać traktory?

Choćby w postaci właściwej końcówki rodzajowej. „Jestem nauczycielką” lub „jestem dziennikarką” – to brzmi silnie, jakby traktor odpalał.

Od czegoś trzeba zacząć, gdy się jest polską mamotrawną córką, która przehułała po kościołach tak wiele z tego, co dała matka Emancypacja.

Gdzie się podziała
baba na traktorze
i cyniczny twardziel?
O bezpowrotnie
utraconej genderowej
niewinności

Agnieszka Graff

Wśród rocznicowych uniesień, wzruszeń i podsumowań było nas zdumiewająco mało. Dwadzieścia lat demokracji kojarzyło się mediom z bohaterami, ale jakoś nie z bohaterkami „Solidarności”. Z politykami, ale nie polityczkami pierwszych lat po przełomie. Mało też było równości płci jako tematu – jakby demokracja płci nijak się nie miała do demokracji właściwej. To miłe, że Fundacja Heinricha Bölla życzy sobie wspomnieniowych tekstów o kobietach i przemianach... jednak zastanawia zgodne milczenie polskich mediów głównego nurtu.

Reakcję na to pominięcie stanowił, moim zdaniem, entuzjazm wokół Kongresu Kobiet Polskich¹. To właśnie pominięcie nas jako grupy spowodowało, że kobiety z tak rozmaitych środowisk poczuły się przez moment wspólnotą. To irytacja, urażona godność, niejasne wrażenie, że w patriotycznym zgłębku stałyśmy się przeźroczyste, a zarazem potrzeba celebrowania wolnej Polski sprawiły, że w jednej sali w miarę zgodnie mogły przebywać kobiety z przestrzeni okołokościelnych i feministycznych, lewicowych i biznesowych, kobiety z NGO-sów i członkinie grup radykalnych. Poczuliśmy się przez te dwa dni wspólnotą, a może wręcz grupą politycznego interesu. Ulotna to jedność, wiem. Mówiłam nawet o tym w swoim kongresowym wystąpieniu. Nie wierzę w trwałe sojusze między feministką walczącą od lat o świecki wymiar edukacji a założycielką Przymierza Rodzin, między pracodawczynią a kobietą, którą zatrudnia. A jednak rozmawialiśmy. A jednak wspólnie wzruszałyśmy się, gdy na scenę wkroczyła Henryka Krzywonos², która

¹ Kongres Kobiet Polskich „Kobiety dla Polski – Polska dla Kobiet” odbył się w dn. 20-21 czerwca 2009 roku w Warszawie. Zgromadził ponad 3 tysiące kobiet z całej Polski, w programie znalazło się 21 paneli dyskusyjnych, przyjął ponad 100 postulatów, wśród których znalazły się m.in. wprowadzenie do ordynacji wyborczej systemu parytetowego na listach wyborczych oraz naprzemiennego umieszczania kobiet i mężczyzn na listach oraz utworzenie niezależnego, wybieralnego przez Sejm, urzędu Rzeczniczki ds. Kobiet i Równości.

² Henryka Krzywonos-Strycharska – tramwajarka, działaczka „Solidarności”, sygnatariuszka Porozumień Sierpniowych z 1980 roku; 15 sierpnia 1980 roku zatrzymała tramwaj nr 15 w Gdańsku, oświadczając, że „ten tramwaj dalej nie jedzie”, co dało sygnał do strajku pracowników gdańskiej komunikacji. Zmusiła Lecha Wałęsę do kontynuowania strajku w sierpniu 1980 roku, kiedy chciał już ogłosić jego zakończenie. „Jeśli nas porzucicie, będziemy zgubieni! Stocznia zostawią w spokoju, ale małe zakłady rozgniotą jak pluskwy! Nie przerywajcie strajku, autobusy nie zwyciężą czołgów” – wykrzyknęła do Wałęsy. Kongres Kobiet Polskich uhonorował ją tytułem Polki Dwudziestolecia.

otrzymała tytuł Polki Dwudziestolecia. Pojawienie się poczucia jedności ponad podziałami było czymś realnym, zjawiskiem z gatunku polityki emocji, a przy tym znakiem czasu.

Kongres: stracona szansa czy rewolucja?

Czy Sala Kongresowa pełna kobiet z całej Polski to, jak pisali na łamach „Gazety Wyborczej” Agnieszka Mrozik i Piotr Szumlewicz, „stracona szansa” polskiego ruchu kobiecego?³ Ich zdaniem „imprezę organizowały kobiety o wszelkich możliwych poglądach. Stąd trudno było wypracować jakiegokolwiek wspólny program: pozostały środowiskowe sentymenty i ciepła atmosfera”, zaś wspólne wysiłki skupiono na „pacyfikacji głosów protestu”. Nie sądzę. Byłam, słuchałam, rozmawiałam z dziesiątkami kobiet i nie sądzę. A nawet wiem, że było inaczej. Czulałam w powietrzu bunt i radykalizm. Słyszałam te tony w rozmowach w kolejce do toalety. Można oczywiście pytać, ile w tym buncie jest feminizmu, lewicowości i czy jest ich wystarczająco wiele. Dla Mrozik i Szumlewicza – zdecydowanie za mało. Mi tam wystarczy.

Nie łudzę się, że tłum kobiet, który ze wzruszeniem wysłuchał feministycznego wykładu prof. Marii Janion, wiwatował na cześć feministki Magdaleny Środy, oklaskiwał feministyczną przecieź, napisaną przez Kazimierę Szczukę, laudację na cześć Henryki Krzywonos, czy żywo reagował na moje, niewątpliwie przecieź feministyczne, wystąpienie – to tłum feministek. Pewna francuska dziennikarka powiedziała mi, że wiele kobiet, z którymi rozmawiała w korytarzach Pałacu, zaczynało swoje wypowiedzi od sakramentalnego zastrzeżenia: „nie jestem feministką, ale...”. Powtórzę dla jasności: to nie był tłum feministek, bo taki tłum w Polsce nie istnieje. A jednak warto się skupić na tym, co pojawia się po owym „ALE”. To coś to właśnie feminizm, i to niezależnie od tego, czy autorka wypowiedzi gotowa jest przyjąć tę piętnującą etykietę. Jesteśmy częścią

³ A. Mrozik, P. Szumlewicz, *Kongres Kobiet: stracona szansa*, „Gazeta Wyborcza”, 4-5.07.2009.

kilkuwiekowej tradycji kobiecego buntu, którego sedno polega nie na nazewnictwie, lecz na sprzeciwie wobec patriarchalnego stanu rzeczy i na wspólnym poczuciu, że kobiety powinny i mogą mu się przeciwstawić.

Mam nadzieję, że Kongres okaże się początkiem zmian, początkiem rewolucji. Jednak moim zdaniem to wydarzenie samo w sobie stanowiło rewolucję. Polityka nie składa się jedynie z wywalczonych ustaw i wygranych debat sejmowych, ale także z ludzkich emocji. A to był wybuch zbiorowej politycznej emocji kobiet – czegoś, co dotąd jakoś nie mogło w Polsce zaistnieć. Kongres pokazał, że coś się w Polsce wokół kwestii kobiecej zmieniło. Coś, czego nie widać w statystykach dotyczących nierówności płac (te od lat pozostają w miarę niezmiennie), czy w ewidentnym fakcie porażki strony „pro-choice” w polskich zmaganiach o prawa reprodukcyjne (jesteśmy w defensywie – już nie walczymy o prawo do aborcji, ale staramy się zapobiec zakazowi in vitro)⁴.

Fakty swoje, intuicja swoje, czyli dlaczego jest lepiej, niż jest

W sferze twardych faktów jest kiepsko, bardzo kiepsko. Gdy piszę te słowa, media donoszą, że Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej pozbawiło lwiej

⁴ Polska ma jedną z najbardziej restrykcyjnych ustaw regulujących dostęp do przerywania ciąży. Ustawa z dnia 7.01.1993 o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży dopuszcza aborcję w przypadku zagrożenia dla zdrowia lub życia kobiety, kiedy płód jest uszkodzony lub ciąża jest wynikiem czynu zabronionego. Mimo od lat podejmowanych wysiłków nie udało się jej znowelizować, a artykuł dopuszczający przerwanie ciąży, gdy kobieta znajduje się w ciężkich warunkach życiowych lub trudnej sytuacji osobistej, wprowadzony w 1996 roku, został ostatecznie uznany przez Trybunał Konstytucyjny w 1997 roku za sprzeczny z Konstytucją i jako taki stracił moc prawną. Obecnie trwają prace nad ustawą dotyczącą zapłodnienia in vitro: po słowie z Prawa i Sprawiedliwości domagają się ustawowego zakazu, natomiast projekt Platformy Obywatelskiej w dużym stopniu ogranicza dostępność tych usług, nie wprowadza refundacji i jest sprzeczny z najnowszymi osiągnięciami medycyny. Z inicjatywy Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny powstał społeczny projekt ustawy wprowadzający zapis o refundacji in vitro.

części kompetencji wiceminister Agnieszka Chłoń-Dominiczak, wiceminister, która wraca do pracy z urlopu macierzyńskiego. Jak powiada „Dziennikowi” jej przełożona pani (!) minister Fedak: „To jest kobieta, która ma trójkę dzieci i nie sędzę by brakowało jej obowiązków”. Tak właśnie, bez mrugnięcia okiem dyskryminuje się kobietę – i to kobietę o wielkich zasługach – w kierowanej przez inną kobietę rządowej agendzie odpowiedzialnej m.in. za przeciwdziałanie dyskryminacji kobiet.

Kiepsko jest także z medialną reakcją na Kongres. Odnotowała go z sympatią „Gazeta Wyborcza”... i to by było na tyle, panie i panowie. Ku uciesze uczestniczek Kongresu Roman Kurkiewicz, nasz medialny sojusznik, tak sobie kpił w „Przekroju”:

„A gdyby tak przyjechało tysiąc górników i każdy wzniołby tysiąc okrzyków? A gdyby tłukło się ze stu pseudokibiców? (...) A gdyby jeden koleżka poseł wyszedł ze sztucznym mózgiem czy kutasem w rękę do dziennikarzy w Sejmie? (...) To byśmy mieli święto wolności, czyli czołówki prasowe, newsy w telewizjach, informacje w radiach. Ale cztery tysiące kobiet w Sali Kongresowej? Które mówią, żądają, SA? Co to za historia?”⁵

Na czym zatem opieram swój optymizm? Powiedzmy przewrotnie, że na kobiecej intuicji. Owa kobieca intuicja (a także kilkanaście lat obserwacji i lektur) mówi mi, że temat płci się w ciągu tych 20 lat upolitycznił: nastąpiło coś, co można nazwać utratą zbiorowej niewinności genderowej. Owa intuicja mówi mi też, że to dobrze, że o to właśnie w feministycznej wizji świata chodzi, by kwestie płci „odpotoczyć” i „upolitycznić”. By przestało być jasne i oczywiste, że baba to baba, a chłop to chłop, a kto jest kim i o co komu w życiu chodzi, to każdy widzi. Pytania, które dawniej omawiało się wśród odniesień do „matki natury” oraz „płci mózgu”, w atmosferze prąszonego żartu i potocznej oczywistości, stały się przedmiotem politycznego namysłu, politycznego sporu. Stało się tak po części dzięki jawnie politycznym konserwatywnym atakom na prawa

⁵ R. Kurkiewicz, *Knebel jest mężczyzną*, [w:] „Przekrój”, 2009, nr 26.

kobiet podczas kolejnych rządów prawicy, a po części dzięki wysiłkom ruchu kobiecego. Kongres pokazał, że język praw i sporów zastąpił język oczywistości także w świadomości kobiet – i to kobiet o bardzo różnych światopoglądach.

Nie da się już różnić w dostępie do rynku pracy kwitować dowcipami o blondynkach. O sprawie zdegradowanej za macierzyństwo wiceminister media zgodnie mówią w kategoriach dyskryminacji płci. A przecież mogłyby (odpuścić w niemalowane) zastanawiać się zbiorowo, czy aby jest dobrą matką i czy matka może być, hę, hę, ministerką. Jeszcze dziesięć lat temu z całą pewnością tak właśnie by o tej sprawie pisano, martwiąc się przy okazji o stan ducha męża pani vice. Jako zbiorowość przestaliśmy w kwestii płci powtarzać zasłyszane klisze, mizdrzyć się, dowcipkować i rechotać, a zaczęliśmy się spierać i dzielić. Jest to dla mnie zmiana uderzająca, bo rejestracji i opisowi rozmaitych tonów owego rechotu poświęciłam pod koniec lat dziewięćdziesiątych kilka lat życia – o tym właśnie jest *Świat bez Kobiet*⁶. Niniejszym oświadczam z satysfakcją, że rozdział o medialnych michałkach, które zastępują debatę na temat równości płci, jest już nieaktualny. Aby go dziś napisać, musiałabym czytać wyłącznie tabloidy i „Nasz Dziennik”, a czytać ich nie zamierzam.

Goła baba i starsi panowie

Skalę mentalnościowej zmiany uprzytomniła mi pewna niedawna próba powrotu do dyskursu genderowej niewinności – próba w jakimś sensie wzruszająca, bo rozpaczliwa i z góry skazana na całkowitą porażkę. Chodzi mi o wystawę grupy Łódź Kaliska pt. *Niech szczerzą mężczyźni*, prezentowaną w styczniu i lutym 2009 roku w Centrum Sztuki Współczesnej. Na wystawę tę składało się czternaście wielkoformatowych inscenizowanych fotografii, na których nagie kobiety zajęte są pracą w „męskich” zawodach: na jednej są kobiety drwale, na drugiej kobiety budowlańcy, na kolejnych ślusarze, stolarze, marynarze itp.

⁶ A. Graff, *Świat bez kobiet*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2001.

Innymi słowy, było to wydarzenie kulturalne, w którym przedmiotem namysłu miał być zdumiewający wybryk natury: goła baba, której wydaje się, że może wykonywać poważne zajęcie.

Co też artysta chciał przez to powiedzieć? Tekst kuratorski informował odbiorcę (o odbiorczyni chyba nie myślano...), że zdjęcia te „tworzą niezwykle obraz absurdałnego futuryzmu, z wszechogarniającym feminizmem” oraz że projekt „inspirowany jest współczesną kulturą, a szczególnie tym jej aspektem, który opatrzony jest hasłem «gender» czy ściślej «feminizm»”. Wystawie towarzyszył też „Manifest”, w którym można było przeczytać m.in.:

„My, czterej mężczyźni z Łodzi Kaliskiej, będąc reprezentantami gatunku męskiego, oświadczamy: 1. Segregacja płci była jest i będzie faktem; 2. Kobiety są inną rasą i mężczyźni są inną rasą; 3. Różnice są ogromne; 4. Nie da się ich zniwelować, niezauważyć, pominąć (...) My, czterej mężczyźni, reprezentując cały gatunek męski (...) manifestujemy: Uwielbienie dla kobiet, dla ich matczynej mądrości, suczej przedsiębiorczości, naturalnej delikatności, macicznej desperacji, waginalnej wrażliwości, przyzwalającej sile trwania Boskości Bycia Kobieta⁷”.

Przyznam, że jęknęłam cicho, gdy TV Kultura poprosiła mnie – swoją dyżurną feministkę od komentowania wydarzeń kulturalnych – o wypowiedź na temat tego dzieła. Nie po raz pierwszy stanęłam wobec sytuacji z gatunku „tak źle i tak fatalnie”. Skomentuję – wyjdę na obraźliwą i bez poczucia humoru, a przy tym zrobię dokładnie to, na czym starszym panom z Łodzi Kaliskiej zależało, czyli odegram rolę oburzonej feministki-cenzorki. Nie skomentuję – będą mówić, że się wywyższam, popieram pornografię lub brak mi odwagi cywilnej. Skomentowałam. A po paru dniach z ulgą i pewnym zdziwieniem odnotowałam, że tym razem moja reakcja nie jest na polskim rynku idei niczym

⁷ Marek Janiak, Adam Rzepecki, Andrzej Świetlik, Andrzej Wielogórski, Łódź Kaliska, *Niech szczepną mężczyznę*. Manifest i fotografie można zobaczyć na stronie: <http://fototapeta.art.pl/2009/lka.php>

wyjątkowym: wystawa została przyjęta przez krytyków z zażenowaniem, jako zdumiewający anachronizm. Dorota Jarecka w miazdzącej recenzji w „Gazecie Wyborczej” pisała:

„Łódź Kaliska wywołuje z lasu dinozaura feminizmu i pokazuje, jaki to on jest straszny. Ma papsko, cycki, a do tego jeszcze chce pracować w fabryce. Słynna artystyczna grupa proszona jest o powrót do rzeczywistości. (...) Rozumienie feminizmu, że chodzi w nim o to, by kobieta stała się mężczyzną, ma mniej więcej ten poziom trafności, jak rozumienie komunizmu przez to, że była to epoka, w której należało włożyć czerwony krawat i maszerować”⁸.

Czy mizoginia w wykonaniu Łodzi Kaliskiej coś nam mówi o współczesnej Polsce? Czy warto w feministycznym tekście przywoływać nieudany projekt artystyczny, obliczony na to właśnie, że oburzenie feministek doda mu splendoru? Otóż warto, bo w wydarzeniu tym – czy raczej w jego porażce – można zobaczyć jak w soczewce pewną zasadniczą zmianę w naszej zbiorowej mentalności. Wizyta w CSW była dla mnie przeżyciem z gatunku *deja vu*: uderzyło mnie podobieństwo stylistyczne i podobieństwo przekazu łączące ten projekt z *Seksmisją* (1984) Juliusza Machulskiego, filmem którego reinterpretacja była dla mojej osobistej feministycznej drogi momentem zwrotnym. Mistrzostwo, z jakim Machulski przedstawił feminizm jako świat na opak, stało się na długie lata przekleństwem polskich feministek, ale nie dlatego, że Machulski jest geniuszem, lecz dlatego, że ten język był gotowy, przezroczysty, bezproblemowy, a on go zręcznie przetworzył w fabułę. Feminizm = totalitaryzm, komunizm = baba na traktorze – to były w latach osiemdziesiątych gotowe skojarzenie, oczywistości, których nikt nie kwestionował. A dziś tak nie jest – i sam Machulski najwyraźniej tę zmianę przeszedł, co widać w jego pro-kobiecy filmie p.t.: *Ile waży koń trojański* (2008). Wiele kobiet odebrało go jako swoiste przeprosiny za *Seksmisję*.

⁸ D. Jarecka, *Łódź Kaliska na mieliźnie*, [w:] „Gazeta Wyborcza”, 21.01.2009.

To se ne wrati, choć žal serce ściska

Wróćmy na koniec do gołej baby na traktorze. Takiej postaci, o ile pamiętam, nie było wśród babochłopów w dziele Łodzi Kaliskiej, ale przecież to o nią tu chodzi. O stwierdzenie z całą stanowczością, że cała ta gadanina o równości płci to jakaś komunistyczna brednia, a my, Polacy, już to przerabialiśmy. Otóż fakt, że przekaz trafił w próżnię i wzbudził irytację pokazuje nam przepaść kulturową, jaka dzieli owe dwa bliźniacze zdarzenia w polskiej kulturze – *Seksmisję* Machulskiego i *Niech szczeną mężczyźni* Łodzi Kaliskiej.

Ta przepaść jest cechą odbioru obu dzieł, wynikiem wyczerpania pewnego języka. W obu przypadkach przemawia do nas ten sam ostentacyjnie „nie-winny” i rzekomo apolityczny męski głos sławiący piękne kobiety oraz „naturalną różnicę płci” i kojarzący feminizm z komuną. W obu przypadkach ów głos domaga się od nas pochwały za to, że taki jest odważny i buntowniczy. Wystawa Łodzi Kaliskiej jest jednak żenująca przez swój anachronizm, przez nieświadome kombatanctwo. W roku 2009 posługuje się językiem lat osiemdziesiątych, językiem upokorzonej męskości rzucającej się z resztką motyki na cytaty totalitaryzm. Starsi panowie z Łodzi Kaliskiej domagają się od nas przyjęcia mizoginii jako języka kontrkultury, artystycznej awangardy, buntu. Tymczasem współczesny odbiorca nie odnajduje w tych gestach odwagi, a przeciwnie, zatęchły konserwatyzm, nijak nie pasujący do Centrum Sztuki Współczesnej.

Świetnie ten dysonans wychwycił Igor Stokfiszewski, pytając w recenzji dla „Krytyki Politycznej”: „Cóż takiego nastąpiło w ciągu minionych lat, że ośrodek myśli krytycznej, za jaki uchodził Zamek Ujazdowski, zmienił się w przychodnię dla podstarzałych mizoginów, afirmującą quasi-endecki porządek społeczny?”. Dalej recenzent pastwi się już nie nad wystawą, lecz właśnie nad Zamkiem:

„A może by tak postawić kolejny krok na bujnej glebie dyskryminacji i jebnąć wystawkę antysemicką ze zdjęciami Żydów na wysypisku śmieci albo nie – homofobiczną! Powiesić kilku pedałów na dziedzińcu Zamku Ujazdowskiego

w ramach happeningu. Wystylizować całą scenę na znane fotografie drugowojennych egzekucji, żeby pojawił się element historyczny i intertekstualny”⁹.

Seksmisja nie budzi podobnej irytacji, bo rozumiemy, że powstała w innej epoce – w czasach, gdy mizoginia i bunt przeciw „systemowi” świetnie ze sobą współgrały. I jeśli nadal jest filmem kultowym, to nie dlatego, że w każdym z nas drzemie mizogin, lecz dlatego, że ten głos z przeszłości pozwala masowej publice wrócić na chwilę do dawnych czasów, do epoki genderowej niewinności.

Nostalgia to wielka siła, a mroczne lata osiemdziesiąte to były piękne czasy dla bezrefleksyjnej, narcystycznej męskości *a la polonaise*, tej dziwnej mieszanki szarmanckich gestów, seksizmu, buntu i wstydliwego zranienia. Wtedy można było być konserwatystą, mizoginem i malowniczym buntownikiem jednocześnie. Można było kochać kobiety i nienawidzić praw kobiet. A będąc kobietą, można się było w takim seksiście-buntowniku zakochać (wierzę mi wiem coś o tym), zaś pokochawszy go, karmić jego zranione ego i parskać pogardliwie na feminizm: ot zachodnia fanaberia, my tu w Polsce walczyliśmy z komuną.

Uroczy mizogin-buntownik, nieco cyniczny, ciut niedomyty, depresyjny romantyk – oto centralna postać zbiorowej wyobraźni schyłkowej komuny. Resztki tego uroku miał w sobie jeszcze Bogusław Linda na początku lat dziewięćdziesiątych. Pamiętacie?... „Bo to zła kobieta była...”. Cóż, dziś się tak nie da. Dziś *Seksmisja* to nostalgiczna podróż w czasie, a *Psy* i *Sarę* ogląda się jak autoparodie. Niewinność utraciliśmy bezpowrotnie. *To se ne wrati*, panowie i panie, *to se ne wrati*.

⁹ I. Stokfiszewski, *Łódź, kał i ska*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Igor-Stokfiszewski/Kal-i-ska/menu-id-194.html>

Transformers, czyli przemiany w Polsce po 1989 roku w oczach trzydziestolatki

Sylwia Chutnik

Czas mój i mojej rodziny przed 1989 rokiem upłynął między innymi na chodzeniu do kościoła św. Stanisława Kostki, gdzie rozmodlona Sylwia tańczyła w Jaselkach i sypała płatki róż na procesji. Na terenie parafii znajdował się grób zamordowanego przez Służby Bezpieczeństwa księdza Popieluszki, który tonął w kwiatach. A my – dzieciaki chodzące na religię do chłodnej sali katechetycznej – objadałyśmy się batonikami z darów. Cały świat słał nam paczki, bo byliśmy biednym, uciskanym krajem ze Wschodu. Bardzo nam się to wszystko podobało.

Opozycja antykomunistyczna była mocno związana z kościołem katolickim, a wizja wolnej Polski nieodmiennie kojarzyła się z Krzyżem. Jak się potem okazało, miało to dość negatywne skutki w kontekście praw kobiet.

Tymczasem na płocie oddzielającym kościół od ulicy wisiło pełno flag i transparentów solidarnościowych. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba nie wolno ich było wieszać samowolnie – trzeba było najpierw iść do proboszcza po zgodę. Sadząc po skali rozwieszonych płacht proboszcz nie mógł być asertywny.

Rok 1989 kojarzył mi się z intensywnym zapachem kościelnych kwiatów. Miałam dziesięć lat, kiedy kolega z podstawówki przyniósł plakat z kowbojem do szkoły. Miały się odbyć wybory, dlatego dobranocka była przez jakiś czas krótsza, bo wciąż gadali o Okrągłym Stole. Pamiętam też, że raz w czasie *Dziennika Telewizyjnego* przebrana byłam w swoją sukienkę a'la Madonna i tańczyłam na dywanie w dużym pokoju, śpiewając „Okrągły Stół, oni mówią znów, dosyć tego mam, przestańcie już” na melodię „Like a virgin”. I chociaż lubiłam ten stan podekscytowania nadchodzącą zmianą, to bardzo się bałam, że po wyborach nie będą już rozdawać paczek ze słodyczami.

Zmiany bez udziału kobiet

Obawy były bezpodstawne, czekoladę i kolorowe zabawki można było zacząć kupować w normalnych sklepach, a ja po raz pierwszy odczułam wielkie sprzymierzenie rządu z kościołem: w 1990 roku wprowadzono religię do szkół.

Nie wiem, jak to się stało, że jedenastoletnia wierząca i grzeczna dziewczynka dostała szału, ale skutkowało to stanowczą odmową uczestniczenia w lekcjach religii i zerwaniem wszelkich kontaktów z parafią na Żoliborzu. Do tego zaczęłam zauważać, że sytuacja materialna mojej rodziny wcale się nie poprawiła, a głoszone przez nowy rząd zapewnienia jeszcze długo miały nie mieć nic wspólnego z realną zmianą.

Po latach zaczęłam również odkrywać inne „grzeszki”, na przykład taki, że wśród osób uczestniczących w obradach Okrągłego Stołu była tylko jedna kobieta ze strony opozycyjnej – Grażyna Staniszevska (na 26 osób) i jedna po stronie partyjnej – Anna Przecławska (na 29 osób). Dodajmy do tego dwóch rzeczników prasowych i trzech obserwatorów ze strony kościelnej – dwie panie wyglądają statystycznie dość ubogo na tle tłumu mężczyzn uczestniczących w negocjacjach opozycji z władzą. Należy również zaznaczyć, że mimo uchwalenia parytetowych wyborów do Sejmu, żeby zapewnić odpowiedni udział osobom należącym do partii i tym z opozycji, nie było mowy o paryecie płciowym. W uszach szumiało hasło z 1980 roku namalowane na murze Stoczni Gdańskiej: „Kobiety, nie przeszkadzajcie nam, my walczymy o Polskę”. Ono właściwie nadal jest aktualne¹. My (w podtekście: panowie) mamy wiele spraw do załatwienia, tak więc postulaty kobiece czy też zwyczajna „kobieca perspektywa” w polityce nadal nam przeszkadza – zarówno w kontekście sytuacji Wielkiej Zmiany Systemowej z '89 roku (listy wyborcze prawie bez kobiet, założenia Okrągłego Stołu również bez nich), jak i całej reszty działań aż do czasów współczesnych.

Wystarczy prześledzić statystyki list wyborczych wszystkich partii, które brały udział w tak zwanych wolnych wyborach w przeciągu ostatnich dwudziestu lat. Jak niewiele się zmieniło, jak jednostajne wydają się klótnie o pierwsze numery na listach. Dla kogo wybory są wolne, otwarte, demokratyczne? Pro-

¹ Por. A. Graff, *Rykoszetem. Rzecz o płci, seksualności i narodzie*, WAB, Warszawa 2008, s. 204.

centowy udział kobiet w Sejmie RP odpowiada na to pytanie: w latach 1989-2001 ławy na Wiejskiej zajmowało średnio 13 proc. posłanek, aby w kolejnej kadencji podskoczyć do 20 proc. (odsetek ten utrzymuje się do dziś)². O wiele gorzej wygląda sytuacja w Senacie: kobiet jest tylko 8 proc.³. Zastanawia fakt, że tak niewiele się zmieniło, mimo podejmowanych działań (choćby Parlamentarnej Grupy Kobiet czy innych inicjatyw środowisk kobiecych).

Niski odsetek obecności kobiet na wysokich stanowiskach (czy to w rządzie czy w firmach) jest jedną z kilku porażek ostatniego dwudziestolecia.

Nie należy jednak zapominać o kobietach pracujących na stanowiskach nisko opłacanych, które niekoniecznie starają się być kierowniczkami. Feminizacja biedy i nisko płatne zawody wykonywane przez kobiety (głównie szczerbel opiekuńczy, socjalny) świadczy o ekonomicznej dyskryminacji kobiet w imię „wolnego rynku”. Jego najbardziej radykalnym odzwierciedleniem jest stwierdzenie, że skoro kobiety nie radzą sobie w nowym ustroju, to z pewnością dlatego, że są zbyt leniwe czy nieprzystosowane.

To ostatnie słowo powtarzane jest w mediach i w dyskursie publicznym jak mantra w stosunku do wszystkich tych, którzy nie załapali się na Nowy Wspaniały Świat kapitalizmu.

Kiedy uzmysłowimy sobie fakt ciągłej dyskryminacji kobiet, to okaże się, że „cud” przełomu kowbojskich wyborów nie dotyczy, niestety, *cow girls*.

Jak nie w Sejmie, to w trzecim sektorze

Mimo niezadowolającej sytuacji w oficjalnej polityce, kobiety organizowały się w Polsce, nawet w warunkach niesprzyjających. Ich działania opierały się na trzech podstawowych założeniach transformacji ustrojowej: transforma-

² *Polki w Sejmie 1918-2008*, opracowanie Fundacji Kobiecej eFKA, Kraków 2008, s.12.

³ Po wyborach w 2001 roku w Senacie było 23 proc. kobiet, ale po dojściu prawicy do władzy w 2005 roku ich reprezentacja zaczęła się znowu zmniejszać.

cji ustrojowej głównej (wdrażanie instytucji i procedur demokratycznych), transformacji ekonomicznej (tworzenie wolnego rynku opartego na własności prywatnej), transformacji społecznej (zmiana mentalności społecznej, akceptacja nowych reguł gry). Oczywiście, sposoby realizowania tych celów były dość różnorodne, często wręcz krytyczne do ogólnych założeń. Myślę tu przede wszystkim o kwestii ekonomicznej i wolnorynkowej, negatywnie ocenianej w środowiskach związanych z lewicą. Mimo wszystko działania te odbywały się w pewnym odniesieniu do zmian proponowanych w '89.

W latach osiemdziesiątych powstało kilka nieformalnych grup określających się jako feministyczne. Tworzyły je głównie osoby z kręgów studenckich, zainteresowane teoriami i zagadnieniami *gender*. Z czasem grupy te zaczęły konkretyzować swoją działalność i specjalizację. Od 1988 roku najwięcej emocji budzi debata aborcyjna. W Warszawie grupa, która do tychczas zorganizowała na przykład przegląd filmów kobiecych, zwołuje demonstracje, zbiera podpisy, pisze protesty, zbiera opinie, buduje lobby i networki. Z czasem przekształca się w Polskie Stowarzyszenie Feministyczne, które rejestruje się oficjalnie w 1989 roku. Dwa lata później, wspólnie z czterema innymi organizacjami zakłada Federację na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, tworząc grupę nacisku w walce o prawo do legalnej aborcji. Momentem zwrotnym w aktywności grup kobiecych jest rok 1993 – wtedy to wchodzi w życie ustawa antyaborcyjna (ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach przerywania ciąży) dopuszczająca aborcję tylko w takich wyjątkach jak zagrożenie życia lub zdrowia kobiety, gwałt, nieodwracalne uszkodzenie płodu. Aborcja może być dokonywana tylko w państwowych szpitalach. Debata na ten temat wzbudza wiele kontrowersji i jest toczona do tej pory. Jednocześnie w tym samym czasie organizacje kobiece i grupy nieformalne są aktywne na takich polach jak kultura, ekonomia kobiet i ich prawa. Powstaje w Warszawie Centrum Praw Kobiet, w Krakowie Fundacja Kobiecego eFKa, w ciągu następnych lat pojawiają się kolejne organizacje kobiece.

W 1995 roku powstaje pierwsza grupa nieformalna w ramach ruchu anarchofeministycznego – Kobiety Przeciwko Dyskryminacji i Przemocy, przekształcona rok później w Emancypunx. KDP starała się konsolidować kobiety w środowisku alternatywnym i za cel stawiała sobie działania polityczne i publiczne. Grupa zajmowała się między innymi takimi tematami jak prawo kobiet do legalnej aborcji, antyfaszizm, propagowanie feminizmu i antyseksizmu w ramach ruchu alternatywnego oraz podejmowała działania proekologiczne⁴.

Grupy nieformalne tworzyły wspólnie z organizacjami pozarządowymi ostatnie dwadzieścia lat przemian w Polsce w zakresie praw kobiet. Jednocześnie miały wpływ na specyfikę ruchu kobiecego w naszym kraju, z sukcesem mieszając różne środowiska (akademickie, studenckie, pracownicze itp.) i sposoby działania (grupy nieformalne, artystyczne, organizacje pozarządowe lub pojedyncze inicjatywy projektowe).

Sama wychodziłam od pracy w ruchu grup nieformalnych, aby w wieku 26 lat założyć swoją organizację pozarządową – Fundację MaMa. Była to nie tyle „dojrzała” decyzja wejścia w poukładane struktury, ile próba poszukiwania nowych metod działania społecznego i bardziej oficjalnych form kontaktu zarówno z władzami lokalnymi, jak i tymi z wyżyn ekip rządzących. Dla osoby, która do tej pory pikietowała ministerstwa, samo doświadczenie bycia w środku tego budynku i picia kawy z władzą jest doświadczeniem dość specyficznym. Mimo wszystko nie oznacza to kompromisów i odwiecznego dylematu „radikalizm czy legalizm”, ale jest naturalnym postępem i próbą wykorzystania możliwości, które dają oficjalne struktury (i naprawdę nie chodzi tu tylko o mityczne „dotacje unijne”!, ale możliwość realnego wpływu).

⁴ Według *Niezależny ruch feministyczny w Polsce po 1989 roku*. Wystawa przygotowana na Kongres Kobiet Polskich, 20-21 czerwca 2009 roku.

Kilka lat później – alternatywy wobec wolnego rynku

Zaryzykowałabym stwierdzenie, że prawdziwie realne działania mające na celu poprawę sytuacji kobiet rozpoczęły się w 1995 roku, kiedy można już było mówić o odczuwalnych skutkach wprowadzonej dwa lata wcześniej ustawy antyaborcyjnej, a powstające organizacje pozarządowe stawały się coraz silniejsze. Krokiem milowym w rozwoju organizacji pozarządowych działających na rzecz praw kobiet była IV Światowa Konferencja w sprawie Kobiet w Pekinie (1995 rok), na której przyjęto końcowy dokument *Platformę działania*. W konferencji udział brały kobiety z Polski, które starały się wprowadzać ustalenia na gruncie krajowym⁵.

Jednocześnie w połowie lat dziewięćdziesiątych zauważyć można było swoisty wysyp inicjatyw prokobiecych i feministycznych (pikiety, festiwale, publikacje), które miały na celu przekształcenie tych części systemowych, które po wejściu w ustrój kapitalistyczny czy wolnorynkowy nie zdały egzaminu. Jednym z prądów był anarchofeminizm, w ramach którego i ja sama zaczęłam działać właśnie w 1995 roku. Miałam już 16 lat, dawno przestałam sypać kwiatki pod nogi księdza i mogłam być pierwszym pokoleniem „wolnej” Polski, które było odbiorcą zmian ustrojowych.

Nie było mi po drodze z tymi odbiorcami. Rozczarowana nadmierną rolą kościoła, zaczęłam oglądać się za mniej hierarchicznymi środowiskami. Pod skrzydłami poetki Danuty Wawiłow, która prowadziła zajęcia artystyczne dla młodzieży, pisałam wiersze i włączałam się czynnie w działania społeczne. Najpierw podczas wolontariatu w Amnesty International, potem w grupach nieformalnych. Feminizm od dawna kiełkował w mojej głowie i kiedy tylko stałam się na tyle duża, aby zacząć uczestniczyć w spotkaniach i „wychodzić wieczorami” z domu, od razu włączałam się w rozkwitający ruch wolnościowy, punkowy, a wreszcie anarchofeministyczny.

⁵ Rezultaty ich działań można prześledzić studiując materiały pokonferencyjne *Dziesięć lat po konferencji w Pekinie* http://www.unic.un.org.pl/kobiety_rozwoj_pokoj/konferencja.php

Ciekawe, że moje rówieśnice nie zawsze podążały za konsumpcyjnym stylem życia spod znaku „wreszcie wszystko możemy kupić” i bardzo szybko zrozumiały, że nie zbudowano w Polsce sprawiedliwego ustroju na bazie postulatów solidarnościowych. Na własne (młode, ale dzięki temu wrażliwe) oczy widziałyśmy upadek teorii naszych rodziców i przekształcania jej w kompromisy, na które same nie potrafiłyśmy nigdy pójść.

Anarchofeminizm nie doczekał się nigdy konkretnych opracowań naukowych (poza rozsianymi artykułami), a jest ważnym elementem działalności środowisk kobiecych w Polsce, bowiem poprzez swój sposób działania wywierał wpływ również na mainstreamowy odłam ruchu (na przykład nieformalną grupę Porozumienie Kobiet 8 Marca, która począwszy od 2000 roku organizuje Manify, czyli demonstracje uliczne w obronie praw kobiet)⁶.

W kontekście wolnego rynku i zachłystnięcia się w Polsce po 1989 roku „robieniem pieniędzy” i nowymi możliwościami radykalna krytyka systemu wydaje się być ważnym elementem demokracji. Głos krytyki ma na celu otrzeźwienie zauroczonych kapitalizmem i zwrócenie uwagi na grupy społeczne, które nie zostały beneficjentami i beneficjentkami tych zmian.

Aktywistka i teoretyczka ruchu amerykańskich feministek Penny Kornegger stworzyła najbardziej nośną i prostą definicję anarchofeminizmu. Doszła ona do wniosku, że cała idea opiera się na walce z trzema literami P: Patriarchatem, Pieniędзем i Państwem. W jednym chwytliwym hasle mamy trzy idee czołowych ruchów społecznych: feministycznego, antykapitalistycznego i anarchistycznego. Oto kim są główni przeciwnicy anarchofeministek.

Trzy razy „P”

Patriarchat to system władzy i dominacji mężczyzn nad kobietami, będący za pośrednictwem swoich instytucji społecznych, ekonomicznych i politycznych

⁶ Więcej o tej inicjatywie na www.porozumieniekobiet.home.pl

źródłem opresji nie tylko kobiet, ale i mężczyzn. Pojęcie patriarchatu jest jednym z podstawowych pojęć krytyki relacji społecznych w feminizmie. Można je spotkać właściwie w każdym nurcie tego ruchu. Potocznie o patriarchy mówimy w odniesieniu do walki o wyzwolenie kobiet. Coraz częściej w krytyce społecznej patriarchy staje się symbolem hierarchii wewnątrz rodziny i związków między ludźmi opartych na bezwzględnym posłuszeństwie ojcu, bratu czy mężowi. Feministki zwracają uwagę, że niezależnie od kultury (islamskiej, katolickiej i in.) czy sytuacji politycznej (Iran czy Europa Zachodnia) od kobiet żąda się posłuszeństwa wobec mężczyzny. Różnica polega tylko na sposobach egzekwowania tego żądania.

Pieniądz to dla anarchofeministek atrybut dominacji, symbol materialnego, nie wolnościowego sposobu patrzenia na życie. To również kolejny sposób kontroli i wykorzystywania ludzi. Pieniądz jest tu symbolem sytuacji ekonomicznej kobiet, które są dyskryminowane na rynku pracy. Mają niższe płace, mimo iż zajmują te same stanowiska, co mężczyźni. Mamy do czynienia z feminizacją zawodów niższych w hierarchii społecznej (przedszkolanka, sprzątaczką, pielęgniarką) oraz łączenia ich z „naturalną” predyspozycją kobiet. Pieniądz to również sytuacja matek na rynku pracy, pytania o plany reprodukcyjne w czasie rozmów kwalifikacyjnych, problemy ze znalezieniem pracy ze względu na ewentualną niedyspozycyjność z powodu opieki nad dzieckiem. To w końcu sytuacja samotnych matek i ich traktowanie przez państwową opiekę społeczną: brak zapomóg, funduszy pomocniczych, likwidowanie żłobków i przedszkoli, niski procent ściągania zaległych alimentów od ojców, likwidacja Funduszu Alimentacyjnego⁷.

W krytyce pieniądza anarchofeministki są zbliżone do sytuacjonistycznego nurtu anarchizmu, ponieważ również zwracają uwagę na konsumpcyjną kulturę.

⁷ Por.: zine „Obrzydźlara”, 1996, nr 2 lub „Vacula”, 2004, nr 1. Por.: „Emancypunx distro”, www.emancypunx.com lub dystrybucja „Porcamadonna”, ulotka reklamowa w posiadaniu autorki, Włochy.

Jeśli chodzi o krytykę ekonomiczną, ich poglądy są zbieżne ze stanowiskiem syndykalistów czy anarchokomunistów. Starają się tworzyć niezależne spółdzielnie czy kolektywy, w których kwestie zarządzania czy funduszy opierają się na demokratycznych formach podejmowania decyzji. Również pojedyncze inicjatywy w ruchu anarchistycznym czy feministycznym – na przykład dystrybucja prasy i publikacji czy tekstyliów – są realizowane na zasadzie całkowitej kontroli nad inicjatywą przez wszystkie osoby w nią zaangażowane. Innym sposobem na poprawę sytuacji ekonomicznej kobiet jest angażowanie się w działalność związkową.

Zdaniem anarchofeministek państwo podobne jest do systemu patriarchalnego, który zniewala obie płcie, ograniczając i niszcząc ich indywidualność. W krytyce państwa anarchofeministki zbliżone są do tradycyjnej krytyki ograniczania swobody, jaką prowadzą różne nurty anarchistyczne. Wolność dla anarchofeministek jest przede wszystkim ważna jako wyzwolenie kobiet: od władzy ojca, państwa, społecznego przymusu czy stereotypów. Tylko wtedy, kiedy kobieta będzie miała możliwość samostanowienia o sobie, będzie mogła powiedzieć o sobie, że jest wyemancypowana. Różnicą w podejściu anarchofeministek do zniewolenia jest płaszczyzna zainteresowań i krytyki. W tym podobna jest do ruchu feministycznego, którego zainteresowania obejmują prawa reprodukcyjne i kwestie cielesności, seksualizmu, relacje z najbliższymi, kwestie pracy domowej i zarobkowej, prostytucję i handel kobietami, wybory życiowe (kariera, bycie matką, bycie samotną), preferencje seksualne i kwestie twórczości kobiet. Wolność w wyborze powinna być osiągnięta praktycznie we wszystkich tych dziedzinach. Dopiero wtedy będziemy mogli mówić o wolności kobiet i ich prawie do samostanowienia o swoim życiu.

Jednostka według anarchofeministek buduje swoją tożsamość w oparciu o zasadę prywatnej autonomii. Kobieta, na równi z mężczyzną, powinna korzystać ze swobody do decydowania o wszystkim, co jej dotyczy. Zdaniem anarchofeministek ani względy medyczne, ani społeczne czy jakiegokolwiek inne predyspozycje nie mogą podważyć osobistej wolności kobiet⁸.

⁸ Siren, *Anarcho-feminist manifesto*, [w:] *Quiet rumours*, Rebel Press, Londyn 1996, s. 4-5.

Anarchofeministki sprzeciwiają się również wykorzystywaniu kobiet czy ich sytuacji w celach politycznych. Mowa tu o partiach, które w przedwyborczych wystąpieniach zwracają uwagę na tak zwane „kwestie kobiece”, starając się w ten sposób pozyskać swój elektorat. Jest kilka tematów, które służą tylko politycznym rozgrywkom, a nie mają nic wspólnego z realną pomocą kobietom: na przykład prawa reprodukcyjne, w szczególności edukacja seksualna i prawo do legalnej aborcji. Anarchofeministki różnie podchodzą do ewentualnej współpracy z partiami czy grupami parlamentarnymi, które chcą zmienić ustawodawstwo w sprawach dotyczących kobiet. Nie współpracują z nimi ani nie włączają się bezpośrednio do pracy nad zmianami, skupiają się na edukacji społecznej i informowaniu społeczeństwa.

Czasami próbują też ominąć zakazy prawne i stwarzać alternatywę wobec oficjalnej sytuacji. Dzieje się to na przykład na poziomie tak zwanej „radikalnej ginekologii” (zabiegi aborcyjne, edukacja seksualna, edukacja medyczna i poza medyczna-homeopatia). Anarchofeministki próbują również w miarę swoich możliwości omijać ingerencję państwa w ich życie w ramach alternatywnej edukacji. Przedszkola, szkoły oparte na wolnościowych metodach edukacji (najczęściej nuryty antypedagogiki, metod steinerowskich, waldorfskich) są organizowane w prywatnych domach bądź miejscach tworzonych przez środowiska anarchistyczne – na squatach, w kolektywach, infoshopach i miejscach spotkań⁹.

Nowa polityka

Całościowe działanie mieści się w ramach tak zwanej „nowej polityki”, która w Polsce rozwijała się (w przeciwieństwie do rewolucji 1968 roku na świecie) właśnie po 1989 roku. Prawo do stowarzyszania się, coraz częstsze kontak-

⁹ W opracowaniu definicji anarchofeminizmu korzystałam z pracy magisterskiej Joanny Zwierkowskiej pisanej pod kierunkiem profesor Małgorzaty Fuszary w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW, a obronionej w roku 2005 (praca niepublikowana).

ty z zagranicznymi działaczami i działaczkami społecznymi owocowało nowymi inicjatywami opartymi na zasadzie niehierarchiczności. Każda uczestniczka i uczestnik ruchu ma możliwość podejmowania decyzji oraz poczucie, że jej i jego głos mają znaczenie. Kolejną ważną zasadą jest przekonanie o prywatności człowieka, która jest kwestią publiczną, czyli stare feministyczne hasło: „Prywatne jest publiczne”. Oznacza to, że nawet najblajsza czynność, którą wykonujemy, może mieć wpływ na sytuację społeczną. Tym samym odrzuca się takie myślenie o polityce, które oddziela sferę domową od parlamentarnej. Pozwala na odsłanianie ukrytej władzy, która nie wywodzi się od konkretnych osób, ale jest syntezą ich działań czy podejścia do jednostki. Przykładem takiej ukrytej władzy jest kultura masowa, wykorzystująca często zmanipulowany przekaz udający prawdę obiektywną.

Przychodzi Unia

Idea „nowej polityki” w połączeniu z silnym wsparciem strukturalnym mogłaby stworzyć wymarzony system społeczny: oto działania społeczne na bazie demokracji walczą o konkretne rozwiązania ustawowe i podparte prawami rozwijają się w całej Europie.

Nadzieje związane z wejściem Polski do Unii Europejskiej szybko zostały rozwiane, kiedy okazało się, że unijne przepisy i normy nie są automatycznie wprowadzane na krajowy grunt. Z drugiej strony dostęp do funduszy unijnych, programy dotacyjne i darmowe szkolenia, otwarte granice i swoboda podróżowania, kształcenia się i pracowania dała kobietom z mojego pokolenia doskonałe narzędzia samorozwoju, o których nie śniło się naszym mamom.

Jeśli przyjrzeć się rynkowi działalności gospodarczej, można stwierdzić, że Polki wypadają na nim całkiem dobrze: w Europie są w ścisłej czołówce. Z raportu Komisji Europejskiej na temat równości płci wynika, że kobiety stanowią 36 proc. kierowników niższych i średnich szczebli, czyli o 3 punkty procentowe więcej niż średnia w Unii Europejskiej. W 2009 roku, a zatem już pięć

lat po wejściu do Unii, ponad jedna trzecia Polek ma swoje firmy, które całkiem nieźle prosperują¹⁰. Raport pomija jednak fakt, że w Polsce nagminne jest „samozatrudnienie”, czyli tworzenie jednoosobowych firm, które z biznesem mają niewiele wspólnego. Niestety, niewiele Polek zajmuje również bardzo wysokie stanowiska. Jedyne 2 proc. kobiet piastują stanowiska dyrektorów generalnych i prezesów firm. Statystyki te wypadają dość blado.

Przy okazji pisania tego artykułu przeglądałam jeden z numerów biuletynu OŚKi, który w całości poświęcony był kwestiom praw kobiet w Unii Europejskiej. Wydany w 2001 roku informował o procesie integracyjnym Polski, dyrektywach w sprawie równego traktowania kobiet i mężczyzn, orzecznictwie Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości i innym „wynalazkom” zjednoczonej Europy. Do tego numeru napisałam tekst krytyczny dotyczący zcentralizowanych struktur i ich negatywnego wpływu na społeczność¹¹. Mój tekst był utrzymany w ostrym tonie, jego lektura po latach wywołuje u mnie wspomnienia dotyczące sposobu prowadzenia debaty wokół wejścia Polski do Unii i referendum w 2003 roku. Z jednej strony rządowy zachwyt nad profitami związanymi z byciem „częścią Europy”, z drugiej ultraprawicowy dyskurs zagrożenia i potencjalnego wyniszczenia narodu polskiego. W moim tekście dominowało poczucie rozczarowania Unią (zanim jeszcze wstąpiliśmy w jej struktury), skupiłam się głównie na kwestii uszczelniania granic i polityce wobec uchodźców i uchodźczyń.

Po kilku latach wydaje mi się, że teksty pisane z perspektywy praw kobiet przez ostatnie dwadzieścia lat dotyczą zazwyczaj tego samego: rozczarowania pokładanymi nadziejami, że podłączenie się do sprawdzonego systemu, pozornie eliminującego nierówność ze względu na płeć, załatwi za nas problemy z własnego podwórka.

¹⁰ *Raport Kongres Kobiet Polskich 2009. 20 lat transformacji 1989-2009*, Fundacja Feminoteka, Warszawa 2009.

¹¹ S. Chutnik, *Pozorna wolność w obrębie struktur państwowych albo śmiech wolnej meduzy*, [w:] biuletyn OŚKi, 2001, nr 3(16), s. 44.

Chodzi tu zarówno o wyjście z epoki postkomunizmu, jak i powrót do Europy w ramach akcesji do UE. 1989 (pierwsze wolne wybory) i 2004 rok (wejście do Unii) to w gruncie rzeczy lata nadziei, którą żywiły się ruchy kobiece, oczekujące, że w reszcie sytuacja kobiet realnie się poprawi.

Nie chciałabym jednak jednoznacznie zakończyć tego tekstu pesymistycznym obrazem zmian ostatniego dwudziestolecia. Wydaje mi się jednak, że pewne polskie utrapienia, takie jak brak państwa świeckiego, konserwatyzm poglądów i deprecjonowanie kobiecego punktu widzenia (na wszystkich poziomach), sprawia, że obraz „dwudziestu lat wolności” jest mocno zafałszowany. Co to za wolność, skoro prawa kobiet na rynku pracy nadal są łamane, osoby nieheteroseksualne nie mają wręcz żadnych praw, a batalia o legalny dostęp do przerywania ciąży wydaje się być z góry przegrana.

Mozolna praca kobiet zrzeszonych w organizacjach pozarządowych, nieformalnych grupach czy zespołach będzie szła naprzód, mimo stałych problemów w zdobywaniu funduszy na działanie czy oporu kolejnych partii rządzących. Setki kobiet zaangażowanych w ruch feministyczny przypomina mi reklamę, która pojawiła się w latach dziewięćdziesiątych w polskiej telewizji: oto figurki Transformers przemieniają się znienacka z samochodów w groźne potwory. Hasło zachęcające do kupna zabawek brzmiało: „to ukryta broń”. Wydaje mi się, że kobiety są w Polsce właśnie taką ukrytą bronią: tak było za czasów podziemia opozycyjnego, co świetnie pokazuje w swojej książce Ewa Kondratowicz, przeprowadzając wywiady z kobietami zaangażowanymi w opozycję demokratyczną¹², i za czasów działalności pierwszego rządu po zmianie systemowej. Tak jest i teraz: zarówno na poziomie prywatnych relacji domowych, jak i w firmach czy partiach politycznych. Ukrytą bronią miałyby być nie tylko metody osiągania celu, dalekie od agresywnego jątrzenia, zbliżone do dialogu, a nie konfrontacji, ale i konsekwentna walka o prawa kobiet. Poza oficjalnym systemem (choć coraz bliżej mainstreamu), za to coraz bardziej skutecznie.

¹² Por. E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze*, wydawnictwo Sic!, Warszawa 2001.

2.

Czechy

Szczęście bez Seana Connery

Petra Hůlová

Nadeszła wiosna i jak co roku ulice rozbłysnęły kolorami. Różnobarwne sukienki, wymyślne buciki, kapelusze rozmaitych kształtów, kobiety młodziutkie, młode i nieco starsze, z rozkołysanymi biodrami i rozwianymi spódnicami, suną praskimi ulicami, przypominając łódki i łodzie.

Ta troska poświęcana szczegółom fascynowała mnie już od lat dziewczęcych. Założyć obcisłą spódnicę sięgającą niewiele poniżej pupy potrafi każda. Ale wabić za pomocą niedomówień i, co więcej, wyglądać tak, jakby się po prostu przypadkiem wyszło na ulicę, to zupełnie coś innego.

Dwadzieścia lat temu ulice również ożywały na wiosnę. Kobiety dumnie maszerowały w trwałych ondulacjach, przypominających baranki na niebie, stukając obcasami na kocich łbach, w spodniach do pasa, z dużymi kieszeniami i szerokimi paskami, tylko w dłoniach zamiast figlarnych torebek trzymały obwiesłe lub wypchane siatki, w zależności od tego, czy odstały już swoje w kolejce po banany, czy dopiero się do tego przymierzały.

Nie było wtedy wyrafinowania polegającego na dopasowywaniu ubrań po babci do najnowszych trendów w modzie. Starość oznaczała starość, a nie markowe ciuchy, które udają, że niczego nie udają. Bycie sexy to była mini spódnica i wyraźny kolor szminki, bycie intelektualistką to były tłuste włosy upięte w kok i zamszowe buty, natomiast fioletowawe loki zdobiły bez wyjątku komunistyczne świetliczanki z czechosłowackich szkół podstawowych. Krótko mówiąc, człowiek od razu wiedział, z kim ma do czynienia.

Owo westchnięcie, że wtedy było łatwiej, nazywa się nostalgią. To bardziej przejrzyste i czytelne. Do pracy chodzili wszyscy, ponieważ wymagano tego od wyemancypowanych pracowników i pracowniczek w socjalistycznym kraju, zaś domem i dziećmi opiekowały się kobiety, ponieważ to rozumiało się samo przez się. Kobiety pracowały jako traktorzystki, towarzyszkis w radach narodowych, działaczki Partii Komunistycznej oraz agentki tajnej policji. Bez obecności mężczyzn radziły sobie bez kłopotu nie tylko szkolne stołówki, ale wręcz całe szkoły podstawowe, sklepy samoobsługowe, tramwaje, organizacje pionierskie i długie rzędy okienek w komunistycznych urzędach. Dlaczego?

Ponieważ różnice między kobietami i mężczyznami oficjalnie nie istniały, a ponadto mężczyznom nie zależało na mniej płatnej pracy w tak zwanych sferminizowanych zawodach. Dla kobiet praca nie kończyła się jednak w miejscu pracy. Druga zmiana czekała kobietę-przodowniczkę w domu. W królestwie prac domowych, nad którym z brawurą panowała. Kobieta – bohaterka – matka, kobieta – ekipa gotująca i sprzątająca, kobieta – pracowniczka, realizująca plan pięcioletni.

Władek, mąż owej wszechstronnej kobiety, nazwijmy ją na przykład Marią, w wolnych chwilach najbardziej lubił majsterkować w domku na wsi. To, czy w zakładzie państwowym pracuje czy też nie, wychodzi bowiem na to samo, więc raczej nie pracuje i korzysta w wiejskim domku z sił zaoszczędzonych w pracy i w domu, ponieważ tam również nie tylko nie jest władcą, ale także nie ma nic do roboty. Co roku maluje bramkę, z materiałów naturalnych i drutu robi wieszaki, przedmioty dekoracyjne i breloczki do kluczy. Kiedy Maria szoruje szmatą podłogi i gotuje kompoty z renklod, nasz Władek po zakończeniu majsterkowania zdąży jeszcze wieczorem przeczytać coś z drugiego obiegu, nieczytelnego niemal, przepisywanego przez kalkę Havla. (Nawołuje się tam do odwagi obywatelskiej.) Albo wieczorem, kiedy Maria układa dzieci do snu i wiesza pranie, Władek rozmyśla z papierosem, przy otwartym oknie, żeby smrodem tym nie przesiąkło rozwieszone pranie, albo jak się poszczęści, to z uchem przy odbiorniku słucha Medka z Wolnej Europy.

Czytane przez Władka wydawnictwa podziemne przepisywał prawdopodobnie ktoś taki jak Maria. W większości robiły to kobiety. Cichą, niepozorną pracę, wymagającą wyłącznie staranności i cierpliwości, niczego więcej. Bez przepisywania teksty drugiego obiegu by nie zaistniały. Dziękujemy, Wam, kobiety. Za przepisywanie cudzych tekstów nie należą się jednak brawa. Havlowi też by się nie powodziło bez pełnego żołądka, bez troski ofiarnej żony Olgi. Ale poważaniem cieszy się on, to zrozumiałe. Olga zapewniała tylko mężowi zaplecze, warunki do pracy, jak się to nazywa, podobnie jak Maria Władkowi, który co nieco przeczytał Havla, i podobnie jak tysiące innych czechosłowackich

kobiet tysiącom innych czechosłowackich mężczyzn, którzy Havla czytali lub nie. Jeśli chodzi o emancypację, feminizm czy samo zastanawianie się nad kwestiami równości płci, to przynależność do ruchu dysydenckiego nie odgrywa tu żadnej roli.

Ruch dysydencki zajmował się prawami człowieka, nie zaś prawami kobiet. To zrozumiałe. Emancypacja i gender pojawiają się jako temat z reguły w społeczeństwach, które na to „stać”. Bywają one bogate, demokratyczne i kapitalistyczne. Wprawdzie w porównaniu z niektórymi krajami Czechosłowacja była bogata również w czasach komunizmu, nie była jednak demokratyczna ani kapitalistyczna, a tym samym chyba nie „dojrzała” do dyskusji na temat kwestii płci i równości, o ile nie mamy na myśli pseudofeminizmu proreżimowego Związku Kobiet. Wydaje się być naturalne, że w ustroju traktującym prawa człowieka, owi stratowani walczyli ramię w ramię przede wszystkim przeciwko znieprawdzeniu systemowi, cała zaś reszta zeszła na dalszy plan. Wrogi komunizm zapewniał w wielkim stopniu spójność pogładową opozycji, przekonanie o wspólnej sprawie niwelowało brak zgody. Chyba rzeczywiście był to wówczas luksus. Albo też obowiązuje zasada, że tego, co dzieje się na zewnątrz, nie można porównywać z tym, co dzieje się w domu, zaś opór przeciwko ustrojowi nie ma nic wspólnego ze sztywnym reżimem w praskim mieszkaniu opozycjonisty, w którym pan leży w pantoflach na tapczanie i pozwala się obsługiwać. Smutną prawdą jest to, że ustrój patriarchalny rozkwitał w socjalistycznej Czechosłowacji zarówno w rodzinach popleczników komunizmu, jak też w domach opozycjonistów i zapewne można by znaleźć przykłady, kiedy nie wynikało to z wzajemnej umowy dwojga partnerów, jak mówią zazwyczaj o tradycyjnym układzie rodzinnym ci, którzy oskarżają feministki o to, że swobodny wybór to prywatna sprawa każdego człowieka. Stosunki międzyludzkie nie są bowiem układami zawieranymi od zera, ale są to zakonserwowane dawne więzi, które istniały pomiędzy naszymi ojcami i matkami.

Mówi się, że po bitwie każdy jest generałem. Chodzi tutaj jednak nie o ocenę tego, czy emancypacja miała odbywać się już w czasach opozycji,

czy też temat ten został odsunięty na później ze zrozumiałych względów, ale o zwrócenie uwagi na fakt, że tematu równości płci jako takiego w kręgach opozycyjnych jakby zupełnie brakowało. Takiej dyskusji po prostu tam nie prowadzono, aczkolwiek wachlarz tematów intelektualnych na latających wykładach był ogromny. Nie stało się tak na niekorzyść kobiet, i – jakże inaczej – z ich winy. Niczego nie dostaje się za darmo i zmiany reżimu panującego na zewnątrz wymagały również początkowego „szturchnięcia”. Z oczywistych względów mężczyźni nie byli przychylni wobec takiej dyskusji, zaś kobiety nie zdołały jej przeforsować, albo im to nawet być może nie przyszło do głowy. Paradoksalna ulga, kiedy mąż przebywał w więzieniu, a kobieta wreszcie mogła chociażby przez chwilę zająć się sobą, ulga, o której słyszałam od kobiet z kręgów dysydenckich, to jedno ze wstydlivych zjawisk, do których doprowadził ów brak dialogu. Ofiarami nie są w takim przypadku kobiety, ale wszyscy. Same kobiety nie zasługują na bycie ofiarami. Zdawały sobie sprawę z tego, z czym potrafią lub potrafiły poradzić sobie również w minionym ustroju, i były w stanie taki dialog podjąć. Po prostu zabrakło im odwagi, nie przyszło im to na myśl, nikt ich w tym kierunku nie poprowadził. Genderowe przyzwyczajenia są naszą drugą naturą, zgotowaną przez naszych przodków, i nawet po upadku żelaznej kurtyny nadal występuje trochę złych, ale też dobrych jej elementów.

Sama nie pamiętam zbyt dobrze minionej epoki. Kiedy załamiał się ustrój, miałam dziesięć lat, więc jeśli chodzi o komunizm, to zdana jestem na lektury, rozmowy, wyobraźnię oraz własne skąpe wspomnienia. Moi rodzice to typowi przedstawiciele swojego pokolenia. Nie byli chyba pozbawieni kręgosłupa moralnego, ale z całą pewnością potrafili się dostosować. Bali się, jak większość ludzi, i nie zamierzali w żaden sposób ryzykować, nawet jeśli miałoby to być ryzyko w imię idei i poglądów, z którymi się zgadzali.

Z minionej epoki pamiętam przede wszystkim estetykę. Wygląd sklepów spożywczych, polityczne gazetki w naszej kamienicy, czapki z frędzlami i pomponami, noszone wówczas przez dzieci, szarość stolicy, którą uważałam za farbę, jaką pomalowano domy. Żadna z tych rzeczy nie wydawała mi

się niszczała. Było to normalne. Pierwszą nienormalną rzeczą było to, co nastąpiło później.

W domu nie rozmawiało się o polityce. Świątowano upadek ustroju, na demonstracje chodziliśmy całą rodziną. To, że grzęźniemy w czymś strasznym, uświadomiłam sobie dopiero wtedy, kiedy było już po wszystkim. No i że dysydenci to bohaterowie. Matka, podobnie jak tysiące innych kobiet, zakochała się w pierwszych dniach aksamitnej rewolucji w Havlu, o którym jeszcze parę dni wcześniej nie wiedziała prawie nic, jego fotografia wisi do teraz nad jej biurkiem.

Była to epoka jednoznaczna, relatywizacja nadeszła dopiero później. Relatywizacja komunizmu: rzekomo nie wszystko było tak złe. Relatywizacja kręgów dysydenckich: w końcu dogadali się z komunistami, więc jaka to rewolucja. Relatywizacja zwyczajowych ról płciowych. Początkowo cofnęliśmy się nieco w porównaniu z Europą Zachodnią. Masowo zaczęto zamykać żłobki, w mniejszym stopniu również przedszkola, ponieważ dziecku jest przecież najlepiej w domu z matką. Po dekadach wykonywania planów, na początku lat dziewięćdziesiątych do głosu dochodzi hasło powrotu do rodziny.

Kiedy po aksamitnej rewolucji przyjechały do Czech pierwsze zachodnie feministki, by kształcić miejscowe, nieuświadomione członkinie płci pięknej, obie strony były poniekąd skonsternowane. Zachodnioeuropejskim i amerykańskim feministkom podobał się wysoki odsetek pracujących Czeszek, natomiast maniere Czechów i wyłącznie damska obsługa dzieci i domu wzbudzały z kolei ich zgorszenie. Podczas gdy wiele czeskich kobiet wołałoby zostać dłużej z dziećmi w domu, co nie było wtedy w zwyczaju, zachodnie feministki były zakłopotane przede wszystkim niewielką reprezentacją kobiet w sferze obywatelskiej, wychwalały natomiast wysoki poziom zatrudnienia.

Feminizm budził wśród czeskich kobiet po rewolucji przede wszystkim wstręt. Nie tylko dlatego, że amerykańskie i inne feministki wydawały się być kolejnymi z grona mądrali, którzy na początku lat dziewięćdziesiątych śpieszyli z dobrej woli z pomocą, nie rozumiejąc jednak głębiej czeskich uwarunkowań. Ich pewne siebie zachowanie wzbudzało częściej zakłopotanie niż zachwyt, ale

Czeszki nie były po prostu zainteresowane tego typu feminizmem. Już dość się przecież napracowały i do czego im to było potrzebne? Upadek ustroju i wynikająca z tego faktu wolność sprzyjała ciekawszym sprawom. Nie było tu wcześniej takich możliwości, jak okazje nie tylko do podróżowania i sensownych studiów, ale także do poprawy sytuacji dzięki mężczyznom. A więc Czeszki, podobnie jak Słowaczki lub Polki, stały się tuż po rewolucji wymarzonymi kandydatkami na żony właśnie dzięki tym cechom, których zamierzały je oduczyć zachodnie feministki. Dzięki gotowości przejęcia opieki nad mężem i domem w znaczeniu bardziej tradycyjnym, niż to bywa w zwyczaju wśród wykształconych kobiet w Europie Zachodniej. Krótko mówiąc, czeskie kobiety zaczęły hurtowo wymieniać swoje tradycyjne zalety za wyższy poziom życia, chodziły z cudzoziemcami i były ich partnerkami, w odróżnieniu od feministek nazywano to niewstyżeniem się za swoją kobiecość.

Wizerunek feministki był (i w znacznej mierze nadal jest) zgoła niepochlebny. Choć wiele składowych ówczesnego obrazu odeszło w niepamięć, ciągle obecne jest tutaj wyobrażenie kobiety z wąsikami, w workowatym ubraniu, kobiety nieładnej, której mężczyźni nie pragną i której frustracja przeradza się w pełne nienawiści i nieuzasadnione oskarżycielstwo. Wyobrażenie feministki jako kobiety, która nie odniosła sukcesu w sferze „kobiecej” i z powodu braku zainteresowania mężczyzn lub frustracji seksualnych zablądziła aż do feminizmu, nie przestało być do tej pory w Czechach aktualne.

Również te kobiety, które są feministkami, ponieważ mają własne życie i własną pracę i nie są w pierwszym rzędzie opiekunkami rodzinnego ogniska, opowiadają się za feminizmem z wahaniem, mówiąc często: nie jestem feministką, ale ...

Również dla tych, którym bliska jest feministyczna koncepcja świata, pojęcie to nie jest zbyt sympatyczne. Obawiają się wtłoczenia do niepopularnej szufladki, nie chcą należeć do grona kobiet, które nie lubią mężczyzn.

Zderzenie pomiędzy zachodnim feminizmem a kobietami, które karmiono socjalizmem, wynikało w dużej mierze z tradycyjnego powiązania feminizmu z lewicową ideologią. Zachodnie feministki nie były w wystarczającym stopniu

zdatne ani gotowe podzielać zachwyty miejscowych feministek nad nowymi możliwościami, wynikającymi z kapitalizmu. Ich historyczne doświadczenie było odmienne i nierzadko kojarzyły komunizm równie dobrze z brakiem wolności, jak też z utopią wolności, w ramach której równość płci miałaby swoje stałe miejsce. W nowym tysiącleciu zatarły się owe krawędzie „my” kontra „one”, w wyniku naszego wytrzeźwienia z demokracji lub stopniowej utraty seksapilu przez radykalną lewicę u naszych zachodnich sąsiadów. Mniej widoczne stały się także inne różnice. Odmienność wykształcenia, sposobu ubierania, zainteresowań czy też kultury popularnej. Dzięki globalizacji przepastne różnice między kobietami z obu stron dawnej żelaznej kurtyny stały się zaledwie odmiennościami.

Pomimo wszelkiego rodzaju różnic Europa jest zdecydowanie bardziej jednolita niż dwadzieścia lat temu, tym samym bardziej jednolity jest feminizm, czy też feminizmy. Bez względu na to, czy znajdujemy się w Pradze, Berlinie lub Barcelonie, wyraźnie dostrzegalne są dwie podstawowe tendencje. Feminizm w postaci samorealizacji kobiety „na zewnątrz” współistnieje z trendem „nowej rodziny” czy „nowego macierzyństwa”, dążącego do ożywienia tradycji, do swego kroku wstecz. Teraz my spychane jesteśmy na margines, krzyczą owe staro-nowe głosy. Jesteśmy uciskane przez feministki, które nie przywiązują do opieki nad rodziną takiej wagi, na jaką ona zasługuje, zaś kobiety zajmujące się domem traktują jak obywatelki drugiej kategorii. Nie jesteśmy nimi, kobiety te domagają się poszanowania i respektu dla wyboru treści ich życia. Zainteresowanie mediów wzbudzą obie ekstremalne sytuacje. Kobiety na wysokich stanowiskach kierowniczych i kobiety z szóstką dzieci, gotujące codziennie jak dla regimentu. Co na to Maria i Władek?

Maria i Władek, czy też ich o pokolenie młodszy imiennicy, tak zwane dzieci Husáka¹ z okresu baby boomu czeskiej normalizacji w latach siedemdzie-

¹ Gustáv Husák (1913-1991) – czeskosłowacki polityk i działacz komunistyczny, wieloletni przywódca Czechosłowackiej Partii Komunistycznej, na czele której stanął po stłumieniu Praskiej Wiosny, w latach 1975-1989 prezydent kraju.

siątych, mają rocznego Rafaela. Wśród młodych rodziców panuje teraz moda na niezwykle imiona. Maria jest księgową, Władek przedstawicielem handlowym w dużej, międzynarodowej firmie. Maria jest na urlopie macierzyńskim z Rafaelkiem. Dziecko urodziła dopiero w wieku trzydziestu lat, wcześniej trochę podróżowała, byli z Władkiem dwa razy na Korsyce i dwa razy w Paryżu. Jej matka urodziła pierwsze dziecko dziesięć lat wcześniej, miała zaledwie dwadzieścia lat, wtedy, za komuchów, to było normalne. Maria i jej koleżanki niekiedy trochę wyśmiewają się ze swych matek. Młode rodziny mieszkaly wówczas z dziadkami, brz, my byśmy tego nie wytrzymały, no i pobierano się ze względu na pożyczki dla młodych małżeństw. Panna młoda miewała w trakcie uroczystości ślubnej spory brzuch, zaś pierwszy rok z dzieckiem spędzała na praniu tetrowych pieluch. Mieszkania młodych par śmierdziały kupkami i moczem, a młoda matka prawie nie wychodziła z domu, ponieważ z wózkiem nie można było wejść do sklepu, a co dopiero wyruszyć gdzieś komunikacją miejską. Wszędzie mnóstwo schodów, dobrze, że na osiedlach były przechowalnie wózków dziecięcych, natomiast publicznym karmieniem można sobie było co najwyżej narobić wstydu. Siedziało się więc w domu, nie było też żadnych ulepszeń, takich jak łódeczka podróżna, monitory oddechu dla niemowląt, nawilżane chusteczki i gryzaki do chłodzenia obolałych, rosnących ząbków. Dzisiejsza Maria nie siedzi w domu, ale z koleżankami w kawiarni z kąciakiem dla dzieci, gdzie wspólnie wychwalają obecny postęp. Władek obiecał też Marii, że wracając z pracy kupi pieluchy, a nawet szybciotko zmieni Rafaelkowi pieluszkę, jego ojciec tego też nie robił, matce Marii nawet nie wpadłoby do głowy domagać się od męża takich rzeczy. Maria postanowiła, że będzie z Rafaelkiem chodzić na kurs pływania dla niemowląt i na kółko taneczne, w czasopiśmie przeczytała, że dziecko powinno się rozwijać od najmłodszych lat, o tym w czasach komunistycznych też nie myślano. Dziś o wiele staranniej bada się poziom cukru i zawartość azotanów w marchewce dla dzieci. Mnóstwo jest rzeczy, z których Maria może być zadowolona, nie tylko jako matka. W firmie powstanie ponoć kilka niepełnych etatów, a może nawet firmowe przedszkole, będzie więc mogła zostać z Rafa-

elkiem przez cztery dni w domu, a trzy dni w tygodniu pracować. Na szczęście matka jest na emeryturze i popilnuje dziecka, to będzie super.

Władek nie uważa tego za tak bardzo idealne, ojciec nie miał po pracy wcale tylu obowiązków, co on. Ojciec sądzi, że Władek jest odrobinę pod pan-toflem, ponieważ wracając z pracy, wpada po pieluchy. Dobrze, że w domu jeszcze nie prasuje i nie wyciera, bo to oznaczałoby już zupełny upadek. Sodom i Gomora, świat pozbawiony ładu. Władek też troszeczkę się z tym zgadza. W obecności Marii milczy, niech się sama wypowie, ale do wycierania go nie zmusi. Jeśli Maria uważa, że będzie tańczył, jak mu zagra, to się myli. Tak czy owak, kiedyś w kinie powiedziała, że najbardziej jej się podobają Jean Claude Van Damme i Sean Connery, goście, którzy zmiotki w życiu nawet nie widzieli. Kiedy jej to powiedział, tylko się skrzywiła i nic nie odpowiedziała. Jasne, kobiety. Czego byś chciał? – mówi Władek do siebie, ale wie bardzo dokładnie. Czasem chciałby mieć w domu taką zupełnie zwyczajną babkę, która ciągle nie walczy. Nawalczy się przecież wystarczająco w pracy, a dom powinien być przecież oazą. Władek odnosi wrażenie, że czasy są dla niego niesprawiedliwe i jego rola w społeczeństwie jest niejasna, ale nie wie, co z tym począć.

Zwolenniczki „nowego macierzyństwa” powiedziałyby, że Władek z Marią są w drodze do piekieł. Na zasadnicze pytanie, czy czeskie kobiety są dziś szczęśliwsze, nie ma bowiem jasnej odpowiedzi, a jeśli jednak jest, to prawdopodobnie brzmi: „nie są”.

Mężczyznom brak możliwości, by „po męsku” się sprawdzić. Okazji do zademonstrowania siły fizycznej brakowało już wprawdzie w czasach komunizmu, ale patriarchalnej, domowej etykiety jednak przestrzegano. I podczas kiedy wiele dzisiejszych kobiet nadal jeszcze szuka w mężczyznach oparcia, mężczyzna nie ma się na czym oprzeć. Maczugę i siekiere odłożył już dawno temu, o batutę kierownika walczy z żoną, która nigdy nie zrezygnowała z kobiecej broni, mężczyzna jednak nie ma prawa reagować na nią w sposób tradycyjny.

Liberalny feminizm osiąga szczyty w momencie uzyskania równych praw wyborczych. Granice aspiracji radykalnego feminizmu są niewyraźne, podobnie

jak nieograniczony projekt Unii Europejskiej. Jest atrakcyjny dla szerokiego wachlarza graczy tylko pod warunkiem, że mogą w sposób niezakłócony dopieszczać wyobrażenie swego przyszłego członkostwa. Europa jest jak uwodzicielka, niedostępna wprawdzie dla wielu krajów Europy Wschodniej i Turcji, jednak ostatecznego zdania nigdy od niej nie usłyszą, możliwość słodkiego zjednoczenia sprawia, że jest otwarta dla wszystkich. Wyznaczenie własnych granic zniszczyłoby urok projektu Europa, podobnie jak początkiem końca radykalnego feminizmu stałoby się jasne określenie jego celu. Podobnie jak wszechświat, który – aby się nie zapaść – musi się rozszerzać, radykalny feminizm ciągnie nas jak puszki na kocim ogonie nie wiadomo dokąd. Wydaje się bowiem, że świat równości ciągle jest gdzieś daleko, a poza tym, nie wiemy nawet, jak dokładnie miałby wyglądać.

Według niektórych głównym wkładem feminizmu na przestrzeni ostatnich trzech dekad są zbyt wysokie oczekiwania dzisiejszych kobiet wobec własnego życia. Oczekują zbyt wiele zarówno od siebie, jak też od mężczyzn, zaś frustrację wynikającą z niepowodzenia zrzucają na społeczeństwo, oskarżając je o to, że nie umożliwia im życia pełnego sukcesów w każdej dziedzinie, tak jak sobie tego życzyły. Trzydziestoletnia Maria rozpacza, że ciągle jeszcze nie wprowadzono w firmie obiecanego pół etatu, firmowego przedszkola też jeszcze nie ma, a Władek robi wprawdzie zakupy, ale w domu robi nie połowę, ale wręcz nędzną ćwiartkę tego, co ona. Władek tego brudu nie widzi, ona tak. Nadzieje pokłada więc w Rafaelku. Wycierając naczynia, wsuwa mu za każdym razem do rąk plastikowy garnuszek i chusteczkę, aby ją naśladował, powtarzanie jest matką mądrości, jednak Rafaelek szybko odrzuca garnuszek, mając to gdzieś.

Władka denerwuje to, że Maria nie może być od czasu do czasu zupełnie normalna. Do niczego jej przecież nie zmusza, więc niech mu przynajmniej czasem da spokój. Nie żenił się przecież po to, żeby ciągle go ktoś poprawiał, zwłaszcza wtedy, kiedy ze względu na drzazgę w jego oku nie dostrzega belki we własnym. Zaniedbuje się. Prawie w ogóle się nie maluje, choć wie, że za-

wsze głośno ją za to chwali. Jest wiosna, a tej jasnoniebieskiej spódnicy, którą podarował jej rok temu, w tym roku w ogóle jeszcze nie wyjęła.

Władek spogląda przez okno swego biura przedstawiciela handlowego międzynarodowej firmy i widzi zalaną słońcem ulicę. Różnobarwne sukienki, wymyślne buciki, kapelusze rozmaitych kształtów, kobiety młodzieńcze, młode i nieco starsze z rozkołysanymi biodrami i rozwianymi spódnicami suną praskimi ulicami, przypominając łódki i łodzie. Gdybym żył sto lat temu, mówi do siebie, mógłbym po pracy spokojnie wpaść do burdelu, ale i tak nie wie, czy by to zrobił. Być może Marię by to nawet ucieszyło, przychodzi mu na myśl. Utwierdziłaby się tylko w przekonaniu, że faceci są podli, a kobiety to biedulki na nigdy niekończącej się ścieżce wojennej.

Z okna spogląda również Maria. Rafaelek uciął sobie właśnie popołudniową drzemkę, a Maria pali w tajemnicy papierosa w oknie swojego mieszkania. Należy do niej, ma je po rodzicach, Władek w nim tylko mieszka, więc jeśli coś by się stało, to mieszkanie zostanie jej. Tydzień temu, kiedy kochała się z Władkiem po raz ostatni, zgiął ją w łazience na pralce, jej zaś ogromnie się to podobało. Przypomniła sobie wtedy Seana Connery. Czy walczyłby w socjalizmie przeciw komuchom? Wyobraża sobie, że ściska ją w objęciach. Nie ten dzisiejszy, ale ten dawny, z Jamesa Bonda, ten jeszcze całkiem młody i przystojny. Z tego wszystkiego trochę zakręciło się jej w głowie.

Tłumaczyła **Katarzyna Filgasova**

Kobiety i transformacja – przykład czeski

Jiřina Šiklová

Dwadzieścia lat powinno wystarczyć do oceny społeczeństwa, ale pod jakim kątem należy je oceniać? Transformacja rozumiana jest w tym przypadku jako niejasny proces przejścia od „realnego” socjalizmu, czy też inaczej mówiąc, od gospodarki centralnie planowanej do gospodarki rynkowej (używając terminologii ideologicznej) – do kapitalizmu. Z powyższego nie wynika jednak, jakie powinno być kryterium sukcesu, jakie są plusy i minusy. Czy miarą sukcesu będzie wysokość PKB, rozwarstwienie w zależności od wysokości dochodów, czy też włączenie państwa do światowych struktur NATO, UE?

Z perspektywy rozwoju ruchu kobiecego, feminizmu, traktowanie kwestii społecznych oraz politycznych z perspektywy równości płci, zmiany, jakie nastąpiły w Czechach po 1989 roku, są niewiarygodnie duże.

Mówiąc w uproszczeniu: rozpoczęliśmy od zera, obecnie zaś, jeśli chodzi o zagadnienia równości płci, dorównujemy niemal większości państw Unii Europejskiej. Codziennie toczą się w naszych mediach dyskusje na temat równych szans kobiet i mężczyzn, dysproporcji w zarobkach, emeryturach, reprezentacji kobiet w najbardziej prestiżowych zawodach, w nauce, kwot w partiach politycznych, konieczności zmiany sposobu przedstawiania kobiet w podręcznikach i reklamie, roli języka w utrwalaniu dominującej pozycji mężczyzn, kobiet z mniejszości seksualnych i etnicznych, specyficznej wykładni historii z punktu widzenia kobiet oraz innych kwestii, takich jak przemoc domowa, molestowanie seksualne, zmuszanie do świadczenia usług seksualnych, które wcześniej w ogóle nie istniały w świadomości społecznej. W celu rozwiązania tych problemów powstały i wciąż powstają grupy interesu, stowarzyszenia obywatelskie, zakładane nie na mocy ogólnych rozporządzeń państwowych, ale bezpośrednio, oddolnie, z inicjatywy kobiet. W razie pojawienia się trudności, kobiety w Czechach potrafią już formułować własne postulaty i samodzielnie występują z inicjatywą obywatelską, żeby im zaradzić.

Jednocześnie kobiety doświadczyły wszelkich perypetii, jakie były udziałem czeskiego społeczeństwa na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat: przeżyły repriwatyzację majątku, tzw. kuponową prywatyzację, podział państwa na Cze-

chy i Słowację, rozwarstwienie dochodów, powstanie nowego establishmentu – pojawienie się nowych „onych”, na których cedujemy odpowiedzialność. Ogólnie rzecz biorąc, kobiety rzadziej uczestniczyły w owych zmianach, jest wśród nich mniej przedsiębiorczyń niż wśród mężczyzn, miały mniejszy wpływ na kształtowanie się i działalność nowych ośrodków decyzyjnych, a tym samym ponoszą mniejszą odpowiedzialność za niepowodzenia. Wchodziły do sfery publicznej o wiele mniej skompromitowane współpracą z byłym ustrojem, z kolaboracją ze służbą bezpieczeństwa włącznie. Miały idealne warunki wyjściowe, ale nie skorzystały z nich w wystarczającej mierze i do tej pory w mniejszym stopniu niż mężczyźni są reprezentowane zarówno na szczytach władzy, jak i w dziedzinie przedsiębiorczości. W porównaniu z sytuacją sprzed dwudziestu lat nastąpiła jednak wyraźna zmiana i zróżnicowanie ról, jakie odgrywają.

Dla porównania podaję wyrywkowo kilka przykładów: przed 1989 rokiem istniała tylko jedna naczelna organizacja kobieca, mająca pozwolenie na działalność udzielone przez Komunistyczną Partię Czechosłowacji – Związek Kobiet Czeskich, który – bo nie mogło przecież być inaczej – wchodził w skład Frontu Narodowego¹. Młodszym czytelniczkom i czytelnikom przypominam jedynie, że każda organizacja, która powstała za komuny, musiała stać się członkiem tzw. Frontu Narodowego, zadeklarować, że jej celem jest budowanie socjalizmu i zaakceptować kierowniczą rolę Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Innym organizacjom kobiecym nie wolno było działać. Obecnie, jak wynika z zestawienia opublikowanego w *Alty a Soprány II*², w Czechach działa 51 organizacji, które powstały z inicjatywy kobiet – są to stowarzyszenia obywatelskie lub organizacje pożytku publicznego. Gender Studies działają na dwóch uczelniach

¹ Front Narodowy – koalicja zawiązana w Czechosłowacji po przewrocie w 1948 roku, kiedy władzę przejęli komuniści, w której dwie trzecie miejsc było zarezerwowanych dla Komunistycznej Partii Czechosłowacji, a jedna trzecia dla pozostałych partii i oficjalnych organizacji społecznych, co miało sprawiać wrażenie politycznego pluralizmu.

² *Alty a Soprány II* – kieszonkowy atlas inicjatyw na rzecz wspierania równych szans mężczyzn i kobiet opublikowany w 2005 roku.

– Uniwersytecie Karola w Pradze i Uniwersytecie Masaryka w Brnie, ponadto przy Czeskiej Akademii Nauk powstał wydział ds. badań nad społeczno-kulturową tożsamością płci i równymi szansami oraz wydział do spraw monitorowania statusu kobiet w nauce. Działają także cztery kobiece sekcje w ramach poszczególnych partii politycznych, pięć stowarzyszeń i trzy placówki zajmujące się problematyką równości kobiet i mężczyzn w Czechach. Oprócz wydziału Gender Studies przy Instytucie Socjologii Czeskiej Akademii Nauk, istnieje również Międzyresortowa Komisja ds. Równych Szans przy Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej, Rządowa Rada do spraw Praw Człowieka, Komisja do spraw Likwidacji Wszelkich Form Dyskryminacji Kobiet oraz Komisja do spraw Równości w ramach ČMKOS (czyli Czesko-Morawskiej Konfederacji Związków Zawodowych). Pierwsza i najstarsza pozarządowa inicjatywa obywatelska – biblioteka „Ośrodek Gender Studies” powstała już w 1991 roku. W ciągu długoletniej działalności stała się również platformą kontaktów (pozauczelnianych, obywatelskich z zagranicą) i dysponuje prawdopodobnie najlepszym i najbardziej obszernym księgozbiorem z zakresu problematyki feministycznej i *gender studies* w Europie Środkowowschodniej, w każdym razie w krajach postkomunistycznych. Do sukcesu częściowo przyczynił się fakt, iż Gender Studies powstało tuż po zmianie ustroju, kiedy dawna Czechosłowacja była popularna, a Praga stała się Mekką feministek i swego rodzaju Paryżem lat trzydziestych. Decydujące było również wsparcie finansowe i moralne niemieckiej Fundacji im. Heinricha Bölla oraz pomoc międzynarodowych organizacji kobiecych, a w szczególności New School for Social Research. Tam właśnie powstała platforma współpracy feministek z Zachodu z kobietami z Europy Środkowowschodniej, czyli Network of East-West Women – NEWW. Dzięki niej powstało wiele innych organizacji kobiecych. Gender Studies zainicjowało bądź współtworzyło szereg projektów na rzecz kobiet z krajów postkomunistycznych, takich jak chociażby projekt *Pamięć kobiet*, szkolenia międzynarodowe, pomoc dla kobiet należących do różnych mniejszości, migrantek, obejmującą również porady prawne, czy Koalicja Karat. Na uaktywnienie się kobiet w życiu publicznym oraz powstanie ich własnych,

zróżnicowanych pod względem interesów, stowarzyszeń obywatelskich, miały wpływ również starania Czech o przyjęcie do Unii Europejskiej, co wymusiło na politykach konieczność uwzględnienia kryteriów akcesyjnych dotyczących równości płci. Po przemianie ustrojowej dominowało w Czechach negatywne podejście do feminizmu, natomiast obecnie debata równościowa ma już swoje stałe miejsce w sferze publicznej. Często przypomina się o tym, że w polityce jest stosunkowo mało kobiet, co nie jest jednak wynikiem ich dyskryminacji w systemie prawnym. Znacząca jest w Czechach polityczna reprezentacja kobiet na szczeblu lokalnym – pełnią funkcje burmistrzów w gminach, niewielkich miejscowościach lub działają w sektorze pozarządowym. Nadal brakuje ich we władzach partii politycznych i na najwyższych stanowiskach w administracji państwowej. Powodem jest nie tylko silna konkurencja między mężczyznami i kobietami w życiu politycznym, które jeśli już wejdą w świat polityki, to znajdują się w centrum zainteresowania, ale także niewielka atrakcyjność wielkiej polityki. Mniej wtajemniczeni wskazują, że za czasów komuny w parlamencie było więcej kobiet niż obecnie (wtedy 28 proc., teraz zaledwie 15 proc.). Odpowiadam wówczas, że w epoce realnego socjalizmu decyzje polityczne podejmowano w Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Czechosłowacji, parlament o niczym nie decydował oraz że gwarantowano w nim ściśle określoną liczbę miejsc dla robotników, rolników, inteligencji pracującej oraz kobiet. Tak jakby nie miały znaczenia kwalifikacje i pozycja zawodowa kobiet, a jedynym kryterium wyodrębnienia ich jako grupy była płeć biologiczna. Równie często pojawiają się pytania, dlaczego kobiety, które były zaangażowane w działalność opozycyjną, a potem w 1990 roku uczestniczyły w pierwszych strukturach politycznych, zniknęły później z parlamentu i władz partii politycznych. Moim zdaniem nie usunięto ich z zajmowanych pozycji ani nie odsunięto od władzy, tylko w zasadzie dobrowolnie powróciły do pierwotnych zawodów, których w okresie tzw. normalizacji po stłumieniu Praskiej Wiosny nie mogły wykonywać. Zresztą podobnie wygląda to również w Polsce (sytuację polską opisała – co znamien-

ne – amerykańska autorka Shana Penn³), na Węgrzech, w państwach bałtyckich i w niektórych krajach wchodzących w skład byłej Jugosławii. Prawdopodobnie w Rosji i na Ukrainie sytuacja jest podobna, nie znam jednak tamtejszych badań. Kobiety, które uczestniczą dziś w Czechach w polityce najwyższego szczebla, nie wywodzą się z ruchu dysydenckiego, stanowiska objęły dzięki członkostwu w partiach politycznych. Partie polityczne nie były szczególnie łaskawe dla dawnych dysydentek. Wobec prawa wszystkie kobiety i mężczyźni są równi, choć nadal źródłem dyskryminacji są uprzedzenia. Mówienie i pisanie o tym, że kobiety mają dziś znacznie lepszą pozycję niż dwadzieścia lat temu, nie jest popularne. Wskazywanie, co jeszcze należałoby poprawić, jest jak najbardziej na miejscu, jednak ciągle użalanie się nad sobą, przedstawianie w roli ofiary, pozbawia kobiety siły, sugerując daremność ich wysiłków.

W Czechach praktycznie nie ma dyskusji na temat feminizmu – czy raczej feminizmów – jako idei i ideologii, rzadko też z taką debatą można się spotkać w kręgach akademickich. Badania skupiają się głównie na zagadnieniach społecznych z perspektywy równości płci, media zaś prezentują ich wyniki w sposób niezwykle uproszczony. Nikogo nie interesuje feminizm jako filozofia, światopogląd zmierzający do odmiennej interpretacji kultury i historii, czy też jako ideologia domagająca się zmiany paradygmatu cywilizacyjnego. Wiele kobiet pamięta jeszcze obowiązkowe zatrudnianie kobiet (pracowało wówczas 97,8 proc. kobiet aktywnych zawodowo) i przymusowe „przechowywanie” dzieci w żłobkach i przedszkolach. Być może w podświadomości pobrzmiewają echem komunistyczne hasła głoszące, iż feminizm to wroga ideologia, którą Za-

³ S. Penn, *Podziemie kobiet*, tłum. Hanna Jankowska, Warszawa 2003. Shanna Penn jako jedna z pierwszych badaczek zainteresowała się „zniknięciem” kobiet stanowiących większość w ruchu opozycyjnym ze struktur władzy po 1989 roku. Początkowo swoje badania prowadziła w Polsce i ówczesnej Czechosłowacji, ostatecznie zawężyła je do Polski, a ich efektem jest wydana w 2003 roku książka. Badania Penn obudziły zainteresowania udziałem kobiet w podziemnej „Solidarności” – zainspirowały m.in. głośny artykuł Agnieszki Graff *Patriarchat po seksmisji*, opublikowany na łamach „Gazety Wyborczej” w 1999 roku, oraz książkę Ewy Kondratowicz *Szminka na sztandarze. Kobiety Solidarności 1980-1989*. Rozmowy, Warszawa 2001 (przyp. red.).

chód chce zniszczyć walkę robotników i robotnic o zwycięstwo socjalizmu. Kobiety młodsze i słabiej wykształcone często powtarzają pogląd, że kobiety miały w czasach socjalizmu lepsze warunki życia, ponieważ każda mogła łatwo znaleźć pracę. Wiele z nich być może naprawdę uważa, że fakt, iż kobieta potrafi wykonywać taką samą pracę, jak mężczyzna, dowodzi, że są mężczyznom równe. Ideologia komunistyczna podkreślała, że wartością podstawową jest jednolitość. Odrzucanie odmienności kobiet i specyfiki kobiecego doświadczenia rozumiane było jako przejaw ich równouprawnienia. Mało kto pamięta o nierównej pozycji społecznej kobiet i mężczyzn oraz o tym, że jeszcze w 1989 roku ich wynagrodzenia wynosiły zaledwie 69 proc. zarobków mężczyzn (dziś wskaźnik ten wynosi 73 proc.). Nie wolno było mówić o *biedzie*, a jedynie o grupach „o ograniczonej możliwości konsumpcji”, natomiast przemoc wobec kobiet, prostytutkę, rozwody, przerywanie ciąży i niemożliwość podjęcia przez kobiety po studiach pracy w wyuczonym zawodzie uważano za pozostałości kapitalizmu. Ponieważ o tych negatywnych zjawiskach w socjalizmie ani nie pisano ani publicznie o nich nie mówiono, wiele osób uważa, że ich po prostu nie było.

Teoretyczne zagadnienia feminizmu i dyskusja na temat różnych ideologicznych nurtów teorii feministycznych należą do rzadkości. Dzięki studiom nad społeczno-kulturową tożsamości płci (tzw. *gender studies*) obecnie wiemy już z reguły, że rozwiązanie problemów społecznych dotyczących kobiet nie jest tożsame z feminizmem czy feminizmami. Podejmowanie tych problemów wynika przede wszystkim z koncepcji praw człowieka, o których jednak w czasach realnego socjalizmu również nie wolno było pisać i mówić. Wykłady na temat kwestii kobiecych prowadził już Masaryk⁴ w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, zagadnienia równouprawnienia kobiet podejmowane były przed pierwszą wojną światową i po niej, między innymi przez senatorkę Franię Plamínkovą oraz

⁴ Tomasz Garrigue Masaryk (1850-1937) – socjolog, filozof, czechosłowacki mąż stanu, zwolennik niepodległości Czechosłowacji, jej pierwszy prezydent po pierwszej wojnie światowej.

Miladę Horákovą, straconą przez komunistów w 1950 roku. Również w epoce realnego socjalizmu zmieniał się oficjalny stosunek do kobiet. Na początku lat pięćdziesiątych kobiety zatrudniano w charakterze taniej, niewykwalifikowanej siły roboczej, dopiero w następnej dekadzie kobiety zdobyły wyższe kwalifikacje i poprawił się ich status zawodowy.

Podczas gdy po przełomie 1989 roku trudno było zainicjować w mediach dyskusję na temat statusu kobiet i feminizmu, dziś problematyka równości płci jest elementem debaty publicznej, podobnie jak kwestia twórczości kobiet i krytyki twórczości uwzględniającej perspektywę społeczno-kulturowej tożsamości płci. Po 1989 roku udało się wprowadzić takie podejście do dyscyplin uniwersyteckich. Kwestie równości płci dyskutuje się podczas tworzenia ewentualnych struktur politycznych, organizacje pozarządowe podejmują działania w tym zakresie.

Każdą tę dziedzinę należałoby właściwie omówić oddzielnie w odrębnym studium, przedstawiając nie tylko sam rozwój, ale uwzględniając również jego specyfikę w Czechach jako kraju postkomunistycznego.

Aksamitnej rewolucji w listopadzie 1989 roku towarzyszyło także spontaniczne odradzanie się społeczeństwa obywatelskiego i powstawanie stowarzyszeń i fundacji, tj. znanego już teraz u nas tzw. trzeciego sektora, czyli sektora pozarządowego. Również i w tym wypadku rolę odegrały bodźce płynące z Zachodu. Pierwszą połowę lat dziewięćdziesiątych można określić jako okres *identyfikowania, poszukiwania i nowej stratyfikacji statusu i interesów* wszystkich obywateli oraz – naturalnie – kobiet, cechujący się jednocześnie odrzucaniem niemal wszystkiego, co wiązało się z poprzednim ustrojem politycznym. W tamtym czasie równoległe z teoriami feministycznymi pojawiła się także krytyka feminizmu i próby jego ośmieszania. Lepiej wiedzieliśmy, na czym polega antyfeminizm niż feminizm. Pojęcie płci społeczno-kulturowej było wówczas dla czeskich kobiet wówczas bardziej zrozumiałe i łatwiejsze do zaakceptowania niż feminizm. Po przełomie, ze względu na kilkudziesięcioletni wpływ Frontu Narodowego, intuicyjnie odrzucaliśmy możliwość powstania jakiejś organizacji

nadrzędnej. Do tej pory zresztą nie powstała struktura tego typu, jakkolwiek dziś bardziej uświadamiamy sobie korzyści płynące ze ściślejszej współpracy i łączenia się organizacji i grup tworzących ruch kobiecy.

Przy praskich Gender Studies, przy wsparciu organizacji zagranicznych, zrodziła się także inicjatywa założenia placówki, która skupiłaby się na studiach teoretycznych, tam również odbywały się pierwsze wykłady na temat teorii feminizmu. Początkowo seminaria faktycznie prowadzono w pomieszczeniach organizacji, później jednak, mniej więcej od 1993 roku, organizowane przez Gender Studies wykłady odbywały się na Wydziale Filozoficznym, teraz zaś prowadzone są już na wielu uczelniach, a ponadto stały się elementem uniwersyteckiego programu nauczania. Jednocześnie przy Czeskiej Akademii Nauk, przede wszystkim z inicjatywy obecnej dyrektorki Instytutu Socjologii, Marii Čermákovéj, powstał wydział *gender studies*, zajmujący się bardziej problematyką społeczno-kulturowej tożsamości płci niż teoriami feministycznymi. Prezentacją teorii feministycznych i tego, co na Zachodzie określane jest mianem *women's studies*, zajmuje się od 1999 roku placówka akademicka powstała z inicjatywy Gender Studies w Pradze, wchodząca w skład Wydziału Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Karola. Jej absolwenci mogą uzyskać tytuł magistra. Gender Studies powstały również na drugim pod względem wielkości Uniwersytecie Masaryka w Brnie.

Szeroka opinia publiczna interesuje się raczej zagadnieniami społecznymi i politycznymi, takimi jak równe szanse kobiet i mężczyzn, zakaz dyskryminacji kobiet, dlatego też pojawiły się badania dotyczące włączania kwestii równości płci do głównego nurtu (tzw. *gender mainstreaming*). Chodzi o monitorowanie wszelkich działań prawnych czy społecznych na szczeblu centralnym lub lokalnym pod kątem ich wpływu na sytuację kobiet i mężczyzn, a także o budżetowanie uwzględniające perspektywę równości płci (tzw. *gender budgeting*). Obecnie pod kątem równości płci zaczyna się monitorować również rozwój demograficzny, zabezpieczenie społeczne osób starszych, politykę emerytalną, płatną i nieodpłatną pracę w gospodarstwie domowym oraz świadczenie opieki

w rodzinie. Niekiedy używa się nowego pojęcia *genderagemainstreaming*, polegającego na sprawdzaniu, jak społeczno-kulturowe uwarunkowania płci wpływają na sytuację różnych grup wiekowych. Dotyczy to zarówno starzejącego się społeczeństwa, którego dwie trzecie stanowią kobiety, jak i kobiet młodych, które także mają mniejsze lub większe trudności ze znalezieniem pracy ze względu na płeć i tradycyjne role przypisywane kobiecie. Wspomniałam już wcześniej, że integracja europejska wymusiła przyjęcie całego szeregu ustaw w okresie przedakcesyjnym. W porównaniu z rokiem 1989 naprawdę zasadniczo poprawiła się umiejętność grup kobiecych monitorowania sytuacji kobiet i obrony ich interesów, zauważalne są także zmiany w ich pozycji w społeczeństwie.

Dzięki takim działaniom wzmacnia się współpraca w ruchu kobiecym. Rozwój ruchu kobiecego został w Czechach przerwany po 1948 roku, zaś obecnie, gdy można by było odbudować jego ówczesną specyfikę, nie podejmuje się wysiłków w tym kierunku, skupiając się głównie na dążeniach, żeby dorównać państwo zachodnim. Działalność organizacji kobiecych opiera się głównie na naśladowaniu modelu działania zachodnich organizacji kobiecych, próbuje się bowiem zdobyć środki finansowe, których głównym źródłem są obecnie granty unijne. Konkursy grantowe dotyczą tematów, które uważa się obecnie w Europie za istotne. W ten sposób pośrednio nadal dostosowujemy się do kryteriów obowiązujących w krajach starej piętnastki unijnej. Trudno jednak powiedzieć, jak rozwijałby się ruch kobiecy w Czechach, gdyby nie wpływ Unii Europejskiej. Jeżeli mamy żyć w Europie, a ze względu na nasze położenie geograficzne innego wyjścia nie ma, to należy zrównać status poszczególnych grup społecznych. Kobiety są jedną z takich grup. Osobiście najbardziej cenię sobie obecną umiejętność kobiet w Czechach obrony własnych interesów oraz, nawet gdyby miałyby to się odbywać powoli, ich stopniowego forsowania i zdobywania reprezentacji w demokratycznych strukturach, a także działalność kobiet w inicjatywach obywatelskich.

Tłumaczyła **Katarzyna Filgasova**

Czekając na aksamitną rewolucję kobiet

Kateřina Jacques

W oczekiwaniu na kobiecą aksamitną rewolucję – taki tytuł nosi książka zawierająca wywiady z kobietami działającymi w czeskiej polityce, wydana w 2006 roku przez stowarzyszenie obywatelskie o nazwie Fórum 50 %, zajmujące się równością płci¹. Tytuł książki stosunkowo trafnie podsumowuje obecną sytuację kobiet dwadzieścia lat po upadku żelaznej kurtyny.

Ogromne zmiany, które pociągnęła za sobą tzw. aksamitna rewolucja, kontrastują z powolnym i jak dotąd niewystarczającym zaangażowaniem kobiet w liczne obszary życia społecznego. Sytuacja kobiet i ich samoocena uległy wprawdzie poprawie, w wielu dziedzinach trudno jednak mówić o równości obu płci, zaś udział kobiet w życiu publicznym jest niezadowolający. Ich reprezentacja wśród osób zajmujących decydujące i wpływowe stanowiska jest ciągle niewielka – po dwudziestu latach istotny wpływ na funkcjonowanie państwa mają nadal przede wszystkim mężczyźni. Wyrażna jest także liczebna przewaga mężczyzn nad kobietami na stanowiskach cieszących się prestiżem społecznym.

Daleko nam do światowej średniej

Zdecydowanie niezadowolający jest udział kobiet w polityce, szczególnie na najwyższym szczeblu. Statystyki dowodzą, że w tej dziedzinie jesteśmy zacofani nie tylko w porównaniu z europejską średnią, ale także z większością krajów na świecie – według najnowszych danych Republika Czeska w światowym rankin-

¹ Čekání na ženský samet. Třináct a jeden politický rozhovor s českými ženami, Fórum 50 %, Praha 2006.

gu Unii Międzyparlamentarnej zajmuje wśród 135 państw 76. pozycję. Jednocześnie z badań opinii publicznej, włącznie z ostatnimi sondażami, przeprowadzonymi przez agencję CVM w czerwcu 2009 roku dla stowarzyszenia Fórum 50 %, wynika, że 86 proc. ankietowanych przekonanych jest o zaletach związanych z włączaniem się kobiet w politykę, zaś ponad trzy czwarte uważa, że należałoby aktywnie wspierać zaangażowanie kobiet w tej dziedzinie. Budująca jest także tendencja wzrostowa na przestrzeni ostatnich lat. W 1991 roku obecność kobiet w polityce uważało za korzystną zaledwie 61 proc. respondentów, w połowie lat dziewięćdziesiątych tego zdania było 75 proc. ankietowanych, zaś w roku 2004 już 84 proc. Optymistyczne dane liczbowe są wyzwaniem zarówno dla reprezentacji politycznej, jak też dla organizacji pozarządowych, dążących do zwiększenia udziału kobiet w polityce. Na razie jednak wydaje się, że nie potrafią one optymalnie wykorzystać istniejącej konstelacji...

Wiele osób nie akceptuje kwot

Wprawdzie potrzeba zwiększenia reprezentacji politycznej kobiet spotyka się z powszechną zgodą społeczeństwa, zdania na temat sposobu osiągnięcia tego celu są jednak nadal podzielone. Wspieranie wszelkich pozytywnych działań, takich jak chociażby wprowadzenie kwot, postrzegane jest zazwyczaj krytycznie i odrzucane przez czeską opinię publiczną i samych polityków, a nawet wiele polityczek, zaś partie polityczne nie muszą się przejmować presją opinii publicznej czy mediów, żeby więcej kobiet umieszczać na listach wyborczych. Wyborcy życzą sobie wprawdzie większego udziału kobiet w polityce, wydaje się jednak, że podczas wyborczych decyzji kryterium to jest niemal bez znaczenia. Zaplecze ideologiczne partii czy też ich programy wyborcze są dla wyborców znacznie ważniejsze niż liczba kobiet kandydujących z ramienia danej partii. Dobrym przykładem jest doświadczenie „kobiecej” listy wyborczej, przygotowanej przez ugrupowanie polityczne o nazwie Strana Rovnost šancí (Partia Równość Szans), które w roku 2004 i w latach następnych wzbudziło zainteresowanie

bardziej jako kuriozalne zjawisko niż znacząca siła polityczna. Pogląd ten potwierdzony został również przez słaby wynik wyborczy tego ugrupowania. W wyborach parlamentarnych, które odbyły się w 2006 roku, partia ta uzyskała zaledwie 0,20 proc. głosów. Warto także przypomnieć, że wizerunek medialny ugrupowania sprzyjał takiej interpretacji. W Republice Czeskiej niewielu jest na razie wyborców i wyborczyń, dla których podstawowym kryterium podczas podejmowania decyzji jest równa reprezentacja obu płci.

Niedawno minister ds. praw człowieka i mniejszości, nominowany z ramienia Partii Zielonych, Michael Kocáb, przedstawił „rewolucyjny” w czeskim środowisku plan, zgodnie z którym ministerstwo spraw wewnętrznych ma opracować do końca 2009 roku projekt ustawy gwarantującej co najmniej 30-procentową reprezentację kobiet na listach wyborczych partii politycznych w wyborach do parlamentu i samorządów wojewódzkich. Ponieważ projekt uzyskał aprobatę rządu nie mającego mandatu politycznego², nie wiadomo, czy ma on szansę na wprowadzenie w życie. Z obojętnych reakcji mediów oraz przedstawicieli partii politycznych wywnioskować można, że są na to raczej nikłe szanse. Niestety. Tak czy owak to dobrze, że projekt ustawy zostanie opracowany i w przyszłości może stać się fundamentem do kolejnych unowocześnień czeskiej sceny politycznej.

Jedyną znaczącą partią, która bardziej akcentuje kwestię obecności kobiet i mężczyzn na listach wyborczych oraz w programach wyborczych zajmuje się tematem równych szans, jest Partia Zielonych, współpracująca z partnerskimi zielonymi partiami na świecie, a szczególnie z Unii Europejskiej. Na razie wydaje się, że mamy do czynienia bardziej z przejawem dojrzałszej kultury partyjnej niż z przekonywującym sposobem pozyskiwania głosów wyborczych. Dowodem na to jest choćby doświadczenie związane z listą wyborczą do Parla-

² W marcu 2009 roku parlament przegłosował wotum nieufności dla czeskiego rządu, który musiał się podać do dymisji. Uformowano nowy rząd, tzw. rząd „bez mandatu politycznego”, który będzie sprawował władzę do wyborów zapowiedzianych na późną wiosnę 2010 roku.

mentu Europejskiego w 2009 roku, która ułożona została według tzw. systemu suwakowego, czyli naprzemiennie kobieta i mężczyzna na liście. Chociaż zieloni byli jedyną partią, która przedstawiła taką propozycję, fakt ten nie został jednak pozytywnie odnotowany przez media, analityków ani też samych wyborców i nie spowodował lepszego wyniku partii w wyborach.

Niewiele kobiet w polityce najwyższego szczebla

Niewiele jest kobiet, które po roku 1989 wyraźniej wpisały się w świadomość jako polityczki. Wiele z nich angażowało się i nadal angażuje w struktury partyjne niższego szczebla, rzadko natomiast wchodzi w skład kierowniczych gremiów partii. Większość kobiet działała lub działa z reguły na poziomie lokalnym czy też regionalnym – o wiele mniej było i jest kobiet w polityce ogólnokrajowej, monitorowanej przez najbardziej wpływowe media, dzięki czemu mogłaby je zapamiętać szeroka opinia publiczna.

W liczącej 200 posłów Izbie Poselskiej na początku kadencji w 2006 roku było zaledwie 31 kobiet, czyli 15,5 proc. Po ostatnich wyborach do Senatu w 2008 roku wśród 81 senatorów było zaledwie 14 kobiet, czyli 17 proc. Lepiej sytuacja wyglądała w radach miast i gmin, ponieważ reprezentacja kobiet wynosi tam 25 proc.

Ważne jest to, jak kobiety się czują...

Oceniając przemiany czeskiego społeczeństwa dotyczące stosunku do kobiet, warto sprawdzić, jak sytuację kobiet przed rokiem 1989 i w okresie późniejszym oceniają same kobiety. Interesująca jest w tym kontekście wypowiedź socjolożki Jiřiny Šiklovej, bylej dysydentki, która stwierdziła, że należy nie tylko monitorować zaangażowanie kobiet po listopadzie 1989 roku, ale także zbadać ich subiektywne odczucia. Wiele kobiet podkreśla, że w demokratycznym ustroju

człowiek jako taki ma większą wolność, sugerują jednak, by w celu dokonania rzetelnej oceny zbadać również poszczególne aspekty statusu kobiet w czasach „realnego socjalizmu” i po przełomie politycznej i porównać je. Próbą takiej analizy było seminarium zorganizowane w 2006 roku przez stowarzyszenie Gender Studies w ramach projektu *Pamięć kobiet*.

Poświęcono je czesko-niemieckiej pisarce Alenie Wagnerovej, z okazji jej siedemdziesiątych urodzin. Jiřina Šiklová stwierdziła wówczas, iż bezsensowne są próby oceniania sytuacji przed i po roku 1989 za pomocą skali „gorsza-lepsza” i apelowała o bardziej kompleksowy opis przemian, które nastąpiły. Šiklová mówiła o życiu codziennym i wspominała o kobietach w ówczesnej polityce – na przykład w latach osiemdziesiątych kobiety w parlamencie (zgodnie z kwotami) zajmowały 30 proc. miejsc. „Kiedy ktoś mnie pyta, dlaczego teraz nastąpił taki spadek, odpowiadam jak w starym kawale: wtedy parlament był czymś pomiędzy muzeum a teatrem – było całkowicie obojętne, kto w nim siedzi” – stwierdziła Šiklová³.

Trzy etapy realnego socjalizmu

Według Aleny Wagnerovej realny socjalizm nie był monolitem, ale składał się z trzech odmiennych etapów. Pierwszy rozpoczął się w 1950 roku, po zatwierdzeniu ustawy o rodzinie, która w sposób formalny deklarowała równość kobiet i mężczyzn (ciekawe, że w Republice Federalnej Niemiec podobną ustawę przyjęto dopiero w 1971 roku). Drugi etap nastąpił w 1959 roku, kiedy zaczęły pojawiać się wystąpienia specjalistów i specjalistek na dany temat, zaś najistotniejszym punktem był, zdaniem Wagnerovej, kongres pediatrów i pediatryczek, który odbył się w Bratysławie w 1961 roku. Zainicjowano na nim nowe podejście do wychowania dziecka. Podstawą wychowania była rodzina, zaś jej uzupełnieniem

³ Budynek ówczesnego parlamentu usytuowany był między operą a muzeum narodowym (przyp. tłum.).

– kolektyw. Efektem było na przykład przedłużenie urlopu macierzyńskiego. Trzeci etap rozpoczął się według Wagnerovej w 1969 roku. Cechowała go przede wszystkim stagnacja, skupienie się wielu kobiet na sobie i na opiece nad dziećmi oraz brak zainteresowania ówczesną komunistyczną ideologią.

Aksamitna rewolucja i ja

Po okresie realnego socjalizmu w 1989 roku nadeszła tzw. aksamitna rewolucja, oznaczająca brak ciągłości w wielu dziedzinach życia społecznego i stanowiąca zarazem przełom w moim życiu. Początek pełnoletności, osiemnaste urodziny obchodziłam w owym przełomowym roku, otrzymując tym samym wspaniały i nieoczekiwany prezent w postaci upadku reżimu totalitarnego i odzyskania wolności. Postrzeganie przeze mnie okresu przed rokiem 1989 pokrywa się z moim dzieciństwem i dojrzewaniem, zaś po nim – z dojrzałością.

Zmiana, która nastąpiła w 1989 roku, niewątpliwie wyraźnie wpłynęła nie tylko na moje życie. W czasach licealnych wyobrażenia na temat życia kształtowałam poza głównym nurtem społecznym, w środowisku praskich dysydentów, nie pragnąc studiów wyższych, ciekawego stanowiska czy aprobaty społecznej. Szukałam sensu życia, który byłby zgodny z wymogami etycznymi, w ścisłym gronie rodziny i przyjaciół, oraz zajęcia, które nie wymagałoby żadnych powiązań z ówczesną totalitarną władzą.

Wzorem były dla mnie odważne dysydentki

Wzorem były wówczas dla mnie odważne kobiety, zaangażowane w politykę poza oficjalnymi strukturami, zazwyczaj z kręgów Karty 77 i środowisk jej bliskich. Z reguły były to matki moich kolegów z dzieciństwa, które w sposób całkowicie naturalny godziły życie rodzinne z polityczno-apolitycznym zaangażowaniem. Wpłynęły one wyraźnie na moje poglądy, podobnie jak ciekawe lektury, natomiast szkoła, według mnie, miała w tym względzie całkowicie mar-

ginalne znaczenie. Nie angażowałam się w działalność organizacji dziecięcych czy młodzieżowych, zaś relacje koleżeńskie nawiązywałam przede wszystkim poza oficjalnym kolektywem.

Wyraziste kobiece osobowości charakteryzuje w moich wspomnieniach między innymi również odwaga. Dysydyntki cieszyły się naturalnym i silnym autorytetem. W ich przypadku również metody wychowawcze i stosunek do rodziny i gospodarstwa domowego odbiegały od poglądów większości społeczeństwa. W ich rodzinach dzieci traktowano raczej po partnersku, granica między dziećmi i dorosłymi była stosunkowo cienka. Dzieci konfrontowane były z cynizmem ówczesnej władzy i informowane o sensie dążeń rodziców.

Własne wspomnienia i początki mojego zaangażowania obywatelskiego

Inspirujące środowisko Karty 77 przyczyniło się naturalnie do mojego zaangażowania w sprawy obywatelskie. Byłam wyjątkowo aktywna już w szkole średniej, brałam udział w licznych demonstracjach, włącznie z tą kluczową, w dniu 17 listopada 1989 roku, w Alei Narodowej w Pradze, gdzie doszło do najważniejszych starć z uzbrojoną i brutalną władzą. Później organizowałam strajk w naszym liceum i po raz pierwszy przemawiałam do zgromadzonych na Rynku Starego Miasta z prowizorycznego podium na ciężarówce...

Tak czy owak, podobnie jak dla większości osób w kraju, upadek żelaznej kurtyny był dla mnie zaskoczeniem. Nie potrafiłam wyobrazić sobie przyszłości innej niż za drutem kolczastym i nie przygotowywałam się do alternatywy życia w wolnym społeczeństwie. Natychmiast jednak skorzystałam z okazji i tuż po maturze w 1990 roku wyjechałam do Berlina do pracy i na studia, by zdobyć doświadczenie za granicą.

Z perspektywy czasu pewną bezwładnością w sposobie myślenia, pozostałością z okresu przed rokiem 1989, nazwałabym wczesne pragnienie posiadania dzieci, dającymi mi zakorzenienie, od którego uzależnione były pozostałe możliwości samo-

realizacji. Moje wyobrażenia na temat macierzyństwa jako decydującego zadania, które kobieta – a więc również ja – realizuje w sposób naturalny, aktualne były również wtedy, kiedy większość moich rówieśniczek zmieniła nastawienie i na nowe możliwości, które pojawiły się wraz z wolnością po 1989 roku, zareagowała odłożeniem decyzji o macierzyństwie na później. Tak się złożyło, że urodziłam dzieci i wychowywałam je, jednocześnie studiując, a potem pracując zawodowo, podczas gdy pokolenie moich aktywnych rówieśniczek w większości zrezygnowało z tego modelu. Najpierw studiowały i budowały karierę, na dzieci zaś przyszła kolej później.

Bohaterki roku 1989

Z okresu „rewolucyjnego” pamiętam szereg kobiet o wyraźnych osobowościach, które były jego symbolem i aktywnie w nim uczestniczyły, takich jak chociażby Marta Kubišová, wyklęta piosenkarka, sygnatariuszka Karty 77, symbol oporu wobec radzieckiej okupacji, piosenkarka, która nadała listopadowym dniom nieodłączny, emocjonalny akcent. Później jednak nie angażowała się w politykę. Obecnie działa w sferze artystycznej i w trzecim sektorze, z powodzeniem zajmując się ochroną zwierząt. Jest na swój sposób typowym przykładem wielu innych kobiet o wyraźnej osobowości, które przed rokiem 1989 nie mogły pracować w zawodzie, były więzione i działając w ruchu dysydenckim, przyczyniły się do upadku reżimu totalitarnego. Oczywiście uczestniczyły w przemianach, jakie nastąpiły w roku 1989 i tuż po nim. Pozostały jednak w cieniu mężczyzn i stopniowo odsunęły się na drugi plan. Zazwyczaj z różnych przyczyn nie chciały dłużej zajmować się polityką lub po krótkim okresie działalności porzuciły pracę polityczną, wracając do dawnych zawodów.

Unia Europejska ma wpływ na pozycję czeskich kobiet

Po zmianie ustroju polityczna reprezentacja i większość opinii publicznej za jeden z najważniejszych celów Republiki Czeskiej uznała dążenie do członko-

stwa w Unii Europejskiej. Pełna integracja zajęła ponad dziesięć lat, podczas których w okresie transformacji czeskie społeczeństwo pod wieloma względami zapadło na „szereg chorób” i z niektórych nie wyleczyło się do dziś. Nastąpił gwałtowny wzrost korupcji, powszechne rozkradanie mienia, pogór za łatwym zyskiem i brak poszanowania dla bardziej trwałych wartości. Reprezentacja polityczna pod wieloma względami również zrezygnowała z większych ambicji polegających na dążeniu do sprawiedliwego ustroju społecznego. Przejawiało się to w postaci znacznej tolerancji dla zbrodni minionego ustroju, powrotu związanych z totalitaryzmem kadr do najwyższych stanowisk i niewystarczającego poszanowania zarówno dla emigrantów, jak też dla przeciwników bądź ofiar poprzedniego ustroju. Kwestii równych szans i związanej z tym pozycji kobiet także nie uważano za szczególnie ważną.

Do owych żywiołowych procesów stopniowo przenikała presja Unii Europejskiej, która zaaplikowała naszej raczkującej demokracji szereg uzdrawiających norm i reguł, które pozytywnie kształtowały czeskie środowisko. Do dziedzin formujących się pod naciskiem Unii należała i nadal należy problematyka równości płci. Wpływ Unii Europejskiej na pozycję kobiet w czeskim społeczeństwie, z rozwojem organizacji kobiecych włącznie, był i jest wyjątkowy, osobiście zaś uznałabym go za jeden z kluczowych czynników. Jest rzeczą niepodważalną, że kryteria akcesyjne Unii, które Republika Czeska musiała spełnić, oraz liczne wymiany studenckie, pracownicze, kulturalne i turystyka przyczyniły się do poprawy czeskiego środowiska. Spowodowały wzrost tolerancji wobec samorealizacji kobiet i ich prawa do decydowania o własnym życiu. Kobiety uzyskały więc większą wolność w dziedzinie planowania macierzyństwa i zatrudnienia, nie narażając się zarazem na silną presję społeczeństwa, które do tej pory wyznaczało im wyłącznie określone role. Płciowe role kobiet i mężczyzn w Republice Czeskiej zmieniały się na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat podobnie jak w innych krajach bardziej rozwiniętych gospodarczo i politycznie, przy czym tendencje panujące w tych państwach były swego rodzaju bodźcem dla naszego kraju. Kobiety w Czechach odczuwają w ostatnich latach coraz większą potrze-

bę realizowania się w pracy zawodowej, zaś życie rodzinne i macierzyństwo coraz częściej dostosowują do kariery zawodowej.

Zmagania o ustawę antydyskryminacyjną

Po wieloletnich tarapatach i w obliczu groźby rygorystycznych sankcji ze strony Unii Europejskiej, pięć minut po dzwonku, w czerwcu 2009 roku, uchwalono ustawę o równości szans i ochronie przed dyskryminacją. Właśnie wokół tej ustawy rozpetęła się największa chyba debata polityczna i ogólnospołeczna, w którą w sposób niezwykle zaangażowany i skuteczny włączył się zarówno trzeci sektor, jak też środowiska akademickie. Paradoksalnie doszło do tego, że socjaldemokracja, która oficjalnie opowiada się za ideą równych szans i nie-dyskryminacji, przez długi czas blokowała zatwierdzenie kompromisowego, choć cieszącego się poszanowaniem trzeciego sektora i fachowej opinii publicznej, projektu ustawy⁴. A przecież fakt, że nie byliśmy w stanie przez długi czas uchwalić ustawy, sprawił, że Republika Czeska była prawie jedynym państwem członkowskim Unii, które nie chroniło konsekwentnie obywateli i obywateli przed dyskryminacją i nawet po upływie pięciu lat od akcesji nie wdrożyło stosownych dyrektyw, choć był to jeden z warunków naszej integracji, co spowodowało, że w końcu Bruksela wniosła przeciwko Czechom sprawę do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. W ciągu ostatnich trzech lat ustawa stała się przedmiotem niebezpiecznych gier politycznych. Jediną partią, która podjęła wyjątkowy wysiłek na rzecz jej wypromowania, była Partia Zielonych. Osiągnęła

⁴ W 2008 roku prezydent Republiki Czeskiej Vaclav Klaus zawetował ustawę antydyskryminacyjną, którą Czechy były zobowiązane przyjąć w ramach dostosowania krajowego ustawodawstwa do dyrektyw unijnych w zakresie równości płci i przeciwdziałania dyskryminacji. Pytanie, co zrobić z prezydenckim wetem, było przedmiotem zagorzałych sporów. Czeska Partia Socjaldemokratyczna – ČSSD domagała się rozpoczęcia na nowo prac nad ustawą, twierdząc, że zawetowane prawo dawałoby w istocie słabą ochronę przed dyskryminacją, natomiast Partia Zielonych, która wówczas tworzyła z partiami konserwatywnymi koalicję rządową, wołała odrzucić prezydenckie veto i ewentualnie później ustawę znove uwzględnić (przyp. red.).

ona również to, że koalicyjny, centroprawicowy rząd zakończył prace nad ustawą i przekazał ją parlamentowi do zatwierdzenia. Ustawę zawetował słynący z antyeuropejskiego nastawienia prezydent Václav Klaus, odrzucenie jego weta przez Izbę Poselską zajęło niemal rok. Będąca w opozycji socjaldemokracja – z posłankami z ramienia tej partii włącznie – pod rozmaitymi pretekstami przez wiele miesięcy blokowała głosowanie, umożliwiając zatwierdzenie ustawy dopiero po upadku rządu. W ten sposób Republika Czeska pięć lat po wejściu do Unii Europejskiej dołączyła – przynajmniej pod względem formalnym – do kręgu cywilizacyjnego, na który składają się rozwinięte państwa europejskie.

Rozbieżność między słowami i czynami

Zabawne jest to, że jednym z głównych rzeczników sprzeciwu wobec ustawy antydyskryminacyjnej była socjaldemokratyczna posłanka Anna Čurdová, która zajmuje się właśnie problematyką równych szans i w wystąpieniach wspiera kobiety. Niestety, również ona jest przykładem problemu, który, jak sądzę, należy otwarcie opisać. Jest nim sprzeczność między pozornym dążeniem niektórych polityków i polityczek do zmian na korzyść kobiet a ich zachowaniami, które częstokroć kolidują z zadeklarowanym przez nich stanowiskiem lub wyznaczonymi celami politycznymi⁵.

Ciekawym i zarazem alarmującym przykładem ostrej sprzeczności osobistych przekonań konkretnego polityka z oficjalnie zadeklarowanymi celami państwa było całkowicie niestosowne wystąpienie ówczesnego premiera, Mirka Topolánka, z okazji uroczystej inauguracji *Europejskiego Roku Równych Szans* w kwietniu 2007 roku w Pradze. Wystąpienie Topolánka wzbudziło ogromne zainteresowanie, wywołało ogólnospołeczną debatę i masowy sprzeciw organizacji prokobietych i walczących z wszelkimi formami dyskryminacji. Premier zakwestionował sensowność wszelkich „działań pozytywnych”, które eliminu-

⁵ Zob. przypis powyżej.

ją bariery wobec grup znajdujących się w niekorzystnej sytuacji, twierdząc, że działania wyrównawcze powodują właśnie niekorzystną pozycję owych grup. Zdaniem Topolánka, ochrona grup powoduje ich dyskryminację. Dla przykładu wymienił – całkowicie błędnie – „zbyt wysoką i rygorystyczną ochronę kobiet przez kodeks pracy, zwiększającą, jego zdaniem, ryzykowność zatrudniania kobiet i powodującą w efekcie preferowanie mężczyzn”. W rzeczywistości jednak nowy czeski kodeks pracy w ogóle nie dzieli pracowników na kobiety i mężczyzn i posługuje się pojęciem „rodzic” w celu wyrównania roli mężczyzn i kobiet w opiece nad dziećmi.

W swoim wystąpieniu Topolánek posunął się jeszcze dalej, stwierdzając, że kobiety nie stanowią mniejszości pozostającej w niekorzystnej sytuacji, choć zazwyczaj w ten sposób się o nich mówi, i zakwestionował koncepcję równości szans. Cięża i macierzyństwo są według niego przywilejem kobiet, który *a priori* powoduje ich odmienność od mężczyzn, co jest rzeczą naturalną, logiczną i zdrową. Kobieta zaś może podjąć swobodną decyzję nieposiadania dzieci i wtedy ma takie same możliwości zatrudnienia jak mężczyzna. Zdaniem premiera ustawa powinna o tym pamiętać i nie narzucać kobietom ochrony, na której im nie zależy i która paradoksalnie powoduje ich dyskryminowanie. Jeśli kobieta zdecyduje się na przyjęcie roli wyznaczonej jej przez naturę, nie są jej wówczas potrzebne ustawowe wysiłki zmierzające do zapewnienia jej równości. Potrzebny jest jej natomiast elastyczny rynek pracy, który pozwoli jej na zatrudnienie na odpowiednich dla obu stron warunkach. Potrzebne jest jej oczywiście również wsparcie ze strony rodziny.

Przemówienie Topolánka zostało zdecydowanie potępione w liście otwartym przedstawicieli i przedstawicielek organizacji pozarządowych i środowisk akademickich, do których dołączyła również Partia Zielonych. Wspólnie zwrócili oni uwagę na to, że premier w wystąpieniu opowiedział się po stronie koncepcji sprzecznej z zasadami, do których Republika Czeska zobowiązała się, wstępując do Unii Europejskiej oraz z innymi zobowiązaniami międzynarodowymi.

Duże znaczenie trzeciego sektora

Do obszarów, które szczególnie rozwinęły się w okresie budowania standardowego, demokratycznego społeczeństwa, należy sektor obywatelski i pozarządowy, w którym, co ciekawe, kobiety angażują się liczniej niż mężczyźni. Pojawiły się w nim (również na stanowiskach kierowniczych) wyraziste kobiece osobowości, wraz z silnym pokoleniem kobiet należących do przedlistopadowej opozycji (Libuše Šilhánová, Dana Němcová, Jiřina Šiklová, Rut Kolínská czy Marta Kubišová).

Duża liczba organizacji oraz placówek akademickich i naukowych zajmuje się kwestiami społeczno-kulturowej tożsamości płci, feminizmu i kobiet w polityce. Jako studentka politologii i aktywna polityczka, w dużym stopniu korzystałam z ich wiedzy, śledziłam ich działania, uczestniczyłam w wielu spotkaniach i projektach, w ich działalności pokładam też określone nadzieje.

Polityka pułapką dla organizacji pozarządowych

Na podstawie własnych doświadczeń mogę powiedzieć, że organizacje kobiece bardzo dobrze sprawdzają się na polu ogólnej edukacji oraz praw kobiet i ich równego statusu w społeczeństwie. Natomiast ich działalność na niwie politycznej oceniam jako problematyczną i jak dotąd raczej mało skuteczną.

Powodów jest kilka. Do głównych należy moim zdaniem nieznanie środowiska politycznego i niechęć do jego głębszego poznania, a także nieumiejętność zastosowania wiedzy z dziedziny teorii polityki. W Republice Czeskiej brakuje specjalistów i specjalistek z wykształceniem interdyscyplinarnym, którzy potrafiliby zaproponować strategię oparte na wiedzy z zakresu równości płci i zarazem politologii.

Organizacje dążą oficjalnie do tzw. „apolityczności” i „ponadpartyjności” własnych działań, co w przypadku promowania kobiet w polityce jest dość problematyczne, ponieważ polityka to działalność na wskroś praktyczna, ale zara-

zem wyrastająca z konkretnego programu i ideologii. Deklarowane ponadpartyjne, nieideologiczne i równe podejście do wszystkich kobiet zaangażowanych w politykę ściera się w praktyce z wyraźnie przeważającą lewicową orientacją organizacji i ich przedstawicieli/przedstawicieli, czy wręcz z ich własnym ukie-runkowaniem politycznym, preferującym dany nurt lub podmiot polityczny.

Jeśli chodzi o kobiety i politykę, dostrzegam w przypadku organizacji kobiecych kilka tendencji. Dążenie do neutralności w sprawach polityczno-programowych, które w efekcie podważa merytoryczną treść działań politycznych. Organizacje pozarządowe ujednolicają swoje podejście do wszystkich podmiotów politycznych i do wszystkich polityczek, a kwestię płci stawiają wyżej niż istotę pracy politycznej. Następnie, na podstawie „obiektywnie” sformalizowanych kryteriów, oceniają i wspierają polityczki, nie uwzględniając pozostałych aspektów ich pracy. W ten sposób na przykład przedstawicielki Komunistycznej Partii Czech i Moraw mogą być niezwykle pozytywnie oceniane jako polityczki (i często tak właśnie się dzieje), choć reprezentują partię mającą korzenie w totalitaryzmie i głoszącą ideologię, której nie da się pogodzić z zasadami demokracji.

Z drugiej strony często zdarza się, że organizacje pozarządowe i ich przedstawiciele/przedstawicielki odzwierciedlają w swej strategii własne sympatie polityczne, które wpływają następnie na ich podejście do polityczek. Niektóre kobiety są więc preferowane tylko i wyłącznie ze względu na przynależność do ugrupowania politycznego, z którym sympatyzuje dana organizacja.

Lewicowość organizacji pozarządowych⁶

Przykładem niechęci organizacji kobiecych do krytykowania lewicowej partii mogą być niedawne wypadki w Czeskiej Partii Socjaldemokratycznej – ČSSD.

⁶ Autorka klasyfikuje Czeską Partię Socjaldemokratyczną – ČSSD oraz Komunistyczną Partię Czech i Moraw – KSČM jako partie lewicowe. Czeska Partia Zielonych (Strana zelených) nie sytuuje się ani po lewej ani po prawej stronie sceny politycznej w Czechach (przyp. red.).

Ta bardzo silna pod względem liczebności partia, deklarująca otwartość wobec kobiet i wrażliwość na kwestie równości płci, nie była w stanie wybrać choćby jednej kobiety na stanowisko wiceprzewodniczącej zgodnie z zaleceniami wewnątrzpartyjnego regulaminu. Cały proces nieudanych poszukiwań coraz bardziej przypominał farsę.

Po kilku daremnych próbach wyłonienia jednej z grona kandydujących kobiet, prezydium partii wytypowało w końcu kandydatkę bez jakichkolwiek kwalifikacji, ale młodą i atrakcyjną. Jednak nawet ona nie uzyskała mandatu w tajnych wyborach.

Media szczegółowo informowały o tym wydarzeniu, pojawił się też szereg krytycznych komentarzy. Powyżej opisałam burzliwą reakcję organizacji, które natychmiast i bardzo zdecydowanie zareagowały na niestosowne wystąpienie prawicowego premiera Mirka Topolánka podczas inauguracji Roku Równych Szans w 2007 roku. W przypadku porażki partii lewicowej nie słychać było jednak krytyki ze strony organizacji kobiecych ani samych działaczek. Niechęć do nazwania po imieniu pewnych ewidentnie negatywnych zjawisk, które dotyczą lewicowych partii politycznych, podważa jednak autorytet organizacji nie tylko w oczach opinii publicznej, ale także w samych partiach politycznych, które wiedzą, że ich działań się nie monitoruje.

Niezdrowe idealizowanie kobiet

Do grona kolejnych zagrożeń, wynikających z podyktowanego dobrymi intencjami dążenia do zwiększenia udziału kobiet w polityce, zaliczyłabym niezdrową idealizację, opartą na przekonaniu o szczególnych przymiotach charakteru polityczek, co łatwo podważyć, przytaczając negatywne przykłady z praktyki. Z reguły są to często twierdzenia hipotetyczne w rodzaju: więcej kobiet w polityce to większa efektywność, zmniejszenie liczby konfliktów i wzrost racjonalizmu itp.

Moim zdaniem także naiwne i optymistyczne uzasadnienie konieczności zwiększenia udziału kobiet w procesach decyzyjnych raczej zniechęca opinię pu-

bliczną, natomiast ze względu na łatwość, z jaką można je podważyć, i słabość argumentacji jest moim zdaniem wręcz przeciwnie skuteczne. Osobiście uważam, że celowym uzasadnieniem postulatu obecności kobiet w polityce jest zwykle stwierdzenie, że reprezentacja kobiet na stanowiskach decydenckich powinna być taka sama, jak w całej populacji. Zdecydowanie mniejszy udział kobiet niż mężczyzn jest przejawem deficytu demokracji jako takiej i ten niezadowolający stan należy zmienić.

Solidarność jako efekt strategii

Szereg działań edukacyjnych odwołuje się do tzw. kobiecej solidarności. Powszechnie uważa się, że zaczyna ona funkcjonować – podobnie jak w przypadku pozostałych mniejszości w społeczeństwie – dopiero wtedy, kiedy uda się osiągnąć tzw. masę krytyczną powyżej 30 proc. Wypowiedzi czeskich polityczek dowodzą jak na razie, że w czeskiej polityce kobieca solidarność wyraźniej się nie przejawia. Wyjątkiem są próby powołania i działalność kobiecych frakcji lub klubów w partiach, a także stworzony przez socjaldemokratki „kobięcy gabinet cieni” będący protestem przeciwko całkowicie męskiemu rządowi ówczesnego (również socjaldemokratycznego) premiera Miloša Zemana w 2000 roku. W polityce solidarność i zespołowość buduje się trudniej niż w innych zawodach i społecznościach, ponieważ środowisko polityczne z natury rzeczy jest konkurencyjne – polityka to współzawodniczenie idei i koncepcji oraz walka o władzę i stanowiska. Kobiety w polityce również uczestniczą w tych procesach. One również walczą o stanowiska w partiach lub pomiędzy partiami. W przypadku kobiet, podobnie jak w przypadku mężczyzn, możemy zaobserwować autentyczną niezdolność porozumienia się na temat wspólnej strategii, bez względu na to, czy chodzi o forsowanie punktów programu lub o zdobywanie miejsc na listach wyborczych. Nawet w gremiach samorządowych nie ma wspólnych tzw. kobiecych interesów, zarówno jeśli chodzi o politykę równych szans, politykę rodzinną czy budżetowanie z uwzględnieniem równości płci. Praktycznie nie ma zgodnego stanowiska lub jednolitej strategii wśród kobiet z różnych partii politycznych, w tzw. polityce najwyższego

szczebla nie zdarzyło się to nigdy. Natomiast często kobiety działające w polityce wytworzą własny sposób rywalizacji, często osobisty i emocjonalny.

Sądzę jednak, że solidarność między kobietami jest ważna i niekoniecznie musi być spontaniczna. Może być efektem racjonalnej strategii, wypracowanej przez kobiety stopniowo z jakiegoś powodu. Sposobów jest więcej, ciekawe są przykłady samoświadomości i początek solidarności wśród polityczek w wyniku osobistych, negatywnych doświadczeń. Znane są przykłady polityczek, które zmieniły pogląd na temat równości szans wtedy, kiedy odczuły, że same są poszkodowane i szukały usprawiedliwienia dla własnych niepowodzeń. Na przykład Miroslava Němcová, czołowa polityczka Obywatelskiej Partii Demokratycznej, wielokrotnie i zdecydowanie odrzucała wszelkiego rodzaju działania mające na celu wyrównanie szans kobiet w polityce i nie chciała w żaden sposób kojarzona z tymi inicjatywami. Swoją porażkę w wyborach do władz partii uzasadniła właśnie tym, że jest kobietą, co postawiło ją w niekorzystnej sytuacji. Podobnie jej koleżanka partyjna, Alena Páralová, krytycznie odnosząca się do polityki równych szans zdefiniowanej przez UE i odrzucająca dążenia do zwiększenia udziału kobiet w polityce, szukała pomocy organizacji kobiecych wtedy, kiedy nie udało jej się objąć stanowiska ministra w gabinecie cieni. Fakt, iż ministrem został jej partyjny kolega – mężczyzna, skomentowała zaskakująco jako efekt braku równości kobiet i mężczyzn w polityce.

Do wypracowania strategii na rzecz zwiększenia udziału kobiet w polityce mogłyby przyczynić się między innymi analizy przypadków tych polityczek, które odniosły sukces. Choć w Republice Czeskiej na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat niewiele było kobiet w polityce, wpłynęły one bardziej na opinię publiczną niż działania edukacyjne (na przykład Hana Marvanová, Petra Buzková, Jaroslava Moserová i inne). Przykłady z życia są magnesem i doskonałą inspiracją dla kobiet do naśladowania. Warto byłoby sprawdzić, czy w politycznym współzawodnictwie między partiami na pierwszy plan wysuwają się te kobiety, które nikomu nie przeszkadzają, czy też te, które potrafią zdecydowanie wywalczyć sobie miejsce na czołowych pozycjach list wyborczych. Można byłoby również opisać, jak sytuacja ta wygląda w poszczególnych partiach. Nawet bez przeprowadzenia bardziej szczegółowej analizy wydaje się, że w czeskiej polityce najwyższego szczebla występują dwa ro-

dzaje kobiet: wyjątkowo pasywne lub na odwrót – aktywne. Kobiety aktywne walczą o własną przestrzeń, a pasywne reagują raczej na zachęty partii politycznych.

Za bardzo przydatne uważam działania trzeciego sektora ukierunkowane na praktyczne szkolenie kobiet rozpoczynających działalność polityczną, publikowanie rozmów z doświadczonymi polityczkami, pracę z mediami oraz organizowanie seminariów.

Nie sądzę, by polityka realizowana przez kobiety była jakościowo lepsza od polityki męskiej, niewątpliwie jednak mają one odmienne doświadczenia i strategie. Argumentacja w pewnych kwestiach programowych może opierać się na owych doświadczeniach, zyskując w ten sposób na sile przekonywania. Dotyczy to głównie opieki nad dziećmi, kwestii rodzinnych, ale także takich tematów jak zdrowie, ochrona konsumentów itp. Kobiety w polityce utożsamia się na ogół bardziej z dziedzinami humanistycznymi, takimi jak edukacja, kultura, sprawy społeczne itp. Takie ukierunkowanie tematyczne uzasadnia się niekiedy ograniczoną możliwością oddziaływania kobiet w tzw. siłowych – bardziej prestiżowych – resortach lub na odwrót – niechęcią mężczyzn do oddawania kobietom pozycji w obszarach kluczowych z punktu widzenia władzy.

Problematyczna rola mediów

Wprawdzie coraz liczniejsze są artykuły poświęcone równouprawnieniu i w wielu komentarzach pojawiają się ciekawe oceny, to jednak trudno jednoznacznie pozytywnie ocenić media. Kobiety w polityce odpierają inne naciski niż mężczyźni i ich wizerunek medialny skonstruowany jest inaczej. Polityczki na co dzień odpowiadają na pytania, których nie zadaje się ich kolegom, mężczyznom. Najczęściej muszą opisywać swoją sytuację rodzinną i dowodzić umiejętności godzenia macierzyństwa z pracą. Polityczki częściej niż mężczyźni oceniane są także według kryteriów estetycznych, tematem bywa ich wygląd, media (nie tylko brukowce) ogłaszają rozmaite konkursy na „najmodniej ubraną polityczkę” i nadają im różne przydomki (najczęściej blondynka – jeśli mamy do czynienia z kobietą o jasnych włosach...).

Polityczki oceniane są przez społeczeństwo i media według innych kryteriów niż mężczyźni-politycy. Odmienny sposób oceny mężczyzn i kobiet potwierdzają również empiryczne badania czeskiej opinii publicznej, która przypisuje politykom i polityczkom odmienne cechy i ma wobec nich różne oczekiwania. Media (których argumentację przejmują w znacznej mierze także opinia publiczna) dowodzą niekiedy na przykładach kobiet, które opuściły scenę polityczną lub w jakiś sposób się na niej nie sprawdziły, że płęć żeńska nie nadaje się do polityki, zaś dążenie do wyrównania liczby mężczyzn i kobiet określa się jako zbędne lub daremne. Kobiety bardziej niż mężczyźni ulegają niepożądanym uogólnieniom. Często pojawia się dążenie do znalezienia wśród polityczek elementu ujednoliciącego, który uczyniłby z nich homogeniczną i możliwą do opisaną grupę. Potknięcie jednej kobiety bywa uogólniane i wykorzystywane jako argument na rzecz z góry określonej tezy o bezsensowności politycznego zaangażowania kobiet. Polityczki muszą zmierzyć się również z tą tendencją. W odróżnieniu od mężczyzn muszą bardziej walczyć o indywidualne podejście i burzyć dotyczące ich stereotypy.

Z własnego doświadczenia wiem, że istnieją też inne bariery, utrudniające kobietom dostęp do polityki. Należy do nich przede wszystkim trudność pogodzenia działalności politycznej z życiem rodzinnym. Partyjne obrady pochłaniają wiele czasu, odbywają się wieczorami i w weekendy, zaś kobiety matki nie mające odpowiedniego zaplecza rodzinnego z trudem mogą w nich uczestniczyć. Zaistnienie w partii wymaga zaś intensywnego zaangażowania się w działalność partyjną.

Po upływie dwudziestu lat od przełomu politycznego uważam, że dyskusję na temat udziału kobiet w życiu publicznym i w polityce należy koniecznie przenieść na inną płaszczyznę. Trzeba będzie zrezygnować z niektórych utartych ogólników i poszukiwać nowych bodźców, które pozwoliłyby na osiągnięcie wyników lepszych niż dotychczasowe. Wymaga to otwartej i krytycznej dyskusji. Kobiety miały istotny wpływ na rozwój w ciągu ostatnich dwudziestu lat, był on jednak mniej spektakularny niż wpływ mężczyzn. Z punktu widzenia wpływu na władzę kobiety znajdowały się raczej na obrzeżach. Nadal czekamy na kobiecą aksamitną rewolucję...

Tłumaczyła **Katarzyna Filgasova**

3.

Słowacja

O tym, jak
przeszłość jest
wciąż obecna
w naszej
teraźniejszości

Jana Juránová

Obrazy

Tuż po tzw. aksamitnej rewolucji przypadkiem oglądałam w towarzystwie przyjaciółki i koleżanki jakiś głupawy program rozrywkowy w jednej z niemieckojęzycznych stacji telewizyjnych. Występowały w nim, poprzebierane w kostiumy stylizowane na „owoce”, kobiety, które sprawiały wrażenie bardziej obnażonych niż ubranych, a ich zadaniem było kokietowanie i uwodzenie kilku mężczyzn. Wyrażnie zde gustowana programem moja przyjaciółka skomentowała tę scenę: „Mam nadzieję, że zmiana systemu politycznego nie przyniesie nam tego rodzaju «wolności»”. Nie wiem, czemu właśnie to zdanie utkwiło mi w pamięci. I chociaż do dzisiaj czegoś tak strasznie głupiego jeszcze w telewizji słowackiej nie widziałam, to jednak jest wiele programów, w których kobiety – prawdziwe „seksbomby” – są ni mniej ni więcej jak tylko obiektem seksualnym, „daniem serwowanym” mężczyznom, tak aby z apetytem sięgnęli po łakomy kąsek.

Tuż po zmianie systemu wizerunek, jaki się wyłaniał, był co najmniej tak samo wymowny i interesujący, jak rzeczywista pozycja kobiet w społeczeństwie. Tuż po upadku komunizmu media przystąpiły do kreowania różnorodnych wizerunków kobiet. Trudno było przeoczyć tę nową falę wizerunków, które zdecydowanie odbiegały od realiów życia rzeczywistych kobiet, lecz wywierały niezaprzeczalnie silny wpływ na ich życie i to do tego stopnia, że czasem wydawały się bardziej realne niż życie rzeczywistych kobiet. Mimo iż owe „nowe” obrazy bywały często mocno irytujące, a czasem i frustrujące i pełne przemocy wobec kobiet, to mogło się także wydawać, iż w jakimś sensie są dla kobiet korzystne, bowiem „dopieszczają” je i przynosiły ukojenie.

Jaką atmosferę kreują dziś w słowackich mediach takie obrazy? Z czym mogą się utożsamiać kobiety? Czy jest to coś ważnego czy „tylko” nieprzyjemne zaśmieszenie środowiska? Co właściwie kryje się za tym, że niemal wszystkie produkty są dziś reklamowane kobiecym ciałem? A właściwie jakie jest to ciało? Czy to młode i nagie ciało jest „wyłącznie” dekoracją? Czy jest to prawdziwe ciało, a może sztucznie wytworzone, anonimowe, nienależące do żadnej kon-

kretniej kobiety? I dla kogo to ciało jest ważne? Dla kobiet, dla mężczyzn? Jakie relacje zachodzą pomiędzy statusem kobiet w społeczeństwie a wizerunkami kobiet w miejscach publicznych? Czy obrazy te wpływają na zmianę sytuacji kobiet? Albo na odwrót: to one ulegają zmianom, tak jak zmienia się sytuacja i rola kobiet w społeczeństwie? Co ma większą siłę oddziaływania: rzeczywista sytuacja kobiet czy obrazy, które po upadku komunizmu nagle wzięły kobiety w swoje posiadanie?

Poniekąd można wyróżnić dwie przeciwstawne tendencje kreowania wizerunku kobiety: jako piękności albo jako matki. W ciągu ostatnich dwudziestu lat kobiety musiały się mocno konfrontować z jednym i drugim.

Piękna kobieta musi za wszelką cenę zachować idealną urodę. Musi mnóstwo czasu poświęcać pielęgnowaniu własnego ciała, bo piękna kobieta musi być naprawdę piękna. Musi być młoda, seksowna, szczupła, równocześnie biuściasta. Ma do spełnienia jasno określoną funkcję: skutecznie zademonstrować towar i sprzedać. I matka musi być doskonała. Swoją czas musi poświęcać wyłącznie dzieciom i mężowi. Ten rodzaj wizerunku najbardziej wyraziście pojawia się w reklamach produktów spożywczych, środków czystości i higieny, kosmetyków, a więc w reklamach asortymentu, którego rodzina używa codziennie, a najczęściej jego zakupów dokonują same kobiety.

I chociaż te wszystkie „dobre matki” i gospodynie domowe są zawsze ładne i zadbane, a nawet piękne, to obydwie mity – urody i macierzyństwa – były wyraźnie rozgraniczone. Ale trzeba przyznać, iż ostatnio coraz częściej zaczynają się do siebie upodabniać i zlewać w jeden mit. Ujednolicony mit przedstawia jakąś absolutnie doskonałą i absolutnie piękną młodą matkę, która nie tylko pięknie wygląda, ale i perfekcyjnie troszczy się o swoją rodzinę. Ta doskonała kobieta wszystko potrafi i na wszystkim się zna: wie, jak wyczyścić toaletę, jak ugotować pyszne jedzenie, jak wygolić pachy, tak aby były idealnie gładkie itd.

W Słowacji wciąż żywym i kultywowanym jest mit o pięknych Słowaczkach. Nawet z ust polityków od czasu do czasu można usłyszeć, iż w Słowacji mieszkają kobiety najpiękniejsze na świecie, a uroda Słowaczek jest naszym

dobrem narodowym. Te seksistowskie poglądy są typowe dla całego spektrum politycznego, bez względu na przynależność partyjną, niezależnie od tego, czy mówią to politycy partii bardziej tradycyjnych i patriarchalnych, socjalistyczno-komunistycznej, czy nawet bardzo liberalnych. I nawet obecny prezydent Republiki Słowackiej ma na swoim koncie kilka takich wystąpień, a były minister spraw zagranicznych – w przedostatnim gabinecie – niedawno o pewnej modelce powiedział, iż właśnie ona należy do tych, którzy najlepiej reprezentuje Słowację w świecie.

Przed kilkoma laty, najprawdopodobniej pod wpływem tzw. gwiazdek show biznesu, a zwłaszcza modelek zapełniających strony brukowców, mit piękności i mit macierzyństwa zaczęły się zlewać w jedno. Obnażone ciało ciężarnej kobiety, o wiele częściej niż dawniej, jest dziś eksponowane. W czasach komuny ciało ciężarnej kobiety objęte było tabu. Tuż po upadku komunizmu ciało w ciąży również stanowiło tabu – eksponowano wyłącznie smukłe ciało, niekojarzące się wcale z macierzyństwem. Dziś młode i piękne ciężarne kobiety przedstawiane są jako bardzo atrakcyjne. Na jednym obrazku kobieta w ciąży jedną ręką podtrzymuje niemowlę, a drugą pracuje przy laptopie. Ten wizerunek – odwołujący się jedynie formalnie i powierzchownie do zasady równości płci – możemy oglądać na plakacie reklamującym wprowadzenie w życie demokracji płci.

Można się więc, niestety, spodziewać, że podwójne, a nawet potrójne obciążenie, jakiemu poddawane były kobiety w czasach socjalizmu głoszącego socjalistyczną „emancypację”, zostanie w sferze politycznej zastąpione fałszywie rozumianą, bo pustą i beztreściową, demokracją płci.

Role

Role, jakie narzuca obecnie kobietom dyskurs publiczny, zwłaszcza reklamy, media, są ściśle określone i wyznaczone. Nawet na starsze kobiety wywiera się presję i oczekuje, że będą piękne, szczupłe, zadbane, a jednocześnie troskliwe

wobec najbliższego otoczenia. Media są przesycone seksem i seksualnymi obrazami, a równocześnie wmawiają kobietom, że muszą być matkami. Ten stan z jednej strony wytwarza specyficzne napięcie, a z drugiej narzuca kobietom swego rodzaju schizofreniczny imperatyw i instrukcję: równocześnie bądźcie obiektami seksualnymi i troskliwymi matkami.

Po upadku komunizmu niezwykle interesujące, w kontekście narzucających kobietom ról, są empiryczne obserwacje dotyczące praktyk celebrowania niektórych świąt, tradycyjnie poświęconych kobietom. Jeszcze po dwudziestu latach Międzynarodowy Dzień Kobiet obchodzony 8. marca pozostaje w powszechnej świadomości świętem komunistycznym, które nie ma już żadnych treści ani przesłania. Faktem jest, że praktyki świętowania tego dnia w czasach komunizmu pozostawiły głęboki niesmak i do dzisiaj w naszym postkomunistycznym społeczeństwie stanowią symbol pustej, socjalistycznej emancypacji kobiet, za którą nie kryją się żadne treści. Przed paroma laty feministyczne działaczki w naszej części Europy, a nawet częściowo w Słowacji zainicjowały powrót do tego święta. Inicjatywy te nie spotkały się jednak z szerszym odzewem, propagowane były bowiem głównie przez młode kobiety, które w ten sposób protestowały przeciwko oficjalnym obchodom tego święta. Ale i te nieliczne i skromne działania z rozmysłem się deprecjonuje i ośmiesza.

Z drugiej strony obecnie rządząca partia SMER, która podsywa się pod socjaldemokrację, regularnie organizuje, głównie z myślą o starszych kobietach, spotkania partyjne w dniu 8. marca. Ich atmosfera i treść żywo przypominają dawniejsze obchody Dnia Kobiet w czasach komunizmu: jest to mieszanka kiczowatych programów „artystycznych” i wątpliwej jakości komplementów z ust obecnych tam polityków. Paniom obowiązkowo wręcza się czerwony goździk. Pomimo iż spotkania te nie przyciągają licznej publiczności, to pokazywane są przez wszystkie media, z czego jasno wynika, iż zatracił się sens Międzynarodowego Dnia Kobiet, a jego znaczenie zostało całkowicie zdevaluowało.

W czasach komunizmu Dzień Matki nigdy nie był oficjalnym świętem. To, w słowackiej kulturze tradycyjne święto, było natomiast w okresie przed

komunizmem obchodzone w maju. Dzisiaj media podejmują usilne starania, by ponownie zacząć je obchodzić – i dlatego co roku musimy wysłuchiwać częstych wystąpień i czytać o znaczeniu macierzyństwa i „funkcji” matek w społeczeństwie. Zupełnie niedawno zaczęły się pojawiać głosy krytyczne, trudno bowiem ukryć, że z jednej strony macierzyństwo stawiane jest na piedestał, a z drugiej strony, w realnym życiu matki, zwłaszcza matki małych dzieci, bynajmniej nie są faworyzowane. Z okazji Dnia Matki z mediów płyną ciepłe, pełne uznania słowa pod adresem macierzyństwa, pokazywane są obrazki zwłaszcza wielodzietnych matek, podczas gdy przez resztę roku panuje w stosunku do matek i ich dzieci atmosfera zubożenia czy nawet niechęci.

Przemoc wobec kobiet

Nie tak dawno przypadkowo widziałam pewien program telewizyjny – banalne widowisko, w którym jakaś kobieta z odległej wioski ze wschodniej Słowacji opowiadała między innymi o rozwodzie swojej córki. Stwierdziła, że ludzie nie powinni się rozwodzić, albowiem dla całej rodziny rozwód jej córki był prawdziwą tragedią. Następnie ton jej wypowiedzi zmienił się i już bardziej humorystycznie oświadczyła, że „jeśli kobieta jest dobra, mąż musi ją bić, żeby była jeszcze lepsza; ale jeśli jest zła, mąż i tak musi ją bić, żeby była dobra”. Słuchając tych słów prowadząca program nie kryła zażenowania, ale nie zareagowała. Jeszcze kilka lat temu osoba prowadząca program – niezależnie od tego, czy byłaby to kobieta, czy mężczyzna – pewnie zareagowałaby niefrasobliwym śmiechem, traktując taką wypowiedź jak dobry żart. Na szczęście dziś społeczeństwo jest już trochę bardziej wyczulone na kwestię przemocy wobec kobiet.

Następnym gościem rzeczonego programu telewizyjnego była młoda kobieta pracująca w ośrodku pomocy dla ofiar przemocy. Młoda kobieta opowiadała o swojej pracy, a w trakcie relacji spotkała się w programie jedną z klientek ośrodka. Tym razem dziennikarka prowadząca program wykazała się większą wrażliwością i zaangażowaniem – i choć samego tematu przemocy

wobec kobiet nie omawiano z perspektywy feministycznej, to jednak w sposób zdradzający otwartość, co jeszcze dwadzieścia lat temu byłoby nie do pomyslenia. Ale sęk w tym, że dziennikarka nie skomentowała humorystycznej wypowiedzi z początku programu – wypowiedź starszej kobiety ze wsi zbyt całkowitym milczeniem.

Po 2000 roku stosunek do problemu przemocy wobec kobiet uległ wyraźnej zmianie, przede wszystkim za sprawą dwóch ogólnokrajowych kampanii zorganizowanych przez koalicję feministycznych i kobiecych organizacji pozarządowych. Obydwie kampanie zrealizowano bez jakiegokolwiek wsparcia ze strony ówczesnego rządu. Hasło jednej z kampanii: „Co piąta kobieta jest ofiarą przemocy w rodzinie. Interesuje Cię to?” zaszokowało słowackie społeczeństwo w 2000 i 2001 roku. Postępujące zmiany w społecznej świadomości przejawiały się do pewnego stopnia także w praktyce (w ustawodawstwie wprowadzono kilka istotnych zmian), jednakże ważniejsze są zmiany w dyskursie publicznym.

Dopóty, dopóki problematyki przemocy wobec kobiet nie zaczęły poruszać feministyczne organizacje pozarządowe, pojawiała się ona jedynie w brukowcach. O przemocy pisano jako o sensacji, jak o osobistym fiasku konkretnej kobiety. W owym czasie nikt nie odważył się twierdzić, iż problem w rzeczywistości dotyczy dużej liczby kobiet. I chociaż sam temat napotykał z początku duży opór społeczny, spora część społeczeństwa – głównie kobiety – uznała prawdziwość hasła kampanijnego i to, że przemoc wobec kobiet jest faktycznie problemem. Cyfrę „pięć” („Co piąta kobieta jest ofiarą przemocy w rodzinie”) przejęto wtedy z kampanii europejskich; jedna z nich miała miejsce także w Austrii.

W owym czasie w Słowacji nie przeprowadzano żadnych badań, które mogłyby ową liczbę potwierdzić lub zakwestionować. Po dwóch podobnych kampaniach w 2003 przeprowadzono badania, których wyniki okazały się o wiele bardziej zaskakujące: co czwarta kobieta w Słowacji doświadczyła przemocy. Gdyby badania te zrealizowano przed przeprowadzeniem kampanii, wyniki mogłyby być „lepsze”, ponieważ wtedy kobiety nie odważyłyby się o swoich doświadczeniach mówić otwarcie. A niestety, w niektórych grupach

społecznych przypadki przemocy wobec kobiet są jeszcze częstsze. Na przykład na jednym z bratysławskich blokowisk przebywające na urlopie macierzyńskim kobiety, które założyły Centrum Matek, przyznają, iż według ich wiedzy w ich środowisku co trzecia kobieta doświadczyła przemocy w jakimś okresie swojego życia.

Feminizm w Słowacji

Podobnie jak w większości krajów postkomunistycznych, także w byłej Czechosłowacji, czyli i obecnej Słowacji, pod trybunami aksamitnej rewolucji w listopadzie 1989 roku stały tłumy kobiet i mężczyzn, ale z trybun przemawiali prawie sami mężczyźni. I chociaż pojawiło się tam kilka politycznie zaangażowanych studentek, to później funkcje polityczne prawie wyłącznie powierzono mężczyznom. Na trybunach rewolucyjnych i podczas wystąpień publicznych w listopadzie 1989 roku głos oddano niewielu kobietom. Jedno z przemówień szczególnie zapadło w pamięć. Przemawiała znana słowacka aktorka Emilia Vášárová. Motywem przewodnim jej bardzo emocjonalnego wystąpienia była „miłość”, słowo wypowiedane z wielkim dramatycznym patosem brzmiało w naszych uszach bardzo nieodpowiednio i budziło śmiech. Nie dlatego, że inni mówcy emocjom nie ulegali. Jednakże wspomniana aktorka jedynie odegrała swoją rolę – miała być emocjonalna i mówić o miłości.

Niebawem miało się okazać, że w świecie, w którym właśnie komunizm upadł, wszystkie co ważniejsze stanowiska zostały zajęte przez mężczyzn. I chociaż kobiety udzielały im pomocy, w większości pozostawały niezauważalne lub bardzo mało widoczne, nawet ambitne kobiety zajmowały podrzędne stanowiska. Dlaczego tak się działo? – właśnie to i wiele podobnych pytań stało u początków naszej inicjatywy w 1991 roku, która w 1993 roku przerodziła się w oficjalną organizację ASPEKT.

Brak publikacji feministycznych, feministycznej literatury, kultury, polityki itd. był w Słowacji dotkliwy. W 1993 roku zainicjowałyśmy wydawanie feministyczne-

go czasopisma kulturalnego „Aspekt” – i wydarzenie to można uznać za formalne początki *gender studies* w Słowacji. Większość założycielek ASPEKTU parała się w owym czasie literaturą – pisałyśmy własne teksty literackie lub zajmowałyśmy się krytyką literacką, i dlatego literatura stała w centrum naszych zainteresowań. Szybko jednak pojęłyśmy, że potrzebujemy wsparcia od nauk społecznych, bo o wiele bardziej palące stawały się głównie problemy socjalne. Zaczęłyśmy wobec tego podejmować kwestie, które uznałyśmy za najważniejsze po zmianie systemu społecznego. Z tego powodu zajęłyśmy się problemem przemocy wobec kobiet, prawami mniejszości seksualnych, prawami człowieka kobiet, partycypacji politycznej kobiet, edukacji uwzględniającej kwestie równości płci i in.

W moim subiektywnym odczuciu tematy te były jak powiew świeżego powietrza, nowym światem, który nagle stanął przede mną otworem. Pojawiało się wiele pytań, a właściwie mogę powiedzieć, iż więcej było pytań, niż odpowiedzi na nie, ale moje i nie tylko moje odczucia w tym czasie były jasne: tak, teraz zaczynam rozumieć wiele z tego, czego dotychczas nie potrafiłam zrozumieć, bo brakowało mi odpowiednich instrumentów. To moje, i nie tylko moje, wspaniałe uczucie świeżości wkrótce zostało poddane trudnej próbie ze względu na niechęć, z jaką się spotykałyśmy ze strony „demokratycznej” części naszego postkomunistycznego społeczeństwa. Kobiety, które utożsamiały się z feminizmem, musiały stawić czoło negatywnym reakcjom. Porównywano je na przykład do komunistycznych aktywistek (choć komuniści również nie dopuszczali kobiet do kluczowych stanowisk, rezerwując je prawie wyłącznie dla mężczyzn). Ani jedna z kobiet związanych z ASPEKTEM nie należała do partii komunistycznej, mimo to wciąż próbowano utożsamiać nas z komunistkami.

W ciągu ostatnich szesnastu lat działalności pierwszej feministycznej organizacji pozarządowej ASPEKT, Gender Studies na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie oraz jeszcze kilku innych feministycznych i kobiecych organizacji pozarządowych świadomość społeczna zmieniła się na lepsze. Tematy poruszane przez nas w czasopiśmie „Aspekt” docierały do wciąż poszerzającego się kręgu czytelniczek. I chociaż refleksja nad społeczeństwem z perspektywy feministycznej

odbierana była jako nasza próba partycypacji w strukturach władzy, to od początku było dla nas oczywiste, że chodzi o dobrze przemyślaną krytykę społeczną.

Ponad dwadzieścia lat temu wielokrotnie nas przekonywano, iż „najważniejsza jest teraz obrona demokracji, wy zaś marnujecie swoje siły na problemy, które nie są istotne”. My na to miałyśmy własną odpowiedź, którą sformułowaliśmy dość dawno temu: „Nie ma demokracji bez kobiet”. Obawiam się jednak, iż wielu nie chciało i wciąż nie chce naszego stanowiska zrozumieć. Do dzisiaj pamiętam to fantastyczne uczucie z tamtych czasów: to jest moja wolność. Mam teraz własne plany i pomysły i możemy je wspólnie realizować, albowiem do tamtej pory uczestniczyłyśmy na ogół w realizacji planów i pomysłów, jakie mieli mężczyźni. A teraz wreszcie i my mogłyśmy poczuć się wolne. Prawdą jest, iż za to poczucie wolności trzeba było zapłacić dość wysoką cenę: byliśmy niechciane, odrzucane, czasem całkowicie negowane, ale na szczęście nie zawsze.

Kobiety w polityce

Po upadku komunizmu pojawiało się wiele trudnych tematów, które w naszym odczuciu były niezwykle ważne. Mít urody, mít macierzyństwa, udział kobiet w polityce – to tylko niektóre z nich. Jednakże obecność kobiet w najwyższych strukturach polityczno-rządowych była w naszej części świata od początku wymownym wskaźnikiem demokracji płci. Nie było kobiet w „wielkiej polityce”. Dużo dyskutowano o tym, czy kobiety w ogóle powinny się zajmować polityką czy nie, mimo iż jednocześnie część z nich – wprawdzie nieliczne, ale jednak – już była w niej obecna. Wszystkie wybory parlamentarne bywały doskonałą okazją, by gorące dyskusje nabierały takiego właśnie, choć wątpliwego, jeśli chodzi o sensowność toczenia tego typu sporów, polemicznego kierunku.

Warto przywołać w tym kontekście dość typową jak na tamte czasy historię z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy przedstawicielki ASPEKTU zaproszono do udziału w debacie na temat udziału kobiet w polityce. Jedna z polityczek partii chrześcijańsko-demokratycznej wyznała nam wtedy, że bardzo by chciała

wysłuchać naszego wystąpienia, ale przewodniczący partii kazał jej natychmiast przyjść na zebranie partyjne, na którym zamierza wygłosić przemówienie.

Po kilku latach kobiety stały się bardziej widoczne w polityce, ale choć dla wyborców kobiece twarze okazały się atrakcyjniejsze i bardziej przekonujące, liderzy partyni traktowali kobiety instrumentalnie, powierzając im wypełnienie jakichś specjalnych „zadań”, skutecznie uniemożliwiając zajęcie funkcji kierowniczych. Można przytoczyć wiele przykładów takiego nastawienia, najbardziej znanym są perypetie Ivetty Radičovej, profesorki socjologii, wiceprzewodniczącej SDKU (Słowackiej Unii Demokratyczno-Chrześcijańskiej), która w 2009 roku ubiegała się o stanowisko prezydenta Słowacji. Ostatecznie wybory prezydenckie przegrała, lecz jednocześnie odniosła ogromny sukces, natomiast jej macierzysta partia zamiast zdyskontować jej popularność, odsunęła polityczkę na bok, gdyż mogłaby przecież zagrozić obecnemu przywódcy partii.

Mimo iż dziś jest sporo kobiet w polityce, to nie pełnią one funkcji politycznych, które zapewniałyby realną „władzę”. Z drugiej strony można powiedzieć, że temat partycypacji politycznej kobiet skupia w sobie wiele innych zagadnień, między innymi jak w soczewce odbijają się tu wszystkie stereotypy płciowe dość uwewnętrznione przez słowackie społeczeństwo. Jednocześnie przecież sporo się zmieniło: jeszcze dziesięć lat temu media i politycy-mężczyźni byli bardzo krytycznie nastawieni do Magdy Vášáryovej, która wówczas ubiegała się o stanowisko prezydenta Słowacji, albowiem ich zdaniem nie była dość „grzeczna”. Faktem jest, że podczas kampanii, w trakcie debat z innymi politykami, czasami przerywała zdecydowanie swoim interlokutorom, ale tylko w ten sposób mogła dojść do głosu. Z drugiej strony nacjonalistyczny polityk Jan Slota przyszedł na debatę do telewizji na mocnym rauszu i mimo to nie spotkał się z taką krytyką jak Vášáryová. Podczas tegorocznej kampanii prezydenckiej sytuacja wyglądała cokolwiek lepiej dla kandydatki na główny urząd w państwie, choć i tak kobiety są w zdecydowanie gorszym położeniu, są bowiem oceniane na podstawie wyglądu zewnętrznego, wieku, stanu cywilnego itp. W tym kontekście charakterystyczna była wypowiedź pewnego polityka partii chrześci-

jańsko-demokratycznej, który na pytanie: „dlaczego w poprzednich wyborach parlamentarnych na listach wyborczych jego partii nie było ani jednej kandydatki?”, odparł: „Mamy u boku żony, a więc można powiedzieć, że to prawie tak, jakby były na listach wyborczych”. Kobiety aktywne w słowackiej polityce pełnią głównie funkcje podrzędne – służą głównie pomocą mężczyznom: w debatach telewizyjnych biorą udział tylko wtedy, gdy pojawia się jakiś trudny problem do rozwiązania, niekorzystna sytuacja dla partii, wówczas liderzy wysyłają je, by zaradziły kłopotom, a one na ogół robią to dosyć chętnie.

W zasadzie trudno znaleźć polityczkę, która by zajmowała się kwestiami równouprawnienia. Mało komu uda się zrobić polityczną karierę dzięki uwzględnieniu w swoim programie tych kwestii, bowiem z jednej strony nie są one uznawane za ważne, za mające związek z „wielką polityką”, a z drugiej traktowane są jako niebezpieczne. Przyczyn tego stanu rzeczy pewnie należy szukać w przeszłości.

W byłej Czechosłowacji, której Słowacja była częścią, nie narodził się ruch kobiecy. W latach sześćdziesiątych zaczęła się odwilż po ciężkich latach stalinowskich, ale w 1968 roku armia radziecka wraz z wojskami Układu Warszawskiego interweniowała w Czechosłowacji, by skutecznie położyć kres Praskiej Wiośnie i stłumić wszelką aktywność obywatelską. Z kolei lata siedemdziesiąte to dekada „normalizacji”, co w naszym wypadku oznaczało zamknięcie granic – tych realnych, i tych mentalnych.

Żyliśmy w czasach tzw. komunistycznej emancypacji kobiet, która głównie wzięła się stąd, że w dawnym systemie potrzebna była kobieca siła robocza. Nie było jednak politycznego ruchu kobiecego, a zatem nie uświadamiano sobie problemów, z którymi borykały się kobiety. ASPEKT był pierwszą feministyczną organizacją w Słowacji i z tego tylko względu, chcąc nie chcąc, często jesteśmy skonfliktowane z różnymi grupami i środowiskami. Po dwudziestu latach od upadku komunizmu i po szesnastu latach działalności ASPEKTU można stwierdzić, że sytuacja nieco się poprawiła, wciąż jednak niebezpieczne jest dziedzictwo komunizmu – silny formalizm, jałowość i brak jakichkolwiek treści

i idei. Wiele problemów, szczególnie tych dotyczących sytuacji kobiet, pozostaje w świadomości społecznej niewidocznych, a jeśli są widoczne, to nie towarzyszy temu żadna refleksja, fakt, że się o nich zaczyna mówić, nie pociąga za sobą żadnych działań, a one rodzą konflikty.

Życie toczy się dalej, pełne nadziei i rozczarowań. Pięć lat po upadku komunizmu na jednej z konferencji wygłaszałam referat, w którym między innymi napisałam: „Problemu Słowacji nie można sformułować w ten oto prosty sposób: demokracja czy brak demokracji. Tu ważniejsze jest co innego: jaka to będzie demokracja? Czy będzie to demokracja uwzględniająca prawa kobiet, czy demokracja bez kobiet?”. I muszę przyznać, że po dalszych piętnastu latach od tamtej konferencji niewiele się zmieniło.

Tłumaczyła **Magdalena Suwara**

Powiedzcie Zsófiце i innym...

Anna Grusková

...że dobra dziewczynka najpierw nauczyła się pucować buciki...

Jesteśmy na wsi u rodziców ojca. Mam około dwunastu lat. Mój kuzyn, rówieśnik, przez całe popołudnie „naprawia” motor po moim ojcu. Na dworze jest warsztat, a przed nim leży na trawie umorusany olejem kuzyn i dysząc odkręca jakieś śruby.

„Weźmiesz mnie na przejażdżkę, jak skończysz?” – pytam nieśmiało.

„Zobaczy się” – odburkuje z poczuciem świeżo przyswojonej męskiej wyższości i wraca do majsterkowania. Ojciec już go nauczył prowadzić samochód.

„Naczynia!” – krzyczy z kuchni ojciec. Przebieram nogami, nie chce mi się, strasznie nie lubię tego codziennego dwufazowego rytuału, w dodatku bez porządnego zlewu. Wodę najpierw trzeba zagrać na piecu, potem przelać do archaicznych miednic, umyć wszystko w pianie z płynu do mycia naczyń, następnie przerzucić do drugiej miednicy i wypłukać w wodzie, z początku czystej, z czasem przemieniającej się w brudne mydliny. Nie mam na to ochoty, ale w końcu idę do kuchni, bo jestem dobrą, posłuszną dziewczynką.

Po umyciu, wytarciu i ułożeniu na półkach naczyń uciekam z ulgą do rozpoczętej książki, lecz ojciec ma dla mnie kolejne zadanie: pucowanie bucików. Wychodzę przed dom z parą białych butów z dziurkami na czubku. Kuzyn ciągle leży przy motorze. Obserwuję go kątem oka. Już rozłożył na kawałki ładną starą Jawę ojca i teraz dodaje do niej nowe części. Trudno uwierzyć, że ten dziwoląg znów będzie jeździł. W końcu młody majsterkowicz porzuca porozkładane wokół motoru części i wybiega na ulicę. Przyjechał po niego ojciec, mój wujek, bardzo sympatyczny człowiek, który nigdy nie dostosował się do obowiązującej w naszej rodzinie reguły, zawsze ucina sobie poobiednią drzemkę, a co gorsza – i co w rodzinie uważa się za szczyt rozpusty – pali.

Kuzyn wsiada do samochodu wujka i odjeżdżają razem na lotnisko, gdzie jakiś znajomy ma im zademonstrować szybowiec. Po ich zniknięciu ojciec patrzy z niepokojem na rozkręcony motor i porozrzucane części, ale nic nie mówi. Następnie podnosi moje wypastowane buty i woła: „Czy Tobie nie przeszkadza,

że dziurki są zapchane pastą? Weź wykałaczkę i wyczyść to! Musisz się wreszcie nauczyć robić rzeczy porządnie!"

....lecz nie umiała tańczyć

Przez wiele lat śniły mi się żywe, niemal identyczne sny. Między innymi śniła mi się na tysiące sposobów opisana wyżej sytuacja. W jednym ze snów widzę dwie kobiety. Jedna z nich jest piękna, ma rozkloszowaną spódnicę, biżuterię na szyi i rękach, gra na małym bębenu zawieszonym na szyi i tańczy dla własnej przyjemności. Druga z kobiet nie tańczy, tylko patrzy na swoją koleżankę z podziwem i zazdrością. Jest chora, nie może tańczyć – myślę sobie we śnie.

W jednym ze snów jestem na balu. Podchodzi do mnie młody mężczyzna, ja jestem przerażona, bo nie umiem tańczyć. Proszę go, by mnie nauczył, ale on jest przekonany, że znam kroki. Rozglądam się wokół siebie, jest mi wstyd i nagle zauważam, jak pięknie tańczy moja przyjaciółka. Cudnie wygląda w tańcu. Wtem podchodzi do mnie ojciec, na łopatkę niesie popiół z pieca i podsuwa mi go pod nos. Przestaję tańczyć, wysypuję popiół na ziemię i odchodzę. Już nie mam ochoty na taniec.

Kiedy indziej śnią mi się przejeżdżające tuż obok mnie wozy wiejskie. Siedzą w nich roześmiani młodzi ludzie w kolorowych strojach, śpiewają i radują się. To nie dobrze – tłumaczę sama sobie. Wozy nie mają dachów, gdyby zaczęło padać, ludzie zмокną. Nie mają żadnej ochrony. Pamiętam, że jeden sen wywarł na mnie duże wrażenie: stoję przed wielkim stołem uginającym się pod ciężarem dojrzałych żółtych dyń. Wiem, że to są moje zbiory, mój plon, o który muszę się zatroszczyć i zmagazynować go. Z jednej dyni zrobię przetwory, reszty się nawet nie dotknę, zresztą po chwili widzę, że zniknęły. Potem mam to sobie za złe.

Dopiero niedawno zrozumiałam znaczenie tych snów, kiedy zaczęłam tańczyć. Bardzo rzadko notuję coś w dzienniku, ale to uczucie, jakie mi towarzyszyło, gdy mając czterdzieści lat, zaczęłam się realizować artystycznie, próbowałam opisać: „Radość z tego, że tworzę, nie mogę w to uwierzyć, sprawia mi to ogromną frajdę,

tak jak kochanie się, pieszczoty, ze zdziwieniem odkrywam, że to jest prawdą, że nie jest to tylko snem, że dzieje się to teraz, a zarazem boję się, że nie potrwa to długo i znów wróci ten straszny bezużyteczny czas płonnych pragnień i marzeń. Ciągłe wracają do mnie stare związki, stare krzywdy, stare blizny”.

...szanowała swoją rodzinę...

Zanim naprawdę zaczęłam tworzyć i tańczyć, wielokrotnie potknęłam się, czasami ktoś podłożył mi nogę. Reżim, który nie sprzyjał swobodzie twórczej, rodzice uformowani przez reżim i swoich rodziców, ja sama, uformowana przez reżim i rodziców, uformowanych przez rodziców i reżim... Trudno ocenić, kto jest właściwie winny.

Gdzie była moja mama, gdy ojciec mnie uczył czyścić buty wykałaczką? Pewnie gdzieś w pobliżu. Moja mama jest Słowaczką, rodzina ze strony ojca pochodzi z Czech. Ona była biedna, nie miała własnego domu. Nie pasowała do domu rodziców ojca. Do dzisiaj nie lubi sprzątać, gotowanie nie sprawia jej przyjemności i widać tego efekty, z czasem nauczyła się wprowadzić robić przetwory i piec ojcu jego ulubione ciasta świąteczne, lecz sama nigdy nie jadła tych dżemów i ciast, ponieważ dbała o urodę i linię. Ona lubi się śmiać, oni byli wiecznie posępni, mieli poważny stosunek do pracy. Mama była i nadal jest moim słońcem. Dopiero teraz widzę jednak i jego cienie. Jako kobieta nie była dla mnie dobrym przykładem, żyła i nadal żyje z mężczyzną, który jej nie szanuje i poniża ją. Zrezygnowała ze spełnienia w miłości i seksualności i zwróciła się do Boga. Tak jak to bywa ze słowackimi katoliczkami. Z drugiej strony jako prawie czterdziestoletnia kobieta skorzystała z oferty podniesienia kwalifikacji na studiach podyplomowych, żeby móc zmienić pracę. Moja babcia z upodobaniem opowiadała historię, jak zaraz po ślubie, jeszcze w ślubnej sukience, osiadła z mężem na gospodarstwie ciotki. Ta od razu pokazała jej przez okno: „Tam mamy pola. Tam będziesz pracowała”.

Nie zdawała sobie sprawy, że ten model traktowania ludzi przeniósł do relacji ze swoją synową, moją mamą.

Babcia bardzo długo miała czarne włosy, z wiekiem przybywało jej urody. A nie było to wcale jej zasługą. Najlepszym wspomnieniem, jakie miała, była jazda na rowerze z małym prosiakiem na plecach, piętnaście kilometrów z miasta powiatowego, zwierzę rozrabiało całą drogę. Pewnego razu w czasie wielkich upałów ujrzała na polu fatamorganę. Mówiła, że przed jej oczami pojawiła się średniowieczna, pewnie włoska, wioska. Obraz drgał w rozżarzonym powietrzu.

Moja babcia doczekała wprawdzie czasów rewolucyjnych, ale spokój ducha uzyskała wcześniej. Nie miała wygórowanych oczekiwań. „Najważniejsze, że ludzie mają co do ust włożyć” – mówiła. „Z czasów młodości pamiętam biednych ludzi podkradających świniom oberki z ziemniaków”. Nie podobało jej się, że długo studiowała, chciała, żebym tańczyła. Wtedy śmiałam się z tego... Chciała, żebym nosiła jasne kolory i krótkie spódnice, ale ja gustowałam w zupełnie czymś innym. Jej syn, a mój coraz bardziej do niej podobny ojciec, nie potrafił dać sobie rady ze swoim bohaterstwem. Złamało go. Gdy w trakcie kontroli partyjnej po wejściu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji w 1968 roku powiedział, że nie zgadza się z taką „braterską pomocą”, wyrzucili go z ukochanej pracy. Mój ojciec miał wtedy 37 lat i był bardzo dobry pilotem. Chciał latać, chociażby dwupłatowcem rozsiewającym nawozy, chciał być przewodnikiem po Czechosłowacji, ale po wielu nieudanych próbach zatrudnił się w końcu jako spawacz w fabryce samochodów. Swoją delikatnością różnił się od kolegów z pracy. Oni to wy-czuwali i śmiali się z niego. Mój ojciec, szarmancki i serdeczny, tak jak go zapamiętałam z dzieciństwa, zmienił się w zgorzkniałego człowieka.

W domu zaczął składać modele samolotów. Zaczął mnie bić. Czasami bił mnie codziennie. Za błahostki, za to, że go nie posłuchałam, że czegoś nie posprzątałam.

Najczęściej wymierzał mi policzki, czasami sięgał po pasek. Nie robiłam mu na złość, po prostu myślałam o czymś innym. Po raz ostatni mnie uderzył, kiedy jak miałam 19 lat. Pracowałam wtedy w Brnie i chciałam tam zostać na weekend, choć zwykle wracałam do domu. Zaczął na mnie krzyczeć i zaczął mnie bić. Zbuntowałam się i oddałam mu. Zdziwił się i wreszcie przestał mnie bić. Później rozmawiałam na ten temat z moimi rówieśnikami. Większość z nich była bita. W tamtym czasie było to normą.

Gdy upadł komunizm, ojciec miał 57 lat. Został zrehabilitowany i dostał symboliczne zadośćuczynienie. Wielu z jego kolegów założyło szkoły lotnicze, wynajmowali małe samoloty, ale on stracił ochotę na latanie. Przeszedł na emeryturę, troszczył się o swoich rodziców, jeździł na nartach. I jeszcze przez długie lata szukał domu na wsi. Wyjazdy do domu na wsi były za komuny sportem narodowym, ucieczką do natury, do świata własnych reguł. „Za komuny” można było tanio kupić stary wiejski dom w ładnej okolicy. Pojawiało się dużo takich okazji, z żadnej nie skorzystaliśmy. Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że dla ojca liczyła się tylko adrenalina. Wiedział, że niedługo dostanie dom po rodzicach, wiedział, że nie widzą sensu w kupowaniu domu na wsi. W gruncie rzeczy on także był dobrym chłopcem.

... słuchała swoich złych nauczycieli...

Pewnego dnia, gdy byłam w ostatniej klasie szkoły podstawowej, mama wróciła do domu załamana. „Rozmawiałam z twoją nauczycielką, nie dostaniesz rekomendacji do liceum. Powiedziała mi, że była u niej mama twojej najlepszej koleżanki i nakrzyczała na nią, zarzucając jej, że daje rekomendacje wrogom klasowym”. Do liceum mnie nie przyjęli, mimo iż miałam świetne wyniki. Żeby uniknąć zawodówki, poszłam do szkoły bibliotekarskiej, najpierw w Brnie, potem w Pradze. Z moim pochodzeniem społecznym w ogóle nie przyjęliby mnie na studia, ale moja wspiana mama to załatwiła. Umówiła się na spotkanie w ministerstwie gospodarki z bratem znanego członka ruchu oporu, partyzanta Jána Nálepki. Znali się z lat młodości, kiedyś się w niej durzył. Do ministerstwa poszliśmy razem. W końcu z odwołania przyjęli mnie na studia. Tylko ja i jeszcze jedna koleżanka byłyśmy w takiej sytuacji. I tylko my dwie tak naprawdę zajmowałyśmy się potem przez długie lata tym, co studiowałyśmy, czyli teatrologią. Uzyskałyśmy nawet stopień naukowy.

Na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Karola w Pradze mieliśmy seminarium z teoretykiem i krytykiem teatralnym będącym postrachem wszystkich studen-

tów. Tylko on jeden spośród wykładowców zwracał się do nas per „towarzyszu” i „towarzyszko”. Był prodziekanem do spraw ideologii. Kiedyś zapytał złowrogo koleżankę z roku, po tym, jak przedstawiła analizę sztuk Bułhakowa, czy ma jej słowa interpretować jako pochwałę ideologii chrześcijańskiej i co za tym idzie, wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. Przestraszona koleżanka wyparła się wszystkiego. Był to człowiek, który potrafił zadziwiająco zwinnie przepłynąć przez fale zmian po 1989 roku. Po rewolucji piastował nawet krótko funkcję ministra kultury.

Za czasów komuny i po jej upadku miał spory krąg wielbicieli, a głównie wielbicielek. Wyrażał się niezwykle lakonicznie i kulturalnie, znał biegle angielski, co w tamtych czasach było rzadkością, potrafił boleśnie obrażać, czy wręcz upokarzać, dlatego dla wielu osób był postrachem.

Ten mężczyzna uczył nas między innymi analizy krytycznej. Pewnego razu kazał mi w ciągu jednej nocy napisać recenzję. Po spektaklu zaproponował, że mnie odwiezie swoim samochodem do akademika, pod pretekstem, żebym szybciej mogła zacząć pisanie. Gdy podjechalśmy pod akademik, zaparkował w półmroku, wyłączył motor i siedział w ciszy. Nie wiedziałam, co się dzieje, jak mam reagować, więc nie odezwałam się ani słówkiem. Po chwili wysiadłam i pożegnałam się. O ile do tej pory „mnie lubił”, od tego wydarzenia mnie znienawidził. Na początku byłam świetną studentką, potem szło mi coraz gorzej. Przy egzaminach końcowych miałam duże kłopoty. To dziwne, że dopiero teraz, po latach, dostrzegam związki między tymi wydarzeniami. Wtedy winą ciągle obarczałam siebie, że nie jestem wystarczająco mądra, wykształcona, ładna...

Pracę dyplomową chciałam pisać o metodzie jednego z najbardziej interesujących twórców teatralnych na świecie, zajmującym się zwłaszcza teatrem politycznym – Augustie Boali, który w tym czasie działał w Paryżu. Napisałam do niego, a on odpisał zapraszając mnie do siebie. Mój wykładowca-ideolog wydał zakaz wyjazdu, a od jego rekomendacji wszystko zależało. Powiedział: „Pani jeszcze by tam wyszła za mąż i została na zawsze.”

Po przełomie 1989 roku jedna z koleżanek, również jego wielbicielka, zaprosiła go na pewne seminarium międzynarodowe. „A to jest kto?” – zwróciła

się do mnie podczas jego prelekcji pewna feministyczna teatrolożka kanadyjska, zaproszona na seminarium przeze mnie. „Przecież gada o niczym”. Rzeczywiście. W tłumaczeniu z jego wypowiedzi zniknęły wszystkie ozdobniki retoryczne, dramatyczne pauzy, a to, co zostało, nie było wcale ciekawe.

Dziś zdaję sobie sprawę z tego, że ten mały, drobny mężczyzna, który mimo iż był żonaty, przez długie lata miewał romanse z licznymi kobietami, między innymi z moją koleżanką, który poniewierał ludźmi, był typowym produktem reżimu totalitarnego bazującego na manipulacji i strachu. Pamiętam również moje sny z tamtych czasów. Jeden z nich się powtarzał. Jestem jednym z elementów szarej martwej natury, na horyzoncie sterczą konary martwych drzew, a ja brodzę w brudnej wodzie. Wokół mnie nie ma nikogo.

...jeździła w rozklekotanym autobusie Karosa

Odkąd pojawiły się tanie bilety lotnicze, nie podróżuję na długie dystanse autobusami, na krótko przed wejściem do strefy Schengen nie miałam jednak innej możliwości. W nocy zatrzymaliśmy się na niemieckiej granicy. „Proszę przygotować dokumenty” – powiedział przez mikrofon kierowca i włączył światło. Do autobusu między rozespanych podróżnych wszedł niemiecki celnik.

W Austrii, dokąd jeżdżę najczęściej, takich kontroli już nie ma. Na granicy czesko-niemieckiej to pewnie normalna procedura. Celnicy zabierają wszystkie dokumenty i gdzieś z nimi znikają. Jestem zaskoczona swoją emocjonalną reakcją. Wróciły wspomnienia: lata poniżenia, kontrola bagaży w autobusie, formularze wizowe, atmosfera wycieczkowych zakupów w NRD organizowanych przez Rewolucyjny Związek Zawodowy w nowej pracy ojca.

Ten okres mojego życia, który przeżyłam w socjalizmie, dzisiaj kojarzę z wycieczką rozklekotanym Karosem, z zamkniętymi oknami, mimo zatęchłego powietrza, żeby było ciepło. Despotyczny kierowca, znudzeni podróżni, ciężki zapach smażonych kotletów i bułek z wędliną, herbata w plastikowych butelkach po occie...

Całe szczęście, że można było patrzeć przez okno, wysiąść, żeby rozprostować nogi, od czasu do czasu grupowo załatwić potrzebę w odpowiednich miejscach...

...żyła w świecie „uniwersalnym”...

Listopad 1989 roku zlewa mi się z radością z poczęcia mojego syna, krótko przed rewolucją. Wtedy już wiedziałam, że jestem w ciąży. Na ulicach, na które wyległy tłumy, ogarniał mnie stan euforii! Do zarządów rewolucyjnych się nie zgłaszałam, przekonana, że to zadanie przede wszystkim dla mężczyzn, i rzeczywiście, z paroma wyjątkami, faktycznie tak było. Żyłam w uniwersalnym świecie, który w rzeczywistości był męskim światem, co odzwierciedlało się oczywiście w naszym języku.

(Jeszcze dziś muszę się kontrolować, żebym na przykład nie napisać „dzieśnięciu autorów”, jeśli wśród nich są także kobiety.) Niemcy rozwiązyali dylemat, wprowadzając jedno słowo – *AutorInnen*, ale my musimy pisać: „autorzy i autorki”.

...nie potrafiła o siebie walczyć...

W pierwszej obronie mojej pracy doktorskiej w 1995 roku brały udział tylko dwie kobiety – obydwie były komunistki. Jedną była promotorka mojej pracy, wykształcona kobieta, później pierwsza profesorka teatrologii w Słowacji. Druga należała do wykładowczyń, które za komuny miały dobrą pozycję i władzę – i nie zamierzała tego po zmianie systemu stracić.

Przyjaźniła się z szefem mojej instytucji naukowej, który też był kiedyś aktywnym komunistą. W komisji było jeszcze kilku starych mężczyzn, w większości w wieku emerytalnym, ci chcieli jeszcze pracować, więc mocno byli uzależnieni od szefa. Ani moja promotorka ani ja nie miałyśmy bladego pojęcia o tym, że cała grupa umówiła się, że zgłaszuje za nieprzyznaniem mi tytułu naukowego.

Powodów było kilka. W dysertacji doktorskiej powinnam była napisać o osiągnięciach naukowych niektórych z nich, ale w zgodzie z własnymi przekonaniami

wskazywałam na myślowe i metodologiczne stereotypy, które funkcjonowały w Słowacji. Co więcej, różnił się przekonaniem politycznym. Nigdy nie potrafiłam zaakceptować prymitywnego nacjonalizmu ani skrywanej niechęci do Czechów, przecież sama wychodząc za mąż za Słowaka, przeprowadziłam się do Słowacji z Czech.

Ale takie właśnie zachowania były wtedy mile widziane. Premierem został Vladimír Mečiar, pokłosiem jego rządów są podejrzane konszachty władzy ze światem przestępczym, niewyjaśnione afery i głęboki upadek kultury politycznej w Słowacji.

Przeczytano oceny recenzentów – w zasadzie pozytywne – wszystkie zarzuty odparłam, aczkolwiek niektóre z nich były śmiesznie nieprofesjonalne. Wszystko wskazywało na to, że obrona zakończyła się sukcesem. Pogratulowano mi z nieszczerem uśmiechem. Po dwóch dniach przewodniczący komisji zadzwonił do mnie z informacją, że właściwie to się nie obroniłam, bo nastąpił jakiś błąd przy liczeniu głosów. Od mojej promotorki zażądano, by jeszcze raz podpisała protokół z obrony. Kiedy zdecydowała się odejść z Instytutu, szef krzyczał za nią: „Trzeba było wygrać wybory!”.

Moja promotorka nie wniosła sprzeciwu, nie walczyła o mnie. Ja też odpuściłam. W ogóle nie przyszło nam do głowy, że należało walczyć... Dzisiaj nie potrafię tego pojąć. Dlaczego nie złożyliśmy skargi do władz Słowackiej Akademii Nauk? Być może dlatego, że byliśmy przekonani, iż ludzie z komisji najprawdopodobniej mają nie tylko profesjonalne wejścia i możliwości. Myślę, że jeszcze wtedy socjalistyczny strach nas mocno trzymał w ryzach, a bogate doświadczenie podpowiadało, że skarga nie ma żadnego sensu i więcej z niej będzie szkody niż pożytku.

Uratował mnie pewien mężczyzna, znana postać aksamitnej rewolucji, jeden z recenzentów mojej pracy. W obronie nie brał udziału, ponieważ był akurat za granicą. Zorganizował jednak nową obronę, w innym instytucie naukowym. Moja praca została później wydana i była wielokrotnie pozytywnie recenzowana. Mój były szef zemścił się na mnie, publikując informację na stronie internetowej, że przed komisją teatralną swojej pracy nie obroniłam. Perfidia tego postępowania polega na tym, że osoby nieorientowane mogą sądzić, że pracy doktorskiej w ogóle nie obroniłam.

Kiedy przestałam mu się kłaniać, zaczął mnie publicznie obrażać, bo napisałam złą pracę... Jestem przekonana, że to było moje najsilniejsze doświadczenie porewolucyjnego starcia z miazmatami przeszłości.

Tym ciężkim czasom odpowiadały i moje ówczesne sny. Wchodzę do starego domu, próbuję zapalić światło, ale nie udaje mi się, naciskam kontakty na różne sposoby, ale w pomieszczeniach wciąż panuje ciemność. Następnie znajduję starą szatnię, cieszę się, że może w niej będą jakieś skarby i rzeczywiście znajduję stary futrzany kołnierz, ale w świetle widzę, że jest już wyleniały. Uświadamiam sobie, że nie ma tu nic ciekawego.

Kolejny sen: siedzę z kimś w zimnym, nieogrzewanym, nieoświetlonym pociągu. Po jakimś czasie dostrzegam, że w pociągu są jeszcze inne wagony, choćby restauracyjny. Nie można w nim wprowadzić usiąść, ale mnie to nie przeszkadza. Tam jest przynajmniej ciepło, widno, tam są ludzie, jedzenie, a ja siedzę, właściwie nie wiem z kim, marznąc gdzieś po ciemku i na uboczu.

Na całe szczęście w owym czasie otwierał się już przede mną inny świat, miała nowe perspektywy. Świadczy o tym kolejowy sen: podróżuję nowoczesnym, pięknym pociągiem, ale nie ma w nim już miejsc siedzących, muszę podróżować stojąc. Kładę gdzieś torebkę, przechodzę dalej i zapominam o niej. Następnie przypominam sobie o niej, rozglądam się i widzę, jak jakaś kobieta coś z niej wyjmuje. Przepycham się w jej kierunku i widzę, że otwiera nie moją, ale swoją torebkę, leżącą tuż obok. A na dodatek, to jakaś moja znajoma, a może nawet jesteśmy rodziną. Początkowy brak zaufania zmienia się w radość.

...a potem już nie chciała być ani dobrą dziewczynką ani kosmopolitką...

Po rewolucji najważniejszym dla mnie odkryciem była kobieca solidarność i równoległe do niej odkrywanie własnej kobiecości. Wcześniej zafascynowana byłam dekadencją, secesją, stylizowałam się na *femme fatale*, kosmopolitkę i to dawało mi powód do dumy. Nie podejrzewałam nawet, że *femme fatale* to przede

wszystkim męski fantazmat. Jednak któregoś dnia, zupełnie bez powodu, napisałam: *femme fatale* to kobiety klaun. Klaun przenicowany. Na kartce z życzeniami noworocznymi w 2000 roku, którą własnoręcznie zrobiłam, domalowałam swojej „fatalnej” fotografii czerwone policzki klauna. Chciałam już być jedynie *femme* według własnego widzimisię, a nie wytworem cudzych projekcji.

...bo doświadczyła siły kobiecej wspólnoty i stała się kobietą...

Moje pierwsze znaczące spotkanie z esencją kobiecej solidarności i kobiecego intelektu miało miejsce podczas wyjątkowej konferencji, prekursorskiego stowarzyszenia feministycznego ASPEKT. Miałam już wtedy doświadczenie z konferencji naukowych, na których dominowali mężczyźni. Dobrze już znałam reguły konferencyjnych gier – doskonała autoprezentacja, przynudzanie, prezentowanie wąsko ujętych i wyspecjalizowanych tematów, ukrywanie braku własnego zdania i wiedzy pod płaszczykiem obcojęzycznej terminologii i powoływania się na autorytety...

Bardzo rzadko na takich konferencjach dochodziło do ciekawej dyskusji, rzadko pojawiała się na nich coś żywego, prawdziwego, aktualnego. Aż tu nagle znalazłam się w innym świecie. Kobiety z dużą uwagą się słuchały, wypowiadały na temat, a nie po to, by zwrócić na siebie uwagę. Najważniejsze było jednak to, o czym dyskutowano. Wszystkie tematy były dla mnie niezwykle ciekawe, rozważane interdyscyplinarnie i ze znanstwem, z zaangażowaniem, chęcią dogłębnego ich zrozumienia, wszystkie jakby mnie osobiście dotyczyły.

Dzisiaj wspomnienia z tym związane kojarzą mi się z powieścią o dojrzewaniu *Powiedzcie Zsófi*ce węgierskiej autorki Magdy Szabó [wydana w Polsce w 1965 roku – przyp. red.]. Czytałam ją w okresie, kiedy obserwowałam kuzyna, a przy tym pucowałam buciki, ale sens tej książki odkryłam dużo później. Tak jak sens moich snów. Powieść opowiadała o sieroconej przez matkę dziewczynce. Pozostawiła córcę przesłanie, ale nie zdążyła go dopisać. Dziewczynka poszukuje wyjaśnienia, aż wreszcie odkrywa, że na świecie jest wiele matek, które wspólnymi siłami i nieprzerwanie mogą wynagradzać jej to, czego od własnej mamy nie mogła dostać.

...która poszukuje i znajduje swoje siostry i matki...

Przeczytałam *Biegnąc z wilkami* Clarissy Pinkoly Estés, a także książkę amerykańskiej lekarki Christiane Northrup *Women's Bodies, Women's Wisdom*, czytałam wspaniałe książki wielu innych „siostr i matek”, które opublikowały moje „siostry i matki” Jana Cviková i Jana Juráňová w czasopiśmie i wydawnictwie ASPEKT: Karen Horney, Judith L. Herman, Elisabeth Badinter... Pracuję dla teatru i w trakcie pracy spotkałam wiele kobiet. W Bronxtonie, w Amsterdamie, Bernie, Pradze, Bańskiej Bystrzycy i u siebie Bratysławie mam swoje teatralne matki i siostry, piszę dramaty, wybieram teksty literackie dla teatrów, reżyseruję, czasem występuję na scenach... Nie zapominam o teoriach.

Zainteresowałam się różnymi kursami tańca. Noszę jasne kolory i krótkie spódnice.

Nie śnię. Żyję.

...a jeszcze nie skończyła

Niedawno podczas warsztatu *The Inner Child* prowadzonego przez izraelską aktorkę Net Plotzki widziałam obrazek dziewczynki skaczącej przez skakankę trzymaną przez dwóch chłopców. Od razu przyszło mi do głowy, że chłopcy manipulują dziewczynką, która skacze, w narzuconym przez nich (skakanką) rytmem. Potem uświadomiłam sobie, że oni właściwie jej pomagają, aby była szczęśliwa. I że przyszedł czas na zmiany w mojej głowie. Teraz mam przed sobą bardzo ważne zadanie. Odnaleźć moich ojców i braci. Wiem, że muszę to zrobić.

Tłumaczyła **Magdalena Suwara**

Feminizm jako praktyka wolności

Ľubica Kobová

Miało to miejsce w lipcu 1996 roku w Humenné. Wracaliśmy właśnie z mało atrakcyjnego dla mnie kąpieliska. Taplanie się w przepelnionym basenie uważałam za zabawę miejską, niezbyt zrozumiałą dla dziewczyny, która i tak zazwyczaj spędzała wakacje na wsi. Dla miejskich dziewcząt i chłopaków woda była czymś tak podstawowym, jak dla dorastających wiejskich intelektualistek czasopisma i książki w czasie wakacji, wiosenne sadzenie ziemniaków i jesienne wykopki.

Humenné nazywane jest metropolią Zemplina. Ponieważ znajdowała się tam wtedy jedyna w okolicy księgarnia, a nazwy wszystkich sklepów były dwujęzyczne – słowackie i ukraińskie, to chyba można się z tą oceną zgodzić. Prawdopodobnie tylko machinalnemu funkcjonowaniu ówczesnego rynku księgarskiego mogę zawdzięczać, że na jednej z ciemnobrązowych półek z dykty w księgami w jednopiętrowej kamienicy na rynku znalazłam czasopismo „Aspekt”. Na okładce widniał podtytuł „feministyczne czasopismo kulturalne”, w sklepie leżały dwa numery poświęcone pisarstwu kobiet i egzystencji lesbijskiej. Z księgami wyszłam z jednym z nich i wieczorem, zamiast oglądać z wujostwem na wideo horrory kupione podczas ich pierwszej porewolucyjnej wizyty w Szwajcarii u prawuja i jego rodziny, zajęłam się lekturą czasopisma feministycznego. Następnego dnia poszłam kupić drugi numer.

I tak oto kilka lat po tym, jak grupa kobiet z Bratysławy i Pragi stwierdziła, „że już pora na serio zająć się problemem równości i demokracji i wcielić je w życie ludzi płci żeńskiej na Słowacji”¹, połączyłam się z tymi feministkami za pomocą tak dziś już przestarzałego medium jak czasopismo. Bo czyż nie jest to spełnieniem marzeń o dotarciu „pod strzechy z feminizmem”, skoro siedem lat „po rewolucji” jakaś siedemnastolatka wertuje czasopismo feministyczne na peryferiach peryferii, we wschodniej Słowacji?

Nie miałam „swojego” ‘89 roku. W czasie listopadowych dni aksamitnej rewolucji leżałam w szpitalu z zapaleniem płuc, targana młodzieńczymi emocjami, z dziwnym poczuciem, że na zewnątrz dzieje się coś ważnego. Miałam za to swój ‘96. Wtedy odkryłam feminizm jako praktykę wolności.²

¹ O Aspekcie, 2009, www.aspekt.sk/about.php

² L. M. Zerilli, *Feminism and the abyss of freedom*, University of Chicago Press, Chicago 2005.

Czy w ogóle ktokolwiek, kobiety i mężczyźni, miał swój '89? W obiektywnych opisach zmianę ustroju politycznego przedstawiano jako rewolucję, po której zacząć się miało coś nowego. Przecież „tylko tam, gdzie występuje ten patos nowości i gdzie nowość wiąże się z ideą wolności, mamy prawo mówić o rewolucji”³. Czy dla kobiet i mężczyzn, obywaterek i obywateli staro-nowego państwa, owa zmiana polityczna i społeczna oznaczała początek praktyki wolności?

Gdy przypominam sobie niedawną przeszłość, szperam w artykułach prasowych i raportach analizujących sytuację kobiet na Słowacji, czytam kobiecą literaturę, feministyczną publicystykę, nie dostrzegam jednego początku, nie widzę, żebyśmy jednym haustem nabrali powietrza, po czym nastąpił proces przekształcania się w demokrację i ekonomię rynkową z korzyścią dla kobiet. Ostatnie dwudziestolecie nie polegało na odtwarzaniu idealnego schematu liniowego postępu, którego początkiem byłaby deklaracja wyzwolenia w 1989 roku, a potem stopniowa, choć kulejąca, demokratyzacja aż do 2009 roku. Być może to przekonanie o nielinearności demokratyzacji weszło już do kanonu analiz dotyczących transformacji, ale jest to zaledwie jedno z wielu wyobrażeń i ocen minionego okresu.

Z pewnością większość kobiet i mężczyzn chciała – i nadal tego pragnie – być częścią społeczeństwa politycznego, którego kierunek, przyszły rozwój, podobnie jak „szczęście naszych dzieci” jest ustalony. Być może wiele osób spodziewało się takiego rozwoju wydarzeń po upadku republiki, którą nie wiedzieć czemu nazywano „socjalistyczną”, bo przecież i tak „nie ma innej alternatywy” poza kombinacją demokracji i wolnego rynku. Stary porządek miał pęknąć tylko raz. Mam jednak wrażenie, że z powodu zmieniających się z niejakim trudem stosunków społecznych i politycznych, tych przełomów było znacznie więcej, które za każdym razem powodowały mniejsze bądź większe kryzysy. Do rozwiązywania tych problemów politycy wykorzystują najróżniejsze strategie mające na celu stabilizację wymyślonego przez nich systemu społecznego i politycznego. Jednym ze sposobów radzenia sobie z kryzysem jest przerzucanie jego przyczyn, a nawet ciężaru jego rozwiązywania na kobiety.

³ H. Arendt, *O rewolucji*, tłum. Mieczysław Godyń, Czytelnik, Warszawa 2003, s. 38.

Teoria feministyczna przestrzega, iż „nie należy z góry przyjmować, że istnieje kategoria «kobiet», którą trzeba tylko wypełnić rozmaitymi elementami rasy, klasy, wieku, etniczności i seksualności, aby stała się kompletna”⁴. Kiedy w poszukiwaniach przyczyn kryzysu i próbach jego rozwiązania pojawia się kategoria „kobiety”, nie odwołuje się ona do jednego podmiotu, ani nie jest zbiorem wielu konkretnych podmiotów. „Kobiety” są próbą stworzenia podmiotu politycznego w określonym miejscu i czasie, podczas konkretnego konfliktu, tu i teraz. Gdyby nie ta próba, w ogóle nie pojawiłyby się w dyskursie publicznym, podobnie jak nie istnieje kategoria polityczna „mężczyźni”.

Wybory powinny być demokratyczne – powiedziały kobiety

Po raz pierwszy poparłam swoim podpisem obywatelską inicjatywę dotyczącą praw kobiet w 2001 roku. Dołączyłam do tysięcy kobiet i mężczyzn, którzy nie zgadzali się na proponowaną przez posłów i posłanki Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (Kresťansko-demokratické hnutie – KDH) zmianę w Konstytucji Republiki Słowackiej zakazującą aborcji. Dzięki petycji przygotowanej przez organizację Možnosť Volby (Możliwość wyboru) kobiety zmobilizowały się jako podmiot, którego stosunek do państwa powinien określać się zdaniem części słowackich parlamentarzystów zdolnością rodzenia dzieci. Kobiety zmobilizowane jako podmiot polityczny zdecydowanie odrzuciły tę definicję kobiecej tożsamości.

Zaledwie kilka miesięcy później, po tym, jak kobiety i mężczyźni oraz organizacje działające na rzecz praw kobiet połączyli siły we wspólnej inicjatywie obywatelskiej, na scenie politycznej pojawił się pewien „nieformalny ruch kobiecy”. Chyba po raz pierwszy po 1989 roku kolektywne działanie kobiet

⁴ J. Butler, *Uwikłani w płęć*, tłum. Karolina Krasuska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008, s. 66.

przyjęło nazwę ruchu. Feministki, intelektualistki, badaczki w dalszym ciągu bardzo ostrożnie stosowały termin „ruch” w odniesieniu do działalności organizacji kobiecych w Europie Środkowo-Wschodniej i w Słowacji⁵.

„Kobiety, mówmy o tym, co nas dręczy! Kobiety, żądajmy naszych praw!” Takie apele do kobiet pojawiały się kolejno na billboardach wzdłuż autostrad i dróg w czasie kilku ostatnich tygodni kampanii wyborczej w 2002 roku. Kiedy i gdzie należy mówić?! Kiedy i gdzie należy przedstawić swoje żądania? Czy mamy się jeszcze bardziej skarżyć koleżankom? Mamy pokłócić się z partnerem/ partnerką, wygnać rodzicom, żeby przestali w końcu wściubiać nos w nie swoje sprawy? Nikt nie rozumiał tajemniczego przesłania, które pojawiło się na billboardach. W dodatku ruch przyjął nazwę „ZRÓBMY TO!” (UROBME TO!). To nie była reklama najnowszej kolekcji ubrań sportowych dla kobiet firmy Nike, lecz reklama „ruchu kobiecego”. Emitowano także spoty telewizyjne: na ekranie telewizora, z obrazu kręconego jakby złej jakości kamerą, pojawiał się jakiś facet i całą wieczność, choć trwała zaledwie pół minuty, perorował o swoim cierpieniu. Skarżył się, że jego kobietę wciągnął „ruch kobiecy”. Prosił o trochę litości. Nie pragnął niczego innego, tylko powrotu żony. Obok tatusia siedziała córeczka, smętnie gapiąc się w kamerę. Oboje nie mogli się doczekać, żeby „ta nasza” mama wróciła wreszcie do domu, do rodziny. Namawiali inne kobiety, żeby dołączyły do „ruchu”, bo wtedy mama mogłaby już wrócić na swoje miejsce – do córki i męża. Ruch bez niej już sobie sam poradzi.

⁵ Na temat dyskusji na temat kobiecego ruchu w Czechach i Słowacji zobacz np. E. Farkašová, *Bola to naozaj šťastná zhoda okolností*, referat przedstawiony podczas debaty z okazji dziesięciolecia ASPEKTU, 2003, <http://www.aspekt.sk/desat.php?desat=43>; H. Havelková, *Ženské hnutí a genderová kultúra v Česku 1989-2003*, referat przedstawiony podczas debaty z okazji dziesięciolecia ASPEKTU, 2003, <http://www.aspekt.sk/desat.php?desat=31>; Z. Kiczková, *Stretnutie s feministickou filozofiou bol na začiatku skutočne osobný a intelektuálny šok*, referat przedstawiony podczas debaty z okazji dziesięciolecia ASPEKTU, 2003, <http://www.aspekt.sk/desat.php?desat=44>; L. Lacinová, *Subjektívne dejiny slovenského feminizmu*, referat przedstawiony podczas debaty z okazji dziesięciolecia ASPEKTU, 2003, <http://www.aspekt.sk/desat.php?desat=41>; M. Vodrážka, *Diskursívni smrť a feminizmus bez feminizmu*, referat przedstawiony podczas debaty z okazji dziesięciolecia ASPEKTU, 2003, <http://www.aspekt.sk/desat.php?desat=46>; V. Wöhrer, *Spôsob hovorenia o feminizme na Slovensku by som nazvala ako „doing feminism”*, referat przedstawiony podczas debaty z okazji dziesięciolecia ASPEKTU, 2003, <http://www.aspekt.sk/desat.php?desat=47> oraz dyskusje do podanych artykułów konferencyjnych na podanych stronach www.

Na kilka dni przed wyborami pojawił się trzeci billboard, któremu towarzyszył spot telewizyjny z udziałem znanej aktorki apelującej: „Kobiety, głosujmy!”. Dzięki za przypomnienie. Co za frajda, że billboardami, kartami płatniczymi z rabatem w sklepach partnerskich ruchu przypomina się kobietom, że mają prawo głosować i od nich zależy demokracja.

Czym sobie kobiety zasłużyły na tyle uwagi? Dlaczego poświęcono im tyle czasu na antenie telewizyjnej, tyle billboardów i wydano tyle pieniędzy? Odpowiedź jest prosta: ponoć demokracja była zagrożona, dlatego trzeba było sięgnąć po elektorat kobiecy. W 2002 roku tworzące koalicję rządową partie, którym udało się wcześniej, w 1998 roku, przełamać kilkuletnie autorytarne rządy Vladimíra Mečiara, bynajmniej nie były pewne ponownego zwycięstwa. Sondaże przedwyborcze pokazywały jednak pewien potencjał – elektorat kobiecy – do którego rządząca koalicja mogłaby się zwrócić. Zwłaszcza że wiele kobiet po 55. roku życia, z podstawowym wykształceniem, z mniejszych miejscowości do 5 tys. mieszkańców, a także wiele kobiet z wykształceniem średnim maturalnym planowało głosować na głównego przeciwnika rządzącej koalicji – Ruch dla Demokratycznej Słowacji – Partię Ludową (Hnutie za demokratické Slovensko–Ludový stranu – HZDS–ĽS). Wiele wyborczyń po 55. roku życia było jednak nie zdecydowanych⁶. Czy w Słowacji są znaczące różnice w zachowaniach elektoratu w zależności od płci? Według sondaży przedwyborczych miało głosować mniej więcej tyle samo kobiet co mężczyzn, nie mogło być zatem mowy o jakimś gigantycznym zróżnicowaniu w preferencjach wyborców ze względu na płeć. Grupa docelowa „nieformalnego ruchu kobiecego” UROBME TO! odpowiadała idealnie charakterystyce niezdecydowanego i zdecydowanego elektoratu kobiecego partii HZDS–ĽS: wiek 30–65 lat, wykształcenie podstawowe lub średnie, mieszkanki mniejszych miast i wsi⁸. Ta adresowana do kobiet kampania przedwyborcza

⁶ O. Gyarfášová, K. Pačková, *Potenciál aktívnej účasti žien vo verejnom živote*, Inštitút pre verejné otázky, Bratislava 2002, s. 9.

⁷ E. Filadelfiová, Z. Bútorová, O. Gyarfášová, *Women and men in politics*, [w:] *Slovakia 2002: a global report on the state of society*, red. G. Mesežnikov, M. Kollár, T. Nicholson, Institute for Public Affairs, Bratislava 2003, s. 335.

⁸ Ľ. Slušná, *Pät mýtov o Urobme TO!*, SME.sk, 2002.

odniosła duży sukces – główna partia wchodząca w skład koalicji rządzącej potwierdziła swoją pozycję, a kobiety wydatnie pomogły w budowie koalicji prawicowej⁹.

„Osiągnięcia” ruchu UROBME TO! przed i po wyborach są rzeczywiście imponujące. Nie tylko przyciągnął kobiety do urn, ale dodatkowo udało mu się na czas dłuższy, niż trwała sama kampania skojarzyć określenie „ruch kobiecy” z paszkwilem i wytworem marketingowym, co było dziełem pewnej amerykańskiej specjalistki od mediów i współpracującej z nią słowackiej agencji PR.

Wszystko poszło gładko. O ile wcześniej organizacje feministyczne i działające na rzecz praw kobiet na próżno zabiegały o lepszą współpracę z instytucjami państwowymi, o tyle ruch UROBME TO! Wszystko otrzymał podane na tacy. Po wyborach przedstawicielki ruchu spotkały się z politykami i przekazały im swoje postulaty, a ministrowie i parlamentarzyści przyjęli je bez mrugnięcia okiem. Uściski dłoni, uśmiechy do kamery – tak oto zawarto nowy kontrakt płci w Słowacji. Przedstawicielki słowackiego kobiecego ludu spotkały się z przedstawicielami słowackiego męskiego ludu – i bez sprawdzenia, jak zostaną spełnione obietnice złożone przez polityków-mężczyzn, w imieniu „kobiet Słowacji” namaścili staro-nową elitę polityczną.

I tak oto po raz kolejny kobiety pomogły w momencie kryzysu, tym razem śpiesząc z pomocą kulejącej demokracji. Te, które zazwyczaj nie śledzą procesów demokratyzacji, przynajmniej podczas wyborów okazały się jej fundamentem. Nie pasowały do starego porządku i nie znały dobrze jego reguł politycznych. Podobno nie potrafiły skorzystać ze swoich praw wyborczych. Dopiero szlachetny projekt „nieformalnego ruchu kobiecego” pozwolił im podnieść czoło, dzięki czemu dźwignęły słowacką demokrację, która rzekomo oddała głos kobietom. Cóż z tego, że na krótko. Cóż z tego, że tylko formalnie. To wystarczy, żeby w pamięci pozostał ślad tego, jak „kobiety Słowacji” żmudnym wysiłkiem złożonym na ołtarzu demokracji zasłużyły sobie na to, aby stać się obywatelkami państwa, które od 2002 roku coraz mocniej wołało neoliberalną politykę zarządzania społeczeństwem.

⁹ E. Filadelfiová, Z. Bútorová, O. Gyarfášová, *Women and men in politics*, dz. cyt., s. 336; Slovakia parliamentary elections, 20-21 września 2002.

Za Boga lub za Konstytucję

Repertuar proponowanych kobietom ról w życiu publicznym nie kończy się na identyfikacji z demokracją. Polityczny podmiot „kobiety” wytrwale kojarzono z grupą zadziornych babsk, z moralnością całkowicie zniszczoną przez zbyt liberalne prawo aborcyjne przyjęte pod koniec lat pięćdziesiątych. Według prawicowych i konserwatywnych polityków płci męskiej i żeńskiej, religijnych organizacji pozarządowych, przedstawicieli Kościoła i jedyne popularnego czasopisma neokonserwatywnego „Ženy” („Kobiety”), nie reprezentowały one prawdziwych kobiet. Ta koalicja sprzeciwiająca się sekularyzacji państwa stosowała nową moralistykę (praktykę polityczną popularną nie tylko w Słowacji), tworząc z kategorii „kobiety” narzędzie dyskursywne i próbując w ten sposób nakreślić granice pożądanego ładu politycznego. Nieposłuszne kobiety potrzebują ciągłej dyscypliny, trzeba wskazywać tkwiące w nich zło, żeby potrafiły odkryć w sobie dobro. Skoro nie można tego załatwić raz na zawsze, to od czasu do czasu należy poskromić publicznie przynajmniej jedną z nich.

Podczas kampanii prezydenckiej w kwietniu 2009 roku jedna z kandydatek – Iveta Radičová (socjolożka, od jesieni 2005 roku do wyborów w 2009 roku minister pracy, polityki społecznej i rodziny) dopuściła się rzeczy niewybaczalnej. Oświadczyła publicznie, iż „to, co się w społeczeństwie uznaje za moralne lub nie, jest kwestią umowy społecznej”¹⁰. Mówiła o aborcji oraz o tym, że stosunek Kościoła do aborcji ma swoje ściśle ograniczenia, a mianowicie: państwo bezwyznaniowe, konstytucja, prawa obywateli i obywateli. Zakładam, że nie miała na myśli jednostronnego dekretu, który by ona jako prezydentka, mogła kiedyś wydać. Być może jednak w ten właśnie sposób wyobrażają sobie umowę społeczną ci, których władza realizowana jest w strukturze opartej na hierarchii, czyli przedstawiciele kościoła katolickiego w Słowacji. Dlatego trudno się dziwić, że do słów kandydatki na prezydentkę

¹⁰ M. Tódová, Radičová : *Slová biskupa ma ranili*, SME.sk, 2009, dostępne na stronach <http://volby.sme.sk/c/4325397/radicova-slova-biskupa-ma-ranili.html>

odwoływali się księży wszystkich szczebli hierarchii kościelnej – od polskich księży, którzy przybyli przed kilku laty, by ewangelizować ten „bezbożny” kraj, począwszy, na biskupach katolickich, których jest wprawdzie w Słowacji osiemnastu, lecz słychać zawsze ten sam głos, góra dwa, skończywszy.

Wkrótce po wygłoszeniu owej deklaracji w sprawie moralności i aborcji przedstawiciele Kościoła katolickiego zaczęli kwestionować kandydaturę Radičovej. W trakcie kazań i wystąpień w mediach podobno wyrażali jedynie swoją prywatną obywatelską troskę. Jeśli faktycznie tak było, to w takim razie kto z kim się właściwie spotkał w siedzibie biskupstwa w Bańskiej Bystrzycy w kilka dni po tym, jak podczas kazania biskup Rudolf Baláž *implicite* przyrównał Radičovą do Hitlera? Czy było to spotkanie Ivety Radičovej, obywatelki, kandydatki na urząd prezydencki, z Rudolfem Balážem, mieszkańcem Bańskiej Bystrzycy, czy też spotkanie Ivety Radičovej, wierzącej katoliczki, kandydatki na urząd prezydencki z Rudolfem Balážem jej biskupem pasterzem i politykiem?

Po czterogodzinnej rozmowie złożyli wspólnie oświadczenie dla prasy, deklarując, że „nie różnią się opinią w kwestiach podstawowych”¹¹, ale nie będą odpowiadali na ewentualne pytania. Próbowałam sobie wyobrazić przebieg tego spotkania oraz to, jakiej politycznej, nieobywatelskiej i duszpaster lekcji udzielono Radičovej. Być może wyglądało to jak rozmowa biskupa z siostrą zakonną, bohaterką powieści Jany Juráňovej pt. *Orodovnice*: „«Dziecię moje, musisz się nauczyć, że nikt nie jest panem własnych planów» – powiedział ostatnio biskup. Klara jednak nie rozumie, dlaczego te plany ma ludziom zmieniać biskup. Czyżby i w tym zastępował Boga na ziemi?»¹². Wystarczy tylko, że zamiast Klary wyobrazimy sobie na jej miejscu Radičovą, a pierwsze polityczne przesłanie kościoła katolickiego dla kandydatki na pierwszą obywatelkę w państwie się zmaterializuje. Radičova mu-

¹¹ SITA, *Radičová si vyjasnila svoje postoje s biskupom Balážom*,. SME.sk, dostępne na stronach: <http://volby.sme.sk/c/4341167/radicova-si-vyjasnila-svoje-postoje-s-biskupom-balazom.html>

¹² J. Juráňová, *Orodovnice*, ASPEKT, Bratysława 2008, s. 85.

siała doskonale zrozumieć lekcję, jakiej jej udzielono – przedstawiciel Boga ma w Słowacji większą władzę niż symboliczny przedstawiciel ludu.

A gdyby tak zamiast Klary wyobrazić sobie inne kobiety, które protestowały przeciwko próbom wprowadzenia do Konstytucji zakazu aborcji w 2001 roku? Podpisując się pod petycją inicjatywy obywatelskiej *Možnosť voľby* przeciwko zmianie Konstytucji, pisały: „Propozycja KDH jest absurdalba”; „Dołączam moim głosem do wspierających możliwość wyboru. I oczywiście, jestem kobietą, i najchętniej bym tym facetom, co wygadują takie głupoty, skopała tyłek”; „To absurdalne, że sekty polityczne uzurpują sobie prawo decydowania o nas – obywatelkach i obywatelach”; „Nie zgadzam się z tym, żeby panowie z KDH decydowali zamiast kobiet. Żaden mężczyzna nie ma prawa decydować zamiast kobiety. Każda z nas ma prawo decydować o sobie samodzielnie i z własnej woli”; „Jak to się dzieje, że tego rodzaju zmiany w prawie forsują zazwyczaj mężczyźni?”; „Jestem przeciw zakazowi aborcji. Mam chyba prawo podejmować decyzje z własnej woli, żyjemy w państwie demokratycznym, czyż nie?”¹³.

Ostatecznie nie doszło do zmiany konstytucji w 2001 roku. Polityczne zabawianie się konfliktem aborcyjnym było w 2002 roku powodem upadku rządu, życie słowackich kobiet i mężczyzn pod rządami socjaldemokratów toczy się dalej. Pod koniec 2008 roku na posiedzenie rządu trafił projekt Narodowego Programu Ochrony Życia Seksualnego i Reprodukcyjnego, długo odkładany dokument o znaczeniu strategicznym. Bilans pertraktacji w sprawie jego przyjęcia jest katastrofalny: przedstawiający go minister zdrowia utracił stanowisko, żadna ze stron sporu nie osiągnęła zamierzonego celu, a sam program zmienił się w niezrozumiały dla nikogo zlepek różnych kompromisów. Cały demokratyczny proces zgłaszania uwag do dokumentu powoli zmierzał do sytuacji patowej. Charakterystyczne w przypadku polityki decydującej o życiu kobiet jest jednak to, że prace nad

¹³ *Iniciatíva za možnosť voľby*, [w:] *Možnosť voľby: aspekty práv a zodpovednosti*, red. J. Cviková, J. Juráňová, ASPEKT, Bratysława 2001.

dokumentem nie zostały zablokowane ani wskutek stanowiska organizacji opowiadających się za wolnością ani organizacji pro life. Sprawę przesądziło jedno spotkanie premiera z biskupami, podczas którego „biskupi umówili się (w końcu) z premierem Robertem Fiką, że kontrowersyjny materiał nie zostanie przedstawiony rządowi do zatwierdzenia”¹⁴. Spotkanie upłynęło z pewnością w przyjemnej atmosferze, konwersacja przebiegała bezkonfliktowo i padło mnóstwo gładkich słówek, bo przecież nie wypada psuć nastroju w czasie „wspólnego obiadu”.

Brzemiona czasu emancypacji

Co zrobić z kobietami, które ze względu na wiek nie będą już matkami, a z powodu zmarszczek nie pasują do reklam „ruchu kobiecego”? Emerytki zeszły dosłownie na psy. Są mało atrakcyjne, zdaniem niektórych wyjadają tylko budżet państwa, nadają się już chyba tylko do pilnowania wnuków, dla których nie ma miejsca w przedszkolach i żłobkach. Najlepiej, gdyby stały się niewidoczne.

A jednak w ostatnich dwóch latach poświęcono im sporo uwagi, albo – wiem stały się kumpelkami znienawidzonej przez niektóre media partii rządzącej SMER-SD. Ta zorganizowała dla nich uroczystości z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Setki kobiet, emerytek, stały się wizualnym ucieleśnieniem „socjalistycznego” rozumienia społeczeństwa – tłoczyły się w domach kultury, w halach sportowych, byle tylko zobaczyć program rozrywkowy, kilku polityków i dostać czerwoną różę.

Portale internetowe dzienników słowackich z lubością publikowały później relacje z uroczystości, w których złośliwie sfilmowano emerytki: stare kobiety szukające miejsc siedzących w przepelnionej hali, staruszka przeżuwająca

¹⁴ Program sexuálneho zdravia nebude. Cirkev uspela, [w:] aktuálne.sk, 2009, dostępne na stronach: <http://aktualne.centrum.sk/domov/zdravie-skolstvo-spolocnost/clanek.phtml?id=1173702>

hamburger, inna zakrywająca twarz dłonią, żeby ukryć emocje w czasie finału. Ale z czego tu się śmiać? Premier, minister spraw wewnętrznych i minister kultury ozdabiają torty, opowiadają dowcipy, uchylają kulisy polityki. Lansują się, zwracając się do wystrojonych kobiet – tylko co poniektórych z mężem – per „miłe dziewczęta”, sami prezentują się w roli „przystojniaków”. Nic nie zakłóca atmosfery. Nie ma tu erotyki flirtu damsko-męskiego. Nie ma gniewu zapomnianych i wykluczonych starych kobiet.

Do kobiet uczestniczących w uroczystościach z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet podobna jest także matka polityka, która tak samo ciężko pracowała, a poza tym wychowała polityka i jego rodzeństwo. Skoro nie można dziś finansowo docenić jej pracy, należy docenić ją rytualnie. Na widowni przed politykami siedzą kobiety, które w życiu były ponad miarę obciążone ciężarem „socjalistycznej emancypacji”. Teraz one są ciężarem we współczesnej epoce „emancypacji”, co z nimi począć? Nic, najlepiej nic. Ich liczba ciągle rośnie, więc lepiej zawrzeć z nimi pokój, złożyć im najlepsze życzenia „z okazji waszego święta, z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet”¹⁵ i zażądać w zamian, by nie sprawiały kłopotu.

Gdy społeczeństwo, politycy, mężowie, pracodawcy i dzieci okazują kobietom „szacunek” – niezależnie od tego, czy będzie to Międzynarodowy Dzień Kobiet, czy Dzień Matki – pokazują tym samym, że przez pozostałe 364 dni roku mają je w głębokim poważaniu. Tego jednego dnia w roku trzeba je na powrót wcielić do społeczeństwa, nie traktować jak nieporadne osoby, niemające pojęcia o swoich emeryturach, niskich wynagrodzeniach, wykorzystywaniu ich przez rodziny i państwo. Premier bardzo dobrze to rozumie, gdy mówi: „Pozwólcie, bym objął was wszystkie symbolicznie (...)”¹⁶. A gdy je państwo uściska, będzie spokój.

¹⁵ R. Fico, cyt. za R. Mátyus, *Video dňa : MDŽ skončil, šou musí pokračovať*, [w:] aktuálne.sk, Bratislava 2009.

¹⁶ R. Fico, cyt. za: Z. Holíčková, *Video dňa : Premiér oslavoval MDŽ aj v Bratislave. Zdobil tortu*, [w:] aktuálne.sk, Bratislava 2008.

Ile wyzwolenia, ile wolności

Bez względu na to, czy mówimy o społeczeństwie w okresie transformacji, czy o systemie politycznym, społecznym i ekonomicznym, kobiety nie istnieją w oderwaniu od kontekstu. Każde pytanie o sytuację kobiet żyjących w określonym czasie i miejscu jest właściwie pytaniem o ich pozycję w kontekście ówczesnych stosunków społecznych oraz to, jakie znaczenie same sobie przypisywały. W tekście starałam się pokazać trzy sposoby przedstawiania kobiet: aktywistek, ulegających moralizowaniu matek oraz niepotrzebnych emerytek – za pomocą tych trzech grup wykreowano w polityce i debacie publicznej w Słowacji po 1989 roku kategorię polityczną „kobiety”. To działanie miało innej możliwej problematyzacji tej kategorii. Upolitycznienie kobiet powinno być realizowane w zupełnie odwrotny sposób. Kategoria „kobiety” powinna być otwarta, by w ten sposób umożliwić również konfliktowe transfiguracje kobiecego podmiotu. Ten rodzaj upolitycznienia powinien stać się nieodłącznym elementem niestabilnej polityki demokratycznej o charakterze konfliktowym, wynikającym stąd, że demokracja jest praktyką wolności, a nie machiną administracyjną realizującą demokrację według określonych wytycznych czy schematów.

Na koniec chcę wrócić do dwóch pytań, na które próbowałam odpowiedzieć w tym tekście. Ile zyskały, a ile straciły kobiety podczas transformacji? Nawet jeśli pominę kwestię braku jednolitego kobiecego podmiotu, jeśli ograniczę go czasoprzestrzennie tylko do terytorium Słowacji i lat 1989-2009, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie mimo podejmowanych starań. Częściową odpowiedź mogłyby zapewne przynieść gromadzone przez państwo statystyki z podziałem na płeć, ewaluacja z perspektywy równości płci niedawno zakończonych projektów „europejskich”, liczba parlamentarzystek lub liczba instytucji zajmujących się kwestią równości płci w Słowacji. Uważam jednak, że analiza ilościowa nie przyniesie żadnych korzyści, jeśli nie ma odpowiednio dużej grupy badaczek, nauczycielek, publicystek, po prostu intelektualistek, które miałyby czas i środki na to, by zająć się krytyczną interpretacją, identyfikowaniem i badaniem problemów kobiet, a następnie publikowały wyniki badań i prowadziły krytyczną dyskusję. W Słowacji nie ma tego rodzaju badań feministycznych – i to nie z powodu braku zainteresowania badaczek, nauczycielek, publicystek, intelektualistek, ale z powodu wa-

runków materialnych, w jakich pracują. Gdyby prowadzono takie badania, to mogłabym rzetelnie o nich poinformować. W tekście interpretację oparłam na informacjach prasowych lub raportach końcowych „projektów kobiecych” realizowanych przez organizacje pozarządowe. Niewiele wiem na przykład o bezrobotnych kobietach ze wschodniej Słowacji, które towarzyszą umierającym Rosjankom lub Polkom w USA, o warunkach pracy w małych, rozsianych po całej Słowacji, zakładach dostarczających półproduktów dla przemysłu samochodowego lub o tym, dlaczego niedoceniana praca nauczycielek w szkołach podstawowych i średnich nie wywołała do tej pory masowych protestów. Nie sądzę, by problemy tych kobiet były mniej ważne od problemów kobiet opisanych przeze mnie w tekście. Po prostu moja wiedza o nich jest dość znikoma i wydaje mi się, że podobnie sądzą inne słowackie, feministyczne intelektualistki.

Wracając do drugiego pytania: czy zmiany, które nastąpiły po przełomie 1989 roku, „wyzwoliły” kobiety? Długo traktowałam wolność (inaczej niż równość, którą jak mniemałam można zmierzyć) jako pojęcie mgliste i zbyt często zinstrumentalizowane, a zatem mało adekwatne. Ilekroć zastanawiałam się nad wolnością, najczęściej była dla mnie pojęciem zamkniętym w cudzysłowie. Miał on sygnalizować wagę tego wielkiego słowa, a jednocześnie problemy związane z jego znaczeniowym ciężarem. Myślę jednak, że wolność jest namacalna i odczuwalna jako strategia działania przeciw zniewoleniu. Czym, jeśli nie praktyką wolności, był protest kobiet przeciw zakazowi aborcji, który był atakiem na ich wolność? W „wyzwoleniu” kobiet po 1989 roku w przypadku ich praw reprodukcyjnych i seksualnych nie ma patosu zawartego w pytaniu postawionym na początku akapitu. Kryje się w nim inny rodzaj patosu – zbiorowa reakcja kobiet na działania, które ograniczają ich wolność. I mimo iż ów protest był spektakularny, nie chcę zawężać problemu wolności kobiet w Słowacji do jednej tylko kwestii. Nie wątpię w to, że wiele kobiet i dziewczyn swobodnie decyduje o swoim życiu w kwestiach mniejszej i większej wagi. Dla mnie to właśnie feminizm jest praktyką wolności.

Tłumaczyła **Magdalena Suwara**

4.

Niemcy
Wschodnie

Nie da się
stworzyć państwa
bez kobiet!

Niemieckie
doświadczenia
transformacji
1989-1990

Rita Pawlowski

Na określenie przemian społecznych w okresie 1989-1990 Niemcy ukuli pojęcie „przełom” (niem. *Wende*). Rzeczywiście, od listopada 1989 roku do października 1990 roku między Odrą a Renem miał miejsce ogromny przełom. Zakończył się czterdziestoletni podział Niemiec na dwa państwa, runął mur między Wschodem i Zachodem, socjalistyczna NRD i kapitalistyczna RFN połączyły się... Co powstało w wyniku owego połączenia? Dziś, dwadzieścia lat później, odpowiedź brzmi: Niemcy, które nie określają się mianem kapitalistycznych, a już na pewno nie socjalistycznych.

Na temat tej metamorfozy do dziś prowadzi się niekończące się debaty i zapisuje się tony papieru. W zjednoczonych Niemczech nie ma zgody co do tego, jakie były zyski i straty wynikające z tego przełomu. Zaś o interpretację przeszłości – przede wszystkim dawnej NRD – toczy się spory coraz bardziej zażarte i ideologiczne.

Wśród niekończących się debat tylko jeden temat zdaje się pomijać: kobiety przed, w trakcie i po przełomie. Za przykład posłużyć może duża wystawa fotograficzna na berlińskim Alexanderplatz, która dokumentuje okres między 1988 a 1990 rokiem. Wielu silnych i odważnych mężczyzn spogląda z góry na odwiedzających wystawę, gdzie natomiast podziła się wiele silnych i odważnych kobiet? Czy może w ogóle ich nie było? Wydaje się, iż w niemieckiej retrospektywie kobieca podmiotowość zniknęła wśród wiwatów wykrzykiwanych na cześć demokracji i wolności.

Ale oczywiście pozory znowu mylą. „Nie da się stworzyć państwa bez kobiet” – tak samoświadomie wołały nasze córki w okresie transformacji, które 3 grudnia 1989 roku założyły nowy, feministyczny związek kobiet – Unabhängiger Frauenverband (UFV – Niezależny Związek Kobiet). Protestowały przeciwko patriarchalnemu struktuirom i polityce w NRD, protestowały także przeciwko nam, ich matkom, które w większości akceptowały i współtworzyły owe struktury i politykę. Pragnęły innej NRD i zmiany stosunków między płciami. „Musimy nalegać, aby kwestie kobiece nie były jedynie marginalnymi problemami społecznymi, lecz stanowiły zasadnicze kwestie egzystencjalne” – ten postulat sformułowały założycielki UFV 3 grudnia 1989 roku, które stwierdziły, że

brakuje świadomości społecznej i reprezentacji politycznych interesów kobiet. Postulowały zatem zmianę tego stanu rzeczy. Zaangażowanie naszych córek było porywające, prawie bezgraniczne i bezwzględnie samoświadome.

Zdefiniowały one pojęcie feminizmu dla kobiet NRD – w odróżnieniu od zachodniej RFN opierało się przede wszystkim na centralnej kategorii „interesów kobiet” oraz reprezentacji ich interesów bez wykluczania mężczyzn. W 1990 roku wywalczyły stanowisko minister ds. kobiet w rządzie Modrowa. W szerokim sojuszu partii i ruchów obywatelskich przeforsowały własne feministyczne wyobrażenia na temat przyszłości NRD w postaci „karty społecznej”. W lutym i marcu 1990 roku, nie mając żadnego doświadczenia, rzuciły się do walki wyborczej w wyborach parlamentarnych, nie doceniając przy tym dotychczasowych sojuszników-mężczyzn w starciu o władzę w nowym parlamencie NRD. Podjęły tematy uchodzące dotychczas za tabu, takie jak miłość homoseksualną i przemoc w rodzinie. W wystąpieniach telewizyjnych prowokowały po to, aby nagłośnić problem nierówności społecznych między kobietami i mężczyznami oraz aby zanagować rzekome równouprawnienie kobiet w NRD.

Reakcje kobiet i mężczyzn były najróżniejsze: od pełnej zachwytu akceptacji aż po pozbawione zrozumienia, czy wręcz wrogie odrzucenie. Jednakże u wielu kobiet zapoczątkowały one pewien proces mentalny, który odczuwalny jest po dziś dzień. W chwili zjednoczenia obydwu niemieckich państw w październiku 1990 roku feministki z NRD zajęły publicznie jasne stanowisko, opowiadając się przeciwko zjednoczeniu kosztem kobiet i wyszły na ulice, walcząc o prawo do zatrudnienia, do samostanowienia kobiet oraz o prawo do współdecydowania we wszystkich obszarach życia politycznego i gospodarczego.

Władze nowej Republiki Federalnej Niemiec zupełnie zignorowały postulaty i propozycje kobiet z NRD, opierając się na ponownie rozbudzonym poczuciu wyższości niemieckich mężczyzn. W 1989 roku feministyczny związek kobiet zniknął z życia politycznego nowej Republiki Federalnej. Tym samym zakończył się jeden z najbardziej emocjonujących i inspirujących rozdziałów w niemieckiej historii ruchu kobiecego.

Tak, nasze mądre, wyemancypowane córki nie należą do grona zwycięzców procesu transformacji.

Z mojego punktu widzenia nowy, feministyczny ruch kobiet w NRD w latach 1989-1990 był jedynym ruchem politycznym owych czasów, który jednocześnie stanowił obszar mniej lub bardziej otwartego konfliktu pokoleń. Odrzucenie jedynego istniejącego do tamtej pory związku kobiet NRD – Demokratischer Frauenbund Deutschland (DFD) – jest dla mnie ważnym czynnikiem tego procesu. Młodsze pokolenie kobiet interpretowało skrót DFD w następujący sposób: „Dienstbar – Folgsam – Dumpf“ (z niem.: służebne-pośluszne-tępe). To surowy wyrok w stosunku do pokolenia kobiet, do którego i ja się zaliczam. Co więcej, wyrok niesprawiedliwy, ponieważ w NRD wykorzystywałam szanse, które nam oferowano, lecz na które także ciężko zapracowałyśmy. Czy nasza wdzięczność wobec kraju była dlatego bezkrytyczna? Czy nasz brak feminizmu wynikał z braku świadomości?

Transformacja lat 1989-90 nie dała staremu związkowi kobiet DFD, liczącemu 1,5 mln członkiń, szansy zaryzykowania nowego początku bez oglądania się na przeszłość. Przez czterdzieści lat organizacja ta była związana z SED¹ i NRD i opierała się na tych strukturach. Aż tu nagle musiała zacząć sama o sobie decydować, bez wsparcia ze strony ukształtowanych struktur.

Wszechobecny i mocno zinternalizowany centralizm związku kobiet należało przekształcić w struktury federalne oraz utworzyć nowe zakresy odpowiedzialności wśród 17 tys. grup lokalnych działających w miastach i we wsiach. Okazało się jednak, że był to złożony problem. Bardzo wiele członkiń i pracowniczek opuściło związek z poczuciem rozczarowania i braku pewności. Wiążący się z tym brak składek członkowskich oraz rządowych dotacji zmuszały do drastycznych redukcji, co dla ponad tysięcy kobiet oznaczało utratę miejsca pracy. Do lutego 1990

¹ Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności (Sozialistische Einheitspartei Deutschlands – SED) – powstała w 1946 roku z połączenia Komunistycznej Partii Niemiec (KPD) i Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), sprawująca hegemoniczne rządy w NRD; w 1989 roku przekształciła się w Partię Demokratycznego Socjalizmu (PDS) (przyp. red.).

roku prowadziliśmy spory i szukaliśmy nowych form i pomysłów na działalność w związku kobiet, a zatem przede wszystkim prowadziliśmy pracę z dala od opinii publicznej. Ponadto, jako organizacja bliska państwu, DFD dostał się pod kontrolę towarzystwa powierniczego, którego zadanie polegało na prywatyzacji i reorganizacji majątku państwowego NRD. W sporach z towarzystwem powierniczym mądre głowy w naszej organizacji miesiącami, a nawet latami zajmowały się obroną interesów związku, a przede wszystkim jego własności. W tej sytuacji pozycja polityczna DFD nie wykazywała się siłą, skutecznością ani nie była widoczna w przestrzeni publicznej. Któż wtedy chciał słuchać „starych” i wdawać się z nimi we współpracę? Przecież takim osobom *per se* przypisywano współodpowiedzialność za upadek NRD, a wykluczenie powiązanego ze strukturami państwowymi związku kobiet uważano za uzasadnione. Ile czasu potrzebowaliśmy, aby przełamać dotychczasowy postulat przemawiania w imieniu wszystkich kobiet i swobodniej patrzeć na znajdującą się obok nas konkurencję w postaci naszych córek ze związku feministycznego?

Być może jednak to wykluczenie było pomocne w tym sensie, że stara enerdowska organizacja kobieca nie zniknęła z powierzchni ziemi nawet dwadzieścia lat po transformacji.

Być może jest w tym pewien paradoks, ale związek, który w latach 1989-1990 – w przeciwieństwie do feministycznego związku kobiet UFV – nie znalazł sojuszników politycznych w opinii publicznej, skoncentrował się, niejako z konieczności, na swych mocnych stronach, a mianowicie na lokalnej pracy społecznej. Solidna wiedza na temat sytuacji i potrzeb kobiet w regionach, doświadczenie w kontaktach z urzędami, istniejące już w czasach NRD oferty doradctwa i pomocy dla kobiet oraz – o czym nie należy zapominać – nadal aktywne członkinie na całym terytorium NRD – teraz przysłużyły się DFD. Miał on już bowiem sieć, którą inne związki dopiero z trudem musiały utworzyć.

Nie ukrywam, że należę do tych członkiń, które poparły przekształcenie DFD w organizację dobroczynną o obecnej nazwie „demokratischer frauenbund” (dfb – demokratyczny związek kobiet) i postulowały wypracowanie

nowego stanowiska politycznego. Jednakże widzę także sukces tej przemiany i osiągnięcia związku dla kobiet. Przez wiele lat związek organizował dla tysięcy kobiet okresowe miejsca pracy w niepełnym wymiarze godzin oraz szkolenia zawodowe, które rząd federalny finansował przede wszystkim dla bezrobotnych kobiet z NRD. W 1996 roku organizacja Sozialwerk dfb w Berlinie zbudowała jedyny w swym rodzaju projekt mieszkaniowy dla bezdomnych kobiet (obecnie także i mężczyzn) o nazwie „Undine“, który nagrodzono w ogólnokrajowym konkursie „Społeczne Miasto 2006”. Zaś dyrektorka Sozialwerk, która przed rokiem 1989 przez krótki okres czasu pełniła funkcję sekretarza federalnego w zarządzie federalnym DFD, w 2006 roku otrzymała federalny krzyż zasługi za zaangażowanie społeczne.

Nawet jeśli dziś związek liczy nieco ponad milion członkiń, a 50 tys. dawnych względnie nowych członkiń to głównie przedstawicielki starszego pokolenia, zaś sam związek nie zdołał zakorzenić się na terytorium dawnych Niemiec Zachodnich, jako organizacja o charakterze socjalnym na Wschodzie kraju odnalazła swe podstawy działania i osoby ją wspierające.

Wracając dziś wspomnieniami do tygodni i miesięcy, które upłynęły od początku roku 1990 do zniknięcia NRD i powstania zjednoczonej Republiki Federalnej Niemiec, zadaję sobie pytanie o to, kim bym się stała, gdyby pokolenie córek i matek NRD zasiadło do wspólnego stołu ze związkami kobiet ze starej Republiki Federalnej? I dlaczego nie powiodły się nasze próby pokonania murów dzielących kobiety na Wschodzie i Zachodzie Niemiec? Miałśmy przecież wspólny język, a mimo to nie rozumialiśmy się lub udawało się to z dużymi oporami. Zbędne pytania? Z pewnością, lecz być może ważne dla pokolenia naszych wnuczek?

Podczas gdy my, kobiety, w latach 1989-1990 próbowałyśmy się wzajemnie zrozumieć, polityka, a tym samym przede wszystkim mężczyźni, wiązali paczki decydujące o przyszłości kraju. I w paczkach tych nie znajdziemy wywalczonych dotychczas praw kobiet. Obowiązujące dziś prawo i system zabezpieczenia społecznego dla mnie, jako kobiety z dawnej NRD, to krok wstecz

w tym sensie, że wspieranie kobiet przez państwo i zakłady pracy, samostanowienie kobiet, opieka nad dziećmi i osobami starszymi oraz opieka zdrowotna rozumiane są przede wszystkim w kategoriach ekonomicznych jako podlegające prawu pieniądza. W moim rozumieniu jest to strata, którą nie do końca może zrekompensować zwycięstwo transformacji. Oczywiście to ja, a nie żadna partia, decyduję dziś o tym, co robię, a czego nie, co powiem, a kiedy będę milczeć, o moim zaangażowaniu czy wycofaniu się. Uczucie wolności to piękne uczucie. A jednak... jednak to poczucie wolności to dla mnie za mało, jeśli kobiety obok mnie nie wiedzą, czym nakarmić swoje dzieci, nie mówiąc już o możliwości planowania przez nie karier uniwersyteckich.

Ponownie nadchodzi czas, abyśmy my, kobiety, pokazały nasze żądła. Tym razem jednak należy wykorzystać doświadczenie niemieckiej transformacji.

Tłumaczyła **Iwona Łatwińska**

Moja pechowa włoska biografia

Jana Simon

W moim dzieciństwie Europa oznaczała dla mnie Włochy. *La strada* była pierwszym filmem, na którym płakałam; uwielbiałam włoską kuchnię, a raz otrzymałam pocztówkę rzymskich Hiszpańskich Schodów oblanych słońcem. Stało się – zakochałam się. Włochy jednoczyły w sobie wszystkie dziecięce marzenia i tęsknoty: spaghetti z dużą ilością sosu pomidorowego, lody we wszystkich smakach, przystojni, czarnowłosi chłopcy na skuterach, kabriolety mknące wąskimi, nadbrzeżnymi uliczkami – słodkie życie zwieńczone sjeżdżającą oraz mieszkanką swobody i nieskończonego piękna. Narysowałam kontur Włoch na ścianie mojego pokoju, obok przykleiłam zdjęcia, a najważniejsze miasta zaznaczyłam czarnym pisakiem. Mieszkłam daleko od tych miejsc, w Berlinie Wschodnim lat osiemdziesiątych i marzyłam o kraju, którego nigdy nie widziałam i którego prawdopodobnie nigdy nie zobaczę, podobnie zresztą jak i resztę Europy Zachodniej.

W szkole wdawałam się w specjalistyczne dyskusje z moją przyjaciółką, która popełniła jeden błąd – wołała Francję. Pewnego dnia na lekcji geografii spojrzała na mnie z boku i szepnęła mi do ucha: „Jana, Włosi są przecież leniwi”. Z tego powodu nie rozmawiałam z nią przez kilka dni. Zraniła moją dumę narodową, więc rozmyślałam nad zemstą. Ku mojej ucieście wkrótce po tym wydarzeniu odniosłam triumf, ponieważ w 1982 roku Włosi zostali mistrzami w piłce nożnej, a pokonana Francja wyładowała na czwartym miejscu. NRD i tak nie brała udziału w tych mistrzostwach, a nawet gdyby grała, to i tak wątpię, czy kibicowałabym naszej drużynie.

Żyliśmy w absurdalnym świecie. Nasze fantazje nie miały nic wspólnego z życiem codziennym, starannie oddzielaliśmy obie rzeczywistości: na lekcjach pilnie notowaliśmy o wyższości systemu socjalistycznego – doskonale przemysłanych planach pięcioletnich, węgla brunatnym, solach potasu, budowie maszyn. Szkoda tylko, że w sklepach nie było ani keczupu, ani płyt Depeche Mode. Dostawaliśmy pocztówki z okropnymi budowlami w stylu socrealistycznym. Zupełnie nieznane nam dziewczynki i chłopcy z ZSRR pisali do nas: „Drogi niemiecki przyjacielu! Gratuluję Ci z okazji rocznicy założenia organizacji pionierskiej im. Ernsta Thälmana! Twoja radziecka przyjaciółka”. Podobne zdania pi-

sałam na pocztówkach z berlińską wieżą telewizyjną i wysyłałam je do Moskwy i Władywostoku. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nigdy się nie zobaczymy, nigdy nie poznamy. Cieszyliśmy się z tego. Sama myśl o spotkaniu i rozmowie na temat organizacji pionierskiej wywoływała jedynie panikę. Razem z przyjaciółką pod ławką nadal potajemnie wiodłyśmy naszą egzystencję człowieka z Zachodu i pisałyśmy sobie karteczki, na których wymienialiśmy się uwagami o fryzurach Madonny. Naszą przyszłość planowałyśmy daleko stąd – w Rzymie lub w Paryżu – najchętniej u boku Marcello Mastroianniego. Być może my, ci ze Wschodu, byliśmy pierwszymi, prawdziwymi Europejczykami – codziennie zmienialiśmy naszą narodowość, przymierzaliśmy nowe kostiumy, jak nam się podobało. Zupełnie bez pojęcia. W wyobraźni już wtedy żyliśmy w Europie bez granic.

Gdy poszłam do trzeciej klasy, postanowiłam, że zmienię się w pełnowartościową Włoszkę. Do tego potrzebny mi był także język, bez niego nic by z tego nie wyszło. Moi rodzice dali ogłoszenie do prasy i tydzień później w naszym mieszkaniu zjawił się pan Kurz. Mój pierwszy nauczyciel języka włoskiego nosił spodnie z syntetycznego materiału, miał ciemną brodę, zaś jego oczy znikły za okularami, których szkła sięgały niemalże do brody. Pewnie kupił je w ZSRR. Delikatnie mówiąc, wyobrażałam sobie, że pan Kurz będzie typem trochę bardziej południowym. No ale cóż, żeby stać się Włoszką, byłam przygotowana na nieprzewidziane trudności. Od tamtej pory raz w tygodniu jeździłam do pana Kurza, który mieszkał na nowym osiedlu w dzielnicy Lichtenberg, położonym daleko od naszego mieszkania. Lekcja zawsze wyglądała tak samo. Najpierw pani Kurz stawiała przede mną szklanekę soku z rokitnika zwyczajnego, następnie wyjmowałam z torby zeszyt i recytowałam słówka, wpatrując się w brązową meblościankę. W moim zachodnim podręczniku do nauki języka włoskiego ludzie ciągle spacerowali po weneckim Lido, zamawiali *un vino per favore* i rozmawiali o tym, gdzie spędzili wakacje. To pasowało do moich wyobrażeń. Brałam swój osobisty urlop w Berlinie Wschodnim, zanurzałam się w fascynującym świecie *professores*, *dottores*, *ingenieres* i zapominałam nawet o klaustrofobicznie niskich sufitach w mieszkaniu pana Kurza. Powtarza-

łam zdania takie jak: *Ah buon giorno dottore, anche mia moglie e qui*, co znaczy tyle co: „Ach, dzień dobry panie doktorze, moja żona też tu jest”. Niezbędny zwrot dla dziesięciolatki, pan Kurz traktował mnie poważnie. Po godzinach spędzonych na weneckiej plaży wracałam do Berlina-Johannisthal, gdzie zdaniem moich rodziców wino miało słodkawy smak, gdzie *gelato* miały tylko waniliowy, czekoladowy lub owocowy smak, ja zaś musiałam wykuwać historię rewolucji październikowej. Włochy, jak cała Europa Zachodnia, należały do równoległego wszechświata, o którym wprawdzie codziennie słyszałam w radio i telewizji, lecz niestety nie wiedziałam, jaki on jest naprawdę. W duchu opuszczałam ojczyznę i stawiałam się istotą pośrednią. Wiodłam podziemną egzystencję Włoszki w Berlinie Wschodnim i czułam się przy tym jakoś tak dywersyjnie.

Absorbowało mnie, że moja prawdziwa tożsamość nie szczególnie mi się podobała. No bo któż chciałby być obywatelem kraju, którego zespoły nazywały się Kreisel lub Inka, którego obywatele bili się o neonowy lakier do paznokci Action i w którym podczas rozmów telefonicznych pozdrowiało się także domniemanych uczestników rozmowy służących państwu. Moja tożsamość była wspianą mozaiką, składającą się z wielu kolorowych elementów, które nie były ze sobą związane. Jednego dnia mogłam czuć się Włoszką, a następnego dnia Angielką. Stałam się mistrzynią inscenizacji. Zaprzeczałam swojej prawdziwej tożsamości.

W późnych latach osiemdziesiątych wraz z przyjaciółką latem często jeździliśmy do Budapesztu. To była nasza stolica Zachodu na Wschodzie. To ironia dziejów, że Węgry wiele lat później niż NRD stały się członkiem UE. W Budapeszcie była Coca-Cola, spodnie koloru różowego, a w kinie leciał *Flashdance*. Pewnego wieczoru w lipcu 1987 roku postanowiłyśmy, że przez jedną noc będziemy udawać Angielki. Utopirowałyśmy włosy, pomalowałyśmy oczy i tak wyruszyłyśmy w miasto. W drodze do dyskoteki co chwila się zatrzymywałyśmy, wykrzykiwałyśmy głośno *wonderful* i pytałyśmy przechodniów po angielsku o kierunek, który bardzo dobrze znałyśmy. Dyskoteka znajdowała się w środku jednego z parków, budapeszteńczycy tańczyli pod gołym niebem, usiadłyśmy

elegancko z boku i obserwowaliśmy. Wkrótce z prawej strony podeszło do nas dwóch chłopaków, którzy zapytali, skąd jesteśmy. Krzyknęliśmy: „Londyn”. Chłopcy spojrzeli na nas z szacunkiem, w ich oczach w tym momencie osiągnęliśmy najwyższy poziom splendoru, a przynajmniej tak się nam wydawało. Ale niestety w ogóle nie mogliśmy porozmawiać. Mnie przychodziło do głowy tylko jedno zdanie z lekcji angielskiego: *Hello I`m Mike and I am a boxer*, a moja przyjaciółka mruczała po cichu niczym mantrę *Big Ben, Big Ben*. Być może miała nadzieję, że zapytają ją o zabytki Londynu, te już przerabialiśmy w szkole. Milczeliśmy przez chwilę, ja planowałam ucieczkę i w końcu zakończyłam zdaniem „I przyniosę us jakieś drinks”. Chłopcy pokiwali głową ze zrozumieniem, ironicznie się przy tym uśmiechając.

Ale ja nie chciałam tego widzieć, nie chciałam zrozumieć. Jakiś czas później miała miejsce podobna historia: pod koniec lat osiemdziesiątych na polu namiotowym nad Bałatonem poznałam dwie dziewczyny z Holandii. Rozmawiałyśmy przez chwilę, po czym pojawiło się pytanie, którego nie można było uniknąć – pytanie o moje pochodzenie. „Z Berlina Zachodniego” odpowiedziałam bez namysłu. Mimo że z daleka można było zobaczyć, że przed naszym namiotem stała zaparkowana Łada mojego ojca z tablicą rejestracyjną z Berlina Wschodniego. Wymyśliłam długą, skomplikowaną historię. Powiedziałam, że mieszkam z mamą (co się zgadzało), a ta uciekła do Berlina Zachodniego (co się nie zgadzało) i tylko wakacje spędzam z moim wschodnioniemieckim ojcem. Przechyliłam głowę, spojrzałam poważnie i dodałam, że to wszystko jest bardzo skomplikowane. Holenderki patrzyły na mnie nieco zdziwione, ale zdawały się mi wierzyć. Historia miała tę zaletę, że nie musiałam doskonale mówić po angielsku, lecz mogłam swobodnie posługiwać się językiem ojczystym. Udoskonalałam swoje metody. Kłamstwo pozbawiło mnie radości z wakacji i bez troski. Od tej chwili żyłam w ciągłym strachu, że moja prawdziwa tożsamość zostanie odkryta lub też że ojciec przypadkiem zdradzi moją tajemnicę. Zakładałam na siebie tylko te najbardziej kolorowe koszulki, całymi dniami czytałam wygnieciony komiks z Kaczorem Donaldem i zastanawiałam się nad tym, czy powinnam

usunąć znaczek VEB¹ z mojego ręcznika. W końcu któraś z Holenderek mogła mnie przytąpać pod prysznicem ze wschodnim ręcznikiem. Mogłoby to oznaczać niebezpieczne konsekwencje. Byłam do tego stopnia pochłonięta mistyfikacją, że powoli odsuwałam się od wszystkich. Nie pamiętałam już dokładnie, co komu powiedziałam, więc lepiej było nie rozmawiać z nikim. Zostałam pokonana przez własne kłamstwo. Na krótką chwilę zespoliłam się z moją nową tożsamością, mogłam jej posmakować – słodczy Zachodu wyróżniającej się na tle jałowej codzienności Wschodu. Niestety uczucie to nie utrzymało się długo, miało gorzki smak oszustwa i zdrady. Ostatecznie cieszyłam się, gdy już wyjeżdżaliśmy i mogłam zaprzestać tej gry.

Także proces przemiany we Włoszkę zatrzymał się, pan Kurz się nie odzywał. Po tym, jak szczegółowo wypytał mnie o relacje rodzinne, pożegnał się i przepadł. Już nigdy z nim nie rozmawiałam, jedynie trzy tomy podręcznika *Italienisch für sie* pozostały na moim regale. Szkoda, dobrze bawiłam się niepolitycznie spędzając czas na Lido w Wenecji w kraju, w którym wszystko podlegało politycznej ocenie.

Już jako małe dziecko solidaryzowałam się z Angolą. Generalnie w NRD ciągle zajmowaliśmy się jakimiś krajami na końcu świata. Wysyłaliśmy listy do Nikaragui, zbieraliśmy ubrania dla Mozambiku. Pamiętam, jak kiedyś stałam długo przed moją dziecięcą szafką i zastanawiałam się, co mam wysłać głodującemu dziecku w Afryce. Zdecydowałam się wysłać mu smurfa. To była prawdziwa ofiara. W końcu przybył on z Zachodu i w Afryce dzieci z pewnością tak samo chciały go mieć jak w Berlinie Wschodnim, pomyślałam. Moja polityczna socjalizacja sięgnęła zenitu w jedenastej klasie, w połowie 1989 roku, gdy na lekcji geografii mieliśmy dokonać dialektycznej oceny powstania gór fałdowych. Żaden Bóg nie mógł przyczynić się do tego swymi świętymi rękoma. Ale mimo że nawet góry były po naszej stronie, niedługo później NRD upadła. Opuściłam ją na długo przed upadkiem muru, tyle że moja ojczyzna tego nie zauważyła.

¹ VEB z niem. *Volkseigener Betrieb* – przedsiębiorstwo państwowe; określenie formy prawnej przedsiębiorstw przemysłowych i usługowych w dawnej NRD (przypn. tłum.).

Okres transformacji był czasem ekstremalnym z każdego punktu widzenia. To, że cały system wraz z jego nielubianymi reprezentantami i produktami może zniknąć, jest doświadczeniem, które różni nas od rówieśników na Zachodzie. Na lekcji historii naukę rozpoczęliśmy od praczłowieka, jednak do końca szkoły dotarliśmy tylko do średniowiecza. Wszystkie autorytety znajdowały się w stanie rozkładu, nasz nauczyciel wiedzy obywatelskiej, który wzbudzał w nas strach, wyładował w szpitalu psychiatrycznym, zaś wpływowy niegdyś dyrektor szkoły przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Książki piętrzyły się obok koszy na śmieci, były to tomy historii klasy robotniczej, których treści po części musieliśmy uczyć się na pamięć. Kto raz przeżył coś takiego, temu trudno będzie ponownie uwierzyć w autorytety lub poważnie traktować partie polityczne. Przekonał się, że nic nie jest pewne i nic nie jest dane na zawsze – żaden system, partia, żaden autorytet ani nawet niegdyś silny porządek świata.

W tym czasie straciłam poczucie jednoznaczności. Przed upadkiem muru berlińskiego widziałam w sobie wymarzoną Europejkę z Zachodu, która przebywała na Wschodzie na skutek pomyłki niebios. Teraz, po zmianie systemu, wreszcie mogłam powrócić do mojego naturalnego środowiska. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, nikt na Zachodzie nie odkrył mojej prawdziwej tożsamości, widzieli we mnie prawdziwą obywatelkę Wschodu, którą w głębi serca nigdy się nie czułam. Wszyscy wychodzili z założenia, że potrafię mówić płynnie po rosyjsku, znam na pamięć treść dzieł Karola Marksa i materializm dialektyczny. Tyle że mnie to wszystko nigdy nie interesowało. Po bolesnych doświadczeniach w Budapeszcie skoncentrowałam się bardziej na języku angielskim, a i w mądrościach Kaczora Donalda czułam się pewnie. A zatem pod żadnym względem nie spełniałam ich oczekiwań. Z drugiej strony nie miałam wspólnych tematów z młodymi ludźmi z Niemiec Zachodnich. Wprawdzie dobrze znałam batoniki Milky Way, dzinsy Levis i Madonnę, jednakże drobne różnice, które określały specyfikę ich życia, powodowały, że czułam się bezradna. Nie miałam pojęcia, jak to państwo, ten zachodnioeuropejska konstrukcja została zbudowana. Teoretycznie – owszem, ale nie wiedziałam, co spaja je od wewnątrz. Do

dziś zdarza mi się, że nie potrafię po kolei wymienić wszystkich zachodnioniemieckich kanclerzy i ministrów spraw zagranicznych. Wychowałam się w innym kraju. Sowieckie głowy państwa zagięły w pamięci, ja zaś byłam zawieszona poza czasem i przestrzenią w ziemi niczyjej.

Gdy w 1992 roku po raz pierwszy pojechałam do Włoch, kraju mych marzeń, byłam zarazem szczęśliwa i rozczarowana. W Perugii było gorąco, cappuccino było kremowe, pojedynczy starsi panowie odpoczywali podczas sjeści, ale wszystko to miało niewiele wspólnego ze mną. Dzieliłam pokój z dziewczyną z Holandii, byli tam także Anglicy, Austriacy, Szwajcarzy, a nawet Brazylijczycy. Ale ze Wschodu byłam tylko ja. Czasami miałam wrażenie, że patrząc na moich współlokatorów z daleka, przychylnie, jednak ich przeżycia związane z protestami antyatomowymi w Gorleben czy wymiana szkolna ze Stanami Zjednoczonymi w dziwny sposób nie wywierały na mnie żadnego wrażenie. Moje historie o nauczycielu przysposobienia obronnego, majorze Mendlu, imprezach zakrapianych wódką z colą, o wahaniach, czy mam wstąpić do komunistycznej organizacji młodzieżowej FDJ², czy nie i piosenki w stylu: „Niebo nad Hiszpanią rozświetla się gwiazdami ponad naszymi okopami” brzmiały ekscytująco, niemalże egzotycznie, ale teraz oddziaływały na mnie od reszty. Nagle na wszystkich minionych wydarzeniach spoczął niewyobrażalny ciężar i powaga. Zdawało się, że nie ma już dla mnie kategorii, do której mogłam się uciec. A więc próbowałam dokonać ponownej metamorfozy od wymarzonej Włoszki do obywatelki Europy Wschodniej. Zaczęłam się uczyć języka rosyjskiego i po raz pierwszy pojechałam do Moskwy. Wcześniej, za czasów NRD, za nic w świecie nie pojechałabym do Moskwy. Włoszce na wschodniej emigracji po prostu nie wypadało.

Na Wielkim Wschodzie mieszkałam u Iriny, bezrobotnej nauczycielki języka francuskiego, i jej córki Katji. Do końca nie udało mi się dowiedzieć, co właściwie robiły całymi dniami. Niezależnie od tego, czy wchodziłam czy wychodziłam z mieszkania, ciągle miały na sobie frotowe szlafroki w kwiatki i suszy-

² Freie Deutsche Jugend – Wolna Młodzież Niemiecka (przyp. tłum.).

ty sobie włosy. Katja miała 23 lata i właśnie się rozwiodła. Wydawało się, że jest bardzo niezadowolona, bo jej mama wynajęła mi jej dawny pokój, a ona musiała spać na sofie. Być może dlatego patrzyła na mnie z góry lub zupełnie mnie ignorowała. Dlatego byłam bardzo zaskoczona, gdy pewnego ranka zagadnęła mnie w kuchni i zmęczonym głosem spytała, kto na ostatniej Olimpiadzie zdobył więcej medali – Niemcy czy Rosja. „Prawdopodobnie Rosja”, odpowiedziałam. Zapaliła papierosa, jej ręka opadła na stół w geście „no-przecież-tak-właśnie-przypuszczałam”, odwróciła się i zniknęła nic więcej nie mówiąc. Chciała tylko pokazać nie mającej pojęcia osobie z Zachodu, gdzie było jej miejsce. Zachód nie wiedział przecież o sławnych zwycięstwach minionej potęgi sowieckiej. Bardzo dobrze rozumiałam Katję, widziałam kolorowy kalendarz z owczarkami niemieckimi na ścianie i tomy dzieł Lenina, oprawione w skórę i zalegające pod łóżkiem. Tęsknotą owiany był tu każdy przedmiot – figurki z jajek-niespodzianek poustawianych za szybą, naklejki Coca-Coli na szafce. Było tak, jakbym patrzyła w lustro przeszłości. Czułam tę ciasnotę, tę melancholię. Znałam jej marzenia, ale między nami nie było już zaufania. Ja przeszłam na drugą stronę, w jej oczach byłam Europejką z Zachodu.

Dziś zawsze gdy jadę do byłych państw bloku wschodnich, jestem kobietą z Zachodu. Niedawno robiłam reportaż w Azerbejdżanie, kraju posiadającym duże złoża ropy naftowej (która wszędzie pozostawiła okropne, czarne jeziora), prezydenta będącego byłym funkcjonariuszem KGB, który uwielbia prześladować obywateli swoimi portretami i hasłami propagandowymi. W jednej z kawiarni w Baku spotkałam się z politykiem opozycji, korpulentnym mężczyzną o ciemnych wąsach, który dużo palił i ciągle się uśmiechał. Mówił do mnie przez kilka godzin, próbując zahipnotyzować mnie swoim wzrokiem. Bez wątpienia miał misję. Jego kraj należy do Europy, a nie gdzie indziej, powiedział. Demokracja, wartości zachodnie już od stuleci są głęboko zakorzenione w Azerbejdżanie. Czułam się jak unijna dyplomatka, która zaraz powinna wydać wyrok za lub przeciwko Azerbejdżanowi i Europie. Spojrzałam na niego i było mi przykro. Skąd mam wiedzieć, czym właściwie jest Europa i kto do niej może należeć,

a kto nie? Zawsze wyobrażam sobie Europę jak duży dom, gdzieś w Brukseli, znajduje się w nim wiele akt, są one przenoszone z miejsca na miejsce, od czasu do czasu coś ginie lub jest sprzeniewierzone. Decyduje się tam o wielkości prezerwatyw oraz o tym, jak mają wyglądać jabłka. Nie wiem, co to ma wspólnego ze mną. Siedzący naprzeciwko mnie przedstawiciel opozycji zaczął się pocić; na jego koszuli pojawiły się małe, mokre plamy. Wtedy nagle znowu ogarnęło mnie to uczucie z czasów NRD: ktoś w rozpaczę próbuje brać udział w grze ważnych tego świata i za wszelką cenę stara się nie przegapić możliwości przyłączenia się. W takich chwilach naśladowę Europejkę z Zachodu, której wyjaśnia się, na czym polega Wschód oraz komunizm, od której oczekuje się prezentów i dla której zawsze ma się czas, nawet jeśli ma się inne sprawy do załatwienia. Obserwuję się w tej roli i próbuję nie popełniać błędów, nikogo nie urazić czy też nie wyrzucić aroganckiego wrażenia. Nie mogłam przecież opowiedzieć temu politykowi o moich niepowodzeniach w stawianiu się Włoszką, uznałby mnie za szaloną. Dlatego milczałam. „Robię reportaż na temat ropy naftowej”, – powiedziałam na zakończenie rozmowy i życzyłam mu dużo szczęścia.

Tłumaczyła **Iwona Łatwińska**

O transformacji,
czyli o niepodważalnej
kategorii zachodniej
na przykładzie
postkomunistycznych
Niemiec

Mirjam Hirsch

Wprowadzenie

Od chwili, gdy poproszono mnie o napisanie artykułu o sytuacji kobiet w Niemczech Wschodnich w okresie transformacji, zastanawiałam się, co w tym kontekście znaczą dla mnie kategorie takie jak „kobiety” czy „transformacja”. Dlatego chciałabym poddać je bliższej analizie. Ponieważ krytyczne spojrzenie wynika po części z mojego podejścia do kwestii społecznych, chciałabym na początku powiedzieć kilka słów o sobie. Podstawą mojej argumentacji jest przede wszystkim krytyczne ujęcie transformacji, która często bywa przedstawiana w sposób jednoznaczny. W tekście analizuję przede wszystkim kwestię „zachodo-centryzmu”¹. Proponuję dynamiczne ujęcie transformacji, uwzględniające jej historyczną integralność i pokazujące przede wszystkim jej wszechstronny wymiar. Wyjaśnię to na przykładzie równoległości pewnych zjawisk: „feminizacji” biedy w byłej NRD i szczególnej „upartości” kobiet z Niemiec Wschodnich, dla których celem nadal jest pełne zatrudnienie i możliwości godzenia życia rodzinnego z zawodowym. Ale przecież wyzwania ekonomiczne, którym kobiety muszą sprostać, nie wynikają wyłącznie z przełomu politycznego, lecz są również skutkiem neoliberalnych procesów restrukturyzacji. W rezultacie „państwo socjalne” i system zabezpieczenia społecznego tracą na znaczeniu. Skłoniło mnie to do postawienia pytania o współzależność rozmaitych wymiarów władzy. Odwołując się do koncepcji Peggy Watson², proponuję uwzględnienie aspektu Wschód-Zachód oraz wskazuję na wspomniane współzależności na przykładzie dyskursów o rasizmie w Niemczech Wschodnich w „okresie po transformacji”.

¹ Pojęcie „zachodo-centryzmu” stosuję analogicznie do terminu „europocentryzmu”.

² Por.: P. Watson, *Gender and Politics in Postcommunism*, [w:] *Gender in Transition in Eastern and Central Europe Proceedings*, red. Gabriele Jähnert i in., Berlin 2001, s. 37-39.

Wyjaśnienie pojęć

Kobiety

Nie zamierzam mówić w imieniu kobiet mojego pokolenia z byłej NRD, ponieważ wychodzę z założenia, że nie istnieje wspólnota kobiet, którą można by wyrazić zaimkiem „my” i przeciwstawić innej ogólnej kategorii „mężczyzn”. Widać to tym wyraźniej, gdy porównam własną biografię z życiorysami wielu innych kobiet z byłej NRD i z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę wówczas stwierdzić, że nie będę miała wielu wspólnych doświadczeń z większością z nich. Wynika to stąd, że do 1989 roku i w okresie po przełomie mieszkalam na wsi we Wschodnich Niemczech, byłam córką pastora. Z powodu opozycyjnej postawy moich rodziców i dalszej rodziny (prześladowanej, niektórzy krewni byli nawet aresztowani za działalność opozycyjną) jako jedyna w szkole nie mogłam wstąpić do młodzieżowej organizacji pionierskiej. Osobom, które nie pamiętają tamtych czasów, może się to wydawać banalne, inne mogą to uznać nawet za przejaw opozycyjnego zaangażowania, ale dla mnie osobiście było to w dzieciństwie doświadczenie wykluczenia i dyskryminacji. Na przykład podczas słynnych apeli, kiedy na maszt wciągano flagę, a my musieliśmy się ustawiać według wzrostu, zawsze stałam w ostatnim rzędzie, mimo że byłam jedną z najniższych osób w szkole. Nie mogłam także brać udziału w spartakiadzie, choć w mojej klasie byłam najlepszą biegaczką. Nie rozumiałam wówczas, dlaczego jestem wykluczona, co rodziło we mnie silne poczucie niesprawiedliwości.

Poza tym moja matka była jedną z nielicznych kobiet w NRD niepracujących zawodowo, zajmowała się domem, była matką, a na dodatek pełniła „społeczne” funkcje żony pastora. Mówię o tym dlatego, gdyż to pokazuje, że z opozycyjną postawą moich rodziców wiązały się nie tylko konkretne wykluczenia z istotnych obszarów życia społecznego, lecz także miała ona przełożenie na styl życia naszej rodziny. Pod wieloma względami odbiegaliśmy od normy, zgodnie z którą kobiety i mężczyźni powinni pracować zawodowo, a wychowanie i opieka nad dziećmi w dużej mierze były powierzone państwu³.

³ Trzeba jednak zauważyć, że mimo wszystko kobiety były obciążone pracą reprodukcyjną, co skutkowało podwójnym obciążeniem.

Dziś piszę ten artykuł z pozycji młodej feministki mieszkającej w Berlinie, krytycznie spoglądającej zarówno na „Wschód”, jak i na „Zachód”. W moich studiach nad społeczno-kulturową tożsamością płci największy wpływ wywarły na mnie zachodnie teorie feministyczne oraz feminizm Ameryki Łacińskiej.

Transformacja

Zważywszy na moją biografię, biorąc pod uwagę, że już w dzieciństwie nieobce mi były takie pojęcia jak „Stasi”, „szpicel”, „inwigilacja” czy „pluskwy”, nic dziwnego, że „transformację” roku 1989 postrzegałam jako rodzaj „wyzwolenia”. Taki sposób rozumienia owych wydarzeń był oczywiście obowiązującą wykładnią w mojej rodzinie, która i dziś jeszcze myśli w kategoriach „wyzwolenia”. Podstawowymi kwestiami, z których znaczenia już w dzieciństwie zdawałam sobie sprawę, były: odzyskana wolność słowa i wyrażania poglądów, swoboda podróżowania czy wolność stowarzyszania się w partiach politycznych i organizacjach. Znamienne w tym kontekście jest nieustanne przywoływanie pojęcia „wolności”. Prowokuje wręcz do postawienia pytania o sens „wolności”, która w tym wypadku w linearnym ujęciu historii łączy się z tym, co „nowe”. W tym miejscu chciałabym wyraźnie podkreślić, że nie przeczę, iż wiele osób dostrzegało zapewne namacalne różnice w warunkach życia po transformacji i później oraz że mogą swobodnie korzystać z wymienionych wyżej praw. W takim stosunku do zmian po 1989 roku przeszkadza mi to, że *implicite* „Zachód utożsamia się z wolnością. Zakodowanie pojęcia «wolności»/«niewoli» w różnicach między Wschodem i Zachodem opiera się na jednowymiarowej opozycji – teoretycznie «wyzwolenie» powoduje, że «oni» stają się teraz «nami». W efekcie tworzy się naturalna historia przełomu politycznego, w której wszelkie odstępstwa od normy przypisuje się nienormalnym warunkom systemu komunistycznego”⁴. Towarzyszy temu wyobrażenie o transformacji, w którym w upraszczający sposób zakłada się to, co było „przedtem”,

⁴ P. Watson, *Gender and Politics in Postcommunism*, dz. cyt., s. 42.

i to, co nastąpiło „potem”. W tym łańcuchu skojarzeń „przedtem” łączy się ze „Wschodem”, a zatem z państwem totalitarnym i uciskiem, zaś „potem” z Zachodem – demokracją i wolnością. Jednocześnie obie kategorie konstruuje się jako ahistoryczne i statyczne, pozbawione dynamizmu. W rezultacie zarówno rozwój historyczny, różnice i sprzeczności w obrębie obu systemów, jak i działalność „przed” i „po” uciekają z pola widzenia. Dlatego należy zmienić podejście do transformacji ze statycznego na dynamiczne, w którym to ujęciu stosunki społeczne analizowane są w swej integralności historycznej z uwzględnieniem rozmaitych, niejednokrotnie sprzecznych wymiarów, bowiem tylko tego typu kompleksowa analiza będzie użyteczna.

W binarnym przeciwstawieniu „Wschodu” i „Zachodu” kryje się klarowna hierarchia uprzywilejowująca Zachód: „W określonym kontekście definiowania transformacji Zachód przedstawiany jest jako jedyne «miejsce», gdzie ludzie są «wolni»”⁵. Wolność tę przyjmuje się za normę, której się zwykle nie kwestionuje. Weźmy choćby jako przykład uzyskaną na nowo swobodę podróżowania. Z jednej strony wiąże się z nią przekonanie, że ludziom z Niemiec Wschodnich nie wolno było podróżować, że żyli niejako w „zamknięciu”, choć jest to tylko po części prawdą, gdyż obywatelkom i obywatelom dawnego bloku wschodniego jak najbardziej wolno było podróżować, tyle że w granicach owego bloku. Wyjazdy na Zachód tylko po uzyskaniu oficjalnej zgody były oczywiście problemem. Jednakże utożsamienie tej sytuacji z faktycznym zakazem podróżowania powoduje, że Zachód staje się niekwestionowaną normą w myśl maksymy: „kto nie może jechać na Zachód, nie może podróżować”. Jest to tym bardziej cyniczne, jeżeli przyjrzymy się bliżej procesowi zjednoczenia Niemiec. „Ponowne zjednoczenie” Niemiec dało wprawdzie obywatelkom i obywatelom tego państwa swobodę podróżowania, ale jednocześnie wiązało się z zamknięciem granic niemieckich, czego jednym ze skutków jest faktyczne zlikwidowanie prawa do azylu z 1993 roku. Uchodźców w Niemczech nadal obowiązuje tzw.

⁵ Tamże, s. 38.

obowiązek stałego zamieszkiwania polegający na tym, że uchodźca zobowiązuje się do pobytu w konkretnym powiecie. Jeśli chce stamtąd wyjechać, musi uzyskać zezwolenie, które często jest przedmiotem arbitralnie podejmowanej decyzji, najczęściej jednak spotkać się może z odmową. Widzimy więc, że nie wszyscy jednakowo korzystają z odzyskanej swobody podróżowania. Prawo zagwarantowało tę swobodę dawnym obywatelom i obywatelkom Niemiec Wschodnich, ale inni, którzy dotychczas bez problemu mogli wjeżdżać na terytorium byłej NRD, teraz zostali tej wolności pozbawieni. Ponieważ jednak Zachód kojarzy się z demokracją i prawami człowieka, o wiele trudniej jest nie tylko mówić o problemach, ale przede wszystkim uświadomić je innym. Można zaryzykować twierdzenie, że koncepcja „wolności” służy przede wszystkim usprawiedliwieniu forsowania zachodnich interesów dominacji⁶.

Transformacja i płeć

Wraz ze zmianą systemu politycznego instytucje, normy prawne i gospodarka rynkowa zostały przeniesione z Niemiec Zachodnich na Wschód. Wschodnie regulacje prawne w zakresie sytuacji kobiet czy polityki rodzinnej, dziś często uznawane za postępowe, zignorowano przy tworzeniu nowego kształtu społeczeństwa. Wskutek tego wiele kobiet znalazło się w trudnej sytuacji, bowiem zlikwidowano ułatwienia pozwalające godzić życie rodzinne z zawodowym, przyjęto natomiast zachodni model rodzinny, w którym mężczyzna jest jedynym żywicielem rodziny, a kobieta, często pracująca w niepełnym wymiarze godzin, zajmuje się domem i dziećmi. Zaostrzono prawo do aborcji, które w NRD od 1973 roku dopuszczało przerwanie ciąży do trzeciego miesiąca. Aborcja w RFN jest dokonywana pod pewnymi warunkami, o ile zabieg został przeprowadzony

⁶ Usprawiedliwianie interesów panowania pojęciem wolności nie jest nowe, lecz ma ono długą historię. Ważne było to zwłaszcza w okresie oświecenia i kolonializmu, kiedy to „dzicy” mieli być wyzwoleni z „barbarzyństwa”.

po konsultacjach. „(...) wraz z przejściem do nowoczesnego społeczeństwa kapitalistycznego różnica płci jako czynnik zróżnicowania społeczeństwa zaczęła odgrywać jeszcze większą rolę, niż miało to miejsce w NRD”⁷.

Kobiety z dawnej NRD najdotkliwiej odczuły skutki bezrobocia, zwłaszcza długotrwałego, są także dyskryminowane, jeśli chcą wrócić do pracy po urodzeniu dziecka. Choć oczywiście trudno mówić o kobietach jako „przegranych procesu zjednoczenia”⁸. Ta „jednowymiarowa percepcja”⁹ jest zbytnim uproszczeniem. W dalszym ciągu wyższe wskaźniki zatrudnienia są wśród kobiet z landów wschodnich niż zachodnich, jednocześnie dalej pełnoetatowa praca zawodowa jest dla nich czymś oczywistym. Dlatego często mówi się o „upartości” kobiet z Niemiec Wschodnich¹⁰. Ów „upór” jest uwarunkowany różnymi czynnikami. Z jednej strony zatrudnienie w pełnym wymiarze jest podyktowane koniecznością ekonomiczną, przede wszystkim dlatego, że wynagrodzenia w landach wschodnich są dużo niższe i zarobki jednej osoby nie wystarczą na utrzymanie rodziny. Wydaje mi się jednak, że uparta chęć pracy zawodowej wynika nie tylko z uwarunkowań ekonomicznych, ale także z uwewnętrznienia normy społecznej, która fakt, że kobiety pracują zawodowo, uznaje za oczywistość nie podlegającą dyskusji. Praca jest istotnym kryterium prestiżu społecznego i wysokiej samooceny, dla większości kobiet i mężczyzn bowiem źródłem poczucia własnej wartości jest między innymi aktywność zawodowa.

Obecnie zaobserwować możemy powrót do tradycyjnych ról płciowych, przede wszystkim w zakresie podziału pracy i seksualności. Proces ten wyraża się w dyskursach na temat dzieci i rodziny. Trzeba jednak czasu, aby przekonać się,

⁷ I. Dölling, *Ten Years After. Gender Relations in a Changed World – New Challenges for Women's and Gender Studies*, [w:] *Gender in Transition in Eastern and Central Europe Proceedings*, dz. cyt.

⁸ H. Nickel, *Zurück in die Moderne? Kontinuitäten und Veränderungen im Geschlechterverhältnis*, [w:] *Funkkolleg Deutschland im Umbruch. Studienbrief 5*, Tübingen 1998, s. 23.

⁹ Tamże.

¹⁰ Ibid.; I. Dölling, *Ten Years After. Gender Relations in a Changed World...*, dz. cyt., s. 59.

czy zmieni się on w trwały trend, choć już teraz można zauważyć, że ów dyskurs i polityka nie są wyłącznie skutkiem politycznej zmiany ustroju, lecz również efektem neoliberalnej globalizacji. „W Niemczech Wschodnich faktem stały się elastyczne umowy o pracę, elastyczny czas i warunki zatrudnienia, co traktuje się jako rzeczywistość, która czeka także Niemcy Zachodnie ze względu na konieczność neoliberalnych deregulacji i ograniczenia państwa opiekuńczego”¹¹.

Towarzyszące tym procesom uelastycznienie, indywidualizacja i pogorszenie się warunków życia spotęguje coraz wyraźniejsze nierówności społeczne, które z kolei pogłębią nierówności między kobietami i mężczyznami oraz między samymi kobietami. Dlatego tym ważniejsze jest rozumienie płci społeczno-kulturowej w kontekście relacji władzy. Dlatego, jak już była o tym mowa wcześniej, istotne jest również obserwowanie nierówności i różnic na „Zachodzie” oraz dynamiczne ujęcie transformacji.

Krytyka zachodo-centryzmu

Jeśli przyjmujemy dynamiczne ujęcie transformacji, będziemy musieli również pokazać jej wszechstronny wymiar. Dlatego zgadzam się z Watson, że wymaga to dalszego zróżnicowania. Odwołując się do krytyki jednolitej, ogólnej kategorii „kobiety”, którą zawdzięczamy czarnym feministkom amerykańskim, a dziś będącej częścią kanonu teorii feministycznych, Watson proponuje wprowadzenie rozróżnienia Wschód-Zachód. „Idea Zachodu, nawet jeżeli nie jest wyrażona wprost, jest nieodłącznym elementem aparatu pojęciowego, w ramach którego konstruowany jest dyskurs transformacji, tak jak ten sam dyskurs produkuje «Zachód». Dlatego, ponieważ «Zachód» stanowi milczący przyjęty punkt odniesienia dla reprezentacji Europy Wschodniej, zachodocentryczność – analogicznie do kategorii «białej rasy» – skstrukturyzuje interpretacje przełomu”¹². Watson

¹¹ I. Dölling, *Ten Years After. Gender Relations in a Changed World...*, dz. cyt., s. 60.

¹² P. Watson, *Gender and Politics in Postcommunism*, dz. cyt., s. 38.

wyraźnie jednak pokazuje, że stosunek Zachodu do postkomunizmu nie jest tym samym, co stosunek Zachodu do orientalizmu, jak przedstawia to Edward Said¹³. W tym wypadku chodzi przede wszystkim o orientację analityczną, natomiast rasizm białych kobiet, zakorzeniony strukturalnie, w żadnym razie nie można utożsamiać z dominacją Zachodu wobec kobiet z dawnego Wschodu.

Rozszerzenie kategorii zastosowane przez Watson należy postrzegać przez pryzmat współzależności, ponieważ także na Wschodzie mamy do czynienia z rasizmem, który reprodukuje normy. W tym wypadku także i wschodnioniemieckie białe kobiety występują w roli „sprawczyń”. Dlatego też zjednoczenia Niemiec i towarzyszących temu od 1989 roku procesów nie można opisywać bez pominięcia rasistowskich incydentów, które miały miejsce w latach dziewięćdziesiątych. Napady na ośrodki dla azylantów w Rostocku i Lichtenhagen w 1992 roku oraz w Hoyerswerder w 1993 roku, przypominające pogromy, kiedy policja interweniowała z opóźnieniem, zwróciły uwagę międzynarodowej opinii publicznej ze względu na przemoc o podłożu rasistowskim. Przy czym często powodów doszukiwano się w dorastaniu sprawców w państwie komunistycznym, co następnie skutkowało negatywnym odbiorem „Wschodu”. Moim zdaniem przyczyn napadów na ośrodki dla azylantów należy szukać gdzie indziej i są one rozmaite. Po pierwsze, jestem przekonana, że pogorszenie się sytuacji materialnej i socjalnej oraz powszechnie dyskutowane zwiększenie się poczucia niepewności w chwili przełomu politycznego mogą doprowadzić do nasilenia się postaw rasistowskich, byłoby jednak fatalnym uproszczeniem zakładać, że to jedyny powód takich zachowań.

Po drugie, przyczyną odrodzenia się postaw rasistowskich jest także nowy nacjonalizm, który zrodził się na fali upojenia niemieckim zjednoczeniem. „Nareszcie połączyło się to, co jest naturalną całością” – ten i tym podobne slogany były na porządku dziennym. Obywatele i obywatelki NRD przedstawiano jako ofiary totalitarnego reżimu, co konstruowano zarazem z zachodniego punktu widzenia – w tym świetle zachodnia kapitalistyczna demokracja jawiła się jako jedyna alternatywa.

¹³ E. Said, *Orientalizm*, tłum. M. Wynuas-Wiśniewska, Zysk i S-ka, Poznań 2005.

Po trzecie, nie wszystkie formy rasizmu były nowe, niektóre funkcjonowały już w czasach komuny. Widać to na przykład w wymiarze instytucjonalnym, w podejściu do ofiar narodowego socjalizmu, które traktowano jako „bohaterów pracy”, podczas gdy ofiary antysemityzmu lub rasizmu albo ignorowano albo – jak było w przypadku Żydów należących do burżuazji – potępiano lub nawet prześladowano.

Po czwarte, jest także wymiar instytucjonalny – na przykład przeforso-
wano restrykcyjną politykę azylową i migracyjną. W ten sposób dokonała się instytucjonalizacja społeczeństwa klasowego z podziałem na osoby posiadające niemieckie obywatelstwo i osoby bez obywatelstwa: uchodźcy nie mogą swobodnie decydować o miejscu swojego zamieszkania ani swobodnie poruszać się po Niemczech, są zakwaterowani w specjalnych ośrodkach, które często położone są na przedmieściach lub na zupełnym odludziu.

Ponadto wraz z powstaniem Unii Europejskiej znaczenia nabrały nowe granice. Na płaszczyźnie dyskursywnej stworzono rasistowski wizerunek „nielegalnych imigrantów”, których często utożsamia się ze „zorganizowaną przestępczością”, mafią parającą się handlem ludźmi i wymuszoną prostytucją.

Większość z wymienionych aspektów postaw rasistowskich nie dotyczy zatem wyłącznie byłej NRD, także i na Zachodzie istnieje rasizm, w landach zachodnich również zdarzają się napady na tle rasistowskim, jak na przykład w Solingen w maju 1993 roku. Utrwalenie się w opinii publicznej przekonania, że incydenty rasistowskie ograniczają się wyłącznie do obszaru byłej NRD, jest produktem zachodniej normy głoszącej, iż we własnych szeregach nie ma mowy o postawach rasistowskich.

Aktualne pozostaje jednak pytanie, na ile ów zachodo-centryzm charakterystyczny dla postkomunistycznych dyskursów, w których Zachód utożsamiany jest z wolnością, konstruuje uniwersalny patriarchy i reprodukuje się na płaszczyźnie ponadnarodowej?¹⁴

Warto przywołać słowa Šmejkalovej, która postulat zachodniego feminizmu „prywatne jest polityczne” określa jako „kiepski żart”, gdy mowa o kobietach, które przez całe życie walczyły o to, aby uwolnić się od wpływu państwa

¹⁴ P. Watson, *Gender and Politics in Postcommunism*, dz. cyt., s. 38.

na życie prywatne¹⁵. Moim zdaniem w tym zarzucie jest wiele racji, pokazuje on wielowymiarowość i niejednoznaczność oceny, umożliwiającą analizę cech wspólnych i różnic i uwzględnienie jej w feministycznej nauce i praktyce.

Podsumowanie

Jak starałam się pokazać w moich rozważaniach, pojęcie transformacji w ujęciu, jakie się stosuje w postkomunistycznych Niemczech, jest niewątpliwie kategorią prowadzącej zachodniej, skutkującą zamazywaniem dalszych, zasadniczych wymiarów władzy i dominacji. Dlatego wprowadzenie wymiaru Wschód-Zachód pomaga unocnić specyfikę położenia kobiet z dawnego Wschodu oraz sensownie sformułować własne stanowisko – jako badaczki i jako działaczki. Uświadamia bowiem, że rozmaite struktury władzy występują równolegle. Z jednej strony pozwala przedstawić specyficzne doświadczenie w reżimie komunistycznym, jednocześnie w kontekście globalnym oznacza niewątpliwie przyjęcie perspektywy „zachodniej”, wraz ze wszystkimi przywilejami, jakie się z tym wiąże. Wymaga to uważnego namysłu nad skomplikowanymi strukturami władzy, ponieważ tylko dzięki temu możliwa będzie trafna diagnoza naukowa połączona z aktywnością polityczną. Dekonstrukcja binarnych systemów myślenia, takich jak „męski” lub „żeński”, „Wschód” i „Zachód”, „ucisk” i „wolność”, ma kluczowe znaczenie w podejściach emancypacyjnych. Tylko w ten sposób uda się przełamać statyczne podejście do interpretowania pojęcia transformacji. Dlatego ważna jest analiza rozmaitych kontekstów i uwarunkowań, która pozwala przede wszystkim uwzględnić w odpowiedni sposób najróżniejsze sytuacje życiowe, podejścia teoretyczne i praktyki feministyczne, ponieważ w różnych kontekstach mogą co innego znaczyć.

Tłumaczyła **Iwona Łatwińska**

¹⁵ Por.: J. Šmejkalová, *Gender as an Analytical Category of Post-Communist Studies*, [w:] *Gender in Transition in Eastern and Central Europe Proceedings*, dz. cyt., s. 50.

5.

Ukraina

Być czy uważać się
za..., czyli
o niepopularności
feminizmu w Ukrainie

Natalka Śniadanko

Czasem trudno mi udzielić odpowiedzi na pytanie, czy uważam się za feministkę. Przede wszystkim z powodu niepewnej formy zwrotnej czasownika „uważać się”, z którym od razu kojarzy mi się odwieczna słowiańska przepaść między tym, co powiedziane, a tym, co zostało zrobione, między tym, co obiecane a stanem faktycznym, między własną identyfikacją i trzymaniem się tych ustaleń w codziennym życiu. W tym miejscu od razu przypominają się najróżniejsze figury retoryczne – na przykład, co lepsze – „uważać się za” czy „być”, i co jest śmielsze, co komu potrzebniejsze.

Z drugiej strony trudno nie zgodzić się z kategorycznym stwierdzeniem mojej polskiej koleżanki pisarki Olgi Tokarczuk, która kiedyś zauważyła: żadna współczesna kobieta po prostu nie może nie być feministką. Chociaż właśnie w tej kategoryczności czai się ofiara smutnej rzeczywistości – przecież nie chcemy łączyć feminizmu z brakiem wyboru.

Ważnym aspektem, który u mnie zazwyczaj łączy się z rozważaniami na temat feminizmu, jest geografia. W Ukrainie jeszcze nikt nie zadał mi pytania, czy uważam się za feministkę. Również w Europie Zachodniej rzadko zdarza mi się słyszeć to pytanie. Jedynie raz, w Wiedniu, podeszła do mnie dziennikarka z jakiegoś feministycznego pisma i poprosiła o wywiad, ale po rozmowie przyznała, że nie widzi możliwości dostosowania tego, co usłyszała, do formatu pisma, które lansuje przebojowy feminizm, ponieważ wszystko, czego się o mnie dowiedziała, jest „zbyt normalne”. Nie opowiadałam ani o przeżytych traumach, związanych z przemocą w rodzinie, jak to robiła współrozmówczyni z Afryki, ani o prześladowaniach z powodu płci czy orientacji seksualnej, które przytrafiały się innym kobietom, o których ona pisała. Moje życie okazało się zbyt udane, spokojne, spełnione, to znaczy nie było w nim nic ciekawego, co nadawałoby się do publikacji. Przypominam sobie, że w głębi ducha westchnęłam z ulgą, że u mnie wszystko tak dobrze się układa i nie przejęłam się utracoum PR. Lansowanie się nie jest warte takiej ceny.

Najczęściej o to, czy uważam się za feministkę, pytano mnie w Polsce. I pytanie to padało bez żadnych uściśleń – nie pytano, do którego z kierunków

feminizmu siebie zaliczam: czy jest mi bardziej po drodze z ekofeminizmem, feminizmem pacyfistycznym, separatystycznym, liberalnym, neoliberalnym, marksistowskim, radykalnym, modernistycznym, postmodernistycznym, poststrukturalistycznym, psychoanalitycznym, lesbijskim, sadomasochistycznym czy queer. Choć nie należy chyba na tej podstawie formułować tezy o przestrzenno-czasowych podobieństwach i przewidywać, że być może dopiero za kilka lat w Ukrainie nastąpi gwałtowny wybuch aktywności feministycznej. Byłoby to zbyt proste, gdyby światem miały kierować takie proste przyczynowo-skutkowe analogie.

Feministyczny światopogląd mógłby dla ukraińskich kobiet być jakąś alternatywą, jakkolwiek wydawałoby się, że jest inaczej, biorąc pod uwagę znane radzieckie doktryny o rzekomym „rozwiązaniu” kwestii kobiecej już w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku. W krajach zachodnich ruch feministyczny jest wyraźnie usytuowany w czasie i często wiąże się z politycznymi zmianami w społeczeństwie. Na przykład w zeszłym roku przeczytałam w niemieckiej prasie informację o jubileuszu niemieckiego feminizmu, za którego początek uważa się datę uchwalenia ustawy liberalizującej aborcję. W krajach Europy Wschodniej ożywienie dyskursu feministycznego nastąpiło po rozpadzie bloku socjalistycznego. W Ukrainie trudno byłoby wskazać jakieś konkretne daty. Ukraiński feminizm nie zaczął się gwałtownie rozwijać ani z początkiem niepodległości, ani po pomarańczowej rewolucji.

Internetowa encyklopedia „Wikipedia” informuje: „w niepodległej Ukrainie odbywa się aktywny proces powrotu do wartości liberalizmu, odradzają się organizacje kobiece (szczególnie Związek Kobiet), powstają nowe, umacniają się kontakty krajowych organizacji kobiecych z międzynarodowymi organizacjami kobiecymi”. Jednak wśród wymienionych dla przykładu kobiecych organizacji trudno znaleźć powstałe poza diasporą.

Opinie „praktykujących” feministek nie nastrojają optymistycznie. Na przykład Tamara Złobina, znana jako autorka pop-feministycznego projektu *Feminism Is...*, książki z pocztówkami i rysunkami, nastawionej na „ekskluzywną” popularyzację feminizmu (w stylu: „o feminizmie można mówić wtedy,

kiedy sama sobie kupujesz diamenty”), pisała w zeszłym roku w artykule *Być feministką / być kobietą w Ukrainie*, zamieszczonym w czasopiśmie „Krytyka”, następująco: „Przez te kilka lat, kiedy jestem świadomą feministką, zebrałam kolekcję typowych reakcji na własną tożsamość. Wiele razy miałam okazję słyszeć gniewne tyrady: «Ach, te feministki! To potworne babsztyle, których nikt nie chce i dlatego nienawidzą wszystkich mężczyzn!» itd. Im mniej rozmówcy wiedzieli o feminizmie, tym bardziej emocjonalne były ich wypowiedzi. Choć najczęściej byłam jedyną znaną im feministką i z pewnością nie odpowiadałam określeniu «starego babsztyla», to mój feminizm przyjmowano albo jako młodzieńczy idealizm (i wówczas wszystko wracało do normy), albo peszono się i próbowano udowodnić, że «mimo wszystko mężczyzna jest kimś lepszym od kobiety». Zdarzało się również, że wyemancypowane kobiety czy dziewczyny, opowiadające się za niezależnością i równouprawnieniem, zaczynały lub kończyły słowami «tylko nie myślcie sobie, że jestem feministką». Tak jakby bycie feministką to był wstyd”.

Negatywny, stereotypowy odbiór „feminizmu” w Ukrainie bezpośrednio potwierdza również tłumaczenie tytułu klasycznej pracy amerykańskiej badaczki ukraińskiego pochodzenia Marty Bogaczewskiej-Chomiak *Feminists despite themselves*. W Ukrainie książkę wydano pod tytułem *Białym po białym: kobiety w życiu społecznym Ukrainy w latach 1884–1939* (Kijów 1995). Prawdopodobnie ukraiński wydawca postanowił uniknąć „kłopotliwego” terminu, żeby nie odstraszyć potencjalnych czytelników.

Jednym z niewielu teoretycznych opracowań na temat ukraińskiego feminizmu, jakie udało mi się znaleźć w Internecie, była rozprawa dyplomowa O. Stiażkinej *Kobiety w historii ukraińskiej kultury w drugiej połowie XX wieku*, obroniona w 2003 roku w Donieckim Państwowym Uniwersytecie. Mimo iż w pracy wyraźnie podkreśla się, że feministyczne podejście w analizie materiału historycznego stosuje się „po raz pierwszy”, pocieszające jest już to, że takie badania się prowadzi. Autorka rozprawy stwierdza, że w czasach poradzieckich nastąpił znaczący przełom w odbiorze feminizmu i stara się wyjaśnić źródła ne-

gatywnego, stereotypowego ujęcia: „Pierwszą przyczyną może, psychologiczne zmęczenie kobiet, którym państwo radzieckie proponowało wcielanie w życie ideału «matki pracującej». W warunkach nierozwiniętej sfery socjalnej podwójne obciążenie pracą zawodową i obowiązkami domowymi powodowało, że model ten kojarzył się negatywnie i nie wywoływał szczególnego entuzjazmu jako przykład do naśladowania w życiu codziennym. Piękna, zadbana, doskonała i zrelaksowana kobieta stanowiąca przeciwwagę dla „ciotki z kolejki” mogła wydawać się wielu kobietom kuszącym obrazem i kuszącym marzeniem. Innym czynnikiem powodującym tworzenie się nowych stereotypów kulturowych jest globalizacja i rozpowszechnienie w Ukrainie «zachodniego stylu życia». Bezkrytyczny stosunek do tak zwanych zdobyczy cywilizacji europejskiej doprowadził do powierzchownego naśladownictwa upokarzających dla kobiet stereotypów”.

Badaczka Oksana Kiś, w artykule *Kobiece strategie w ukraińskiej polityce*, opublikowanym w ubiegłym roku na stronie internetowej Zachodniej Grupy Analitycznej, pisze o dominacji w postradzieckim społeczeństwie ukraińskim dwóch głównych modeli kobiecych ról – Obrończyni i Barbie. „Obrończyni jest zakorzeniona w tradycyjnym dla Ukraińców modelu ról płciowych, który opiera się na micie, szczególnie, od dawna równouprawnionej ukraińskiej kobiety. Całościowy wizerunek Obrończyni powstał stosunkowo niedawno – pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Jakkolwiek stanowi ona eklektyczne połączenie różnorodnych w swej istocie i ze względu na pochodzenie elementów (od pierwiastków wierzeń pogańskich i matriarchalnego mitu, charakterystycznych motywów folklorystycznych i cech różnych postaci literackich – aż po chrześcijański kult maryjny), społeczeństwo traktuje ją jako prawdziwe wcielenie kanonicznej, tradycyjno-narodowej kobiecości. Kluczowymi przedstawicielkami tego modelu kobiecości są Wielka Matka, Żarliwa Chrześcijanka i Ofiarna Patriotka. Istotne jest również to, że w obrazie Obrończyni dostrzegalne są również elementy matriarchalne, to znaczy kobieta powinna dominować, być stanowcza i kompetentna w zakresie przypisanej jej sfery. Kolejny model ko-

biecości – wizerunek Barbie – zrodziła ideologia rynkowa i kultura konsumpcji masowej”. Służenie narodowi i służenie estetycznemu i erotycznemu męskiemu zadowoleniu – oto role przypisane obydwu modelom. Wspólnym mianownikiem pozostaje służenie, w którym brak wolności indywidualnego wyboru, kluczowego elementu dla teorii feminizmu. Żeby odnieść realny sukces – na przykład w politycznej karierze – oba elementy wizerunkowe powinny się połączyć – kobieta, której się to uda, zostanie prawdziwym seksualnym symbolem narodu. Właśnie taki fenomen Oksana Kiś bada na przykładzie biografii ukraińskiej premierki Julii Tymoszenko.

Oczywiście, są jeszcze inne wzorce kobiety sukcesu, mają jednak marginalne znaczenie, nie znajdują zrozumienia w szerokich kręgach społecznych.

Feminizm w ukraińskich realiach odbierany jest trochę podobnie do ukraińskojęzycznego produktu kulturowego. Z jednej strony to niby modne i postępowe, ale z drugiej trudno pozbyć się „prowincjonalno-wiejskich” skojarzeń, narzuconych obu dyskursom w radzieckich czasach. Nierzadko można zauważyć, że ukraińskojęzyczne kobiety w średnim wieku w rozmowie przechodzą na język rosyjski, żeby nie wyglądać na „ciotki z kolejki”, ale panie „kulturalne i wykształcone”.

Ta dwoistość odbioru wyjaśnia również nastawienie przedstawicielek pokolenia dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestoletnich kobiet, spełnionych rodzinnie i zawodowo, które pomimo sukcesu dręczą wątpliwości i niepewność, co opisała Tamara Złobina. Właśnie takie kobiety najczęściej przeżywają rozdarcie, nie do końca wiedząc, czy mają uważać się za feministki czy nimi po prostu być. W praktyce żyją i myślą jak feministki, natomiast nie odważyłyby się chyba zdefiniować w ten sposób ze strachu przed negatywnymi skojarzeniami, jakie budzi feminizm. Brak pozytywnego postrzegania feminizmu prowadzi do tego, że ich sukces nie jest doceniany przez otoczenie, bo przecież zamiast spełniać się po prostu w roli kobiety i matki, one obciążają się dodatkowo „niepotrzebnymi kobiecie” zmartwieniami.

W Ukrainie dominuje wychowanie sprofilowane pod kątem płci, dlatego współcześnie malcom często zdarza się słyszeć, jeżeli nie od rodziców,

to od dziadków i babć, wychowawczyń i nauczycieli, do bólu znajome mojemu pokoleniu: „Jesteś dziewczynką / Jesteś chłopcem!”. Opowiada im się także o tym, co jest potrzebne, a co zbędne w życiu prawdziwej kobiety i prawdziwego mężczyzny. Mnie na przykład zdarzało się słyszeć, że dziewczynce znajomość języków obcych nie jest do niczego potrzebna, bo „obojętne, bo przecież wyjdzie za mąż, urodzi dzieci”, a chłopców nie należy uczyć muzyki, „bo i po co im to?”.

Symptomatycznym przykładem tego typu edukacji w oświeconym ukraińskim społeczeństwie są tradycyjne artykuły w gazetach w okresie świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, w których zazwyczaj pyta się żony urzędników o ulubione przepisy na świąteczne dania. Z takich publikacji wyjątkowo rzadko można dowiedzieć się o tych żonach czegoś więcej oprócz ich kulinarnych upodobań.

Antyfeministyczne nastroje społeczeństwa nierzadko dotyczą również praw człowieka. Przede wszystkim w sferze kontaktów z własnymi dziećmi. Na przykład mojemu mężowi odmówiono w przychodni wydania zwolnienia lekarskiego do opieki nad chorym dzieckiem, domagając się przedstawienia dowodów, że jego żona nie może pełnić takiej opieki. Jak się później wyjaśniło, taka odmowa była prawnie bezpodstawna, ale podczas wieloletniej praktyki lekarskiej pediatra ta nie spotkała się jeszcze z przypadkiem, żeby zwolnienie na chore dziecko brał mężczyzna, dlatego nie miała pojęcia o przepisach dopuszczających taką możliwość.

Pewnie nie ma sensu wspominać, że feminizm nie dotarł jeszcze do czysto teoretycznych dyscyplin, takich jak gramatyka, w związku z czym do tej pory nie odbyła się szeroka dyskusja dotycząca możliwości używania żeńskich końcówek – na przykład w rzeczownikach określających zawody. Mimo moich protestów na zaświadczeniach służbowych piszą mi zazwyczaj: „dziennikarz” albo „redaktor”, jedynie na okładkach książek czasem piszą „autorka” lub „pisarka”.

Rzadkie są przypadki, kiedy kobieta po ślubie nie zmienia własnego nazwiska na nazwisko męża. Dlatego, kiedy opłacam rachunki za przedszkole czy szkołę, za każdym razem muszę znosić przeciągłe i wymowne spojrzenie księ-

gowej, kiedy zamiast odpowiedzieć od razu na pytanie o nazwisko, uściślam: „Moje czy dziecka?”. Sytuacje, kiedy matka, ojciec i dzieci mają różne nazwiska, w codziennej świadomości nie kojarzą się z wartościową i szczęśliwą rodziną. W języku ukraińskim jest wyrażenie „nazwisko panieńskie”, ale nie ma „kawalerskiego” odpowiednika tego pojęcia.

Nie zdarzyło mi się spotkać z praktyką używania podwójnych. Dzieci przeważnie noszą nazwisko ojca, nawet jeśli rodzice są rozwiedzeni. Powiem więcej, nawet jeśli ojciec na wiele lat „znika” z życia dziecka i nie bierze udziału w jego wychowaniu, matka nie ma prawa na przykład wywieźć dziecka za granicę bez pisemnej, poświadczonej notarialnie zgody ojca. W obecnej sytuacji, kiedy tysiące emigrantów zarobkowych przebywa nielegalnie za granicą, a ich rodziny czasem nie wiedzą nawet w jakim kraju, to dość częsty problem. Czasem uniemożliwia nie tylko wyjazdy turystyczne, wakacyjne, podróże edukacyjne, ale również wyjazdy na leczenie poważnych schorzeń. Pomimo częstego omawiania takich przypadków w prasie, nie widać, aby podjęto jakieś kroki, by ten problem rozwiązać.

W Ukrainie dzieci rzadko zostają z ojcem po rozwodzie, ukraińskie prawodawstwo nie jest przystosowane do takich sytuacji. Ojcom jest znacznie trudniej niż matkom otrzymać po rozwodzie prawo do opieki nad dzieckiem, nawet wtedy, kiedy byli małżonkowie porozumieli się i zdecydowali, że dzieci zostaną z ojcem.

Znana amerykańska badaczka, profesorka Uniwersytetu Valparaiso, Mariana Rubczak w jednym z wywiadów dowcipnie opowiada o własnych perturbacjach z codzienną ukraińską interpretacją feminizmu. Kiedy pewien znany ukraiński naukowiec od progu rzucił się całować ją w rękę, pani Rubczak najpierw próbowała wyjaśnić, że takie zachowanie ją poniża i sprawia, że czuje się jak lalka na piedestale, a nie jak kobieta. Na próżno prosiła, żeby zwyczajnie uściśnąć jej dłoń. Aż w końcu, kolejnym razem, przestąpiwszy próg jego gabinetu, sama ujęła rękę profesora i pocałowała. Ten zmieszał się i mocno poczerwieniał. O tym przypadku jeszcze długo opowiadano anegdoty. Innym razem

na Chreszczatyku (jedna z głównych ulic w Kijowie – przyp. red.) nieznamy mężczyzna zwrócił się do pani Rubczak zwyczajem radzieckim per „Dziewczynko...”, na co ona mu odpowiedziała: „Słucham cię chłopczyku...”. Mężczyzna wpadł w złość, o mało nie doszło do bójki.

O ile w archaicznym i dziś mało popularnym ceremoniale szarmanckiego całowania kobiecej dłoni można się jeszcze dopatrzeć pewnego uroku, to na ogół współczesne rytuały ukraińskich powitań dużo bardziej otwarcie demonstrują lekceważący stosunek do kobiet. Za każdym w towarzystwie mężczyzn muszę daleko wyciągnąć dłoń na powitanie, żeby ją w ogóle zauważyli. Przecież z góry wiadomo, że mojej ręki nie uścisną, obdarzywszy mnie zamiast tego wyniosłym, niedowierzającym spojrzeniem. Czasem jednak udaje się, uścisną mi wtedy dłoń na powitanie, ale twarz rozmówcy mocno pąsowieje i maluje się na niej wyraz zmieszania. Tak czy inaczej, trudno uniknąć nieprzyjemnego momentu – zawsze ktoś albo mężczyzna albo kobieta – czuje się podczas tego rytuału upokorzony.

Z nie mniejszym zdziwieniem pani Rubczak powtarza zasłyszane od różnych znanych polityków – zarówno mężczyzn, jak i kobiet – klasyczne formułki: „Nie potrzebny nam żaden obcy feminizm, bo Ukraińcy zawsze byli feministycznym narodem” albo: „U nas kobiety i tak mają realną władzę nawet, jeśli nie pokazują tego na zewnątrz”. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem zdołano wmówić kobietom, że „kobiecie w Ukrainie niczego nie potrzeba, bo ona i tak jest silna”. Specyficzny ukraiński wariant feminizmu jako starożytnej tradycji z upodobaniem ilustrowany jest faktami historycznymi. Na przykład przywołuje się zapis z Trebnika z 1646 roku, zgodnie z którym ksiądz, udzielając ślubu młodej parze, zwraca się do pana młodego słowami, że kobieta jest we wszystkim równa mężczyźnie i że powinien traktować ją jak swojego przyjaciela, a nie służącą czy niewolnicę. Innym przykładem jest powszechnie znany liberalny stosunek do czarownic w ukraińskim średniowieczu. Podczas kiedy w Europie czarownice palono na stosach, wcześniej odcinając im po kawałku piersi, w Ukrainie wiedźmom często dawano jedynie na koromyśle dwa pełniutkie wiadra wody – jeżeli udało im się przenieść je do wyznaczonego miejsca, nie wychlapując ani kropli, puszczano je wolno.

Interesujące jest również prześledzenie w danych statystycznych pewnych osobliwości dotyczących dominacji kobiet w różnych zawodach. W swojej rozprawie O. Stiażkina odnotowuje wyraźny spadek liczebności kobiet w zawodach twórczych na początku lat dziewięćdziesiątych w porównaniu z okresem radzieckim, tłumacząc to nasileniem się mizoginii i negatywnych wizerunków kobiet w sztuce. W ostatnim czasie znów zauważalnie wzrosła liczba młodych debiutantek w różnych dziedzinach twórczych, przede wszystkim w literaturze. Nie wydaje się jednak, by można było mówić o jakościowej zmianie w świadomości społecznej i większym uwrażliwieniu na kwestie równości płci. Być może należałoby raczej wyciągnąć stąd wniosek, że większa aktywność kobiet w tej dziedzinie łączy się z utratą prestiżu twórczych zawodów. Utratę prestiżu można by również tłumaczyć ograniczeniem korzyści materialnych, które w czasach radzieckich wiązały się z uprawianiem takich zawodów – darmowe pracownie, zamówienia publiczne, domy wypoczynkowe dla twórców itp.

Podobną tendencję można zauważyć w ukraińskiej armii zawodowej. Według danych statystycznych obecnie 40 proc. ukraińskich żołnierzy zawodowych stanowią kobiety. Te optymistyczne statystyki sytuują Ukrainę w czołowie wielu europejskich krajów – na przykład w Norwegii jest zaledwie 7,6 proc. żołnerek. W wywiadzie opublikowanym niedawno w czasopiśmie „Korespondent” major Natalia Dubczak z departamentu polityki humanitarnej ukraińskiego ministerstwa obrony narodowej wyjaśniła jednak: „Ukrainki wstępują do armii głównie nie po to, aby się samorealizować, ale żeby mieć jakiegokolwiek zatrudnienie. Niestety, mężczyźni nie chcą służyć w armii za kiepski żołd, natomiast kobiety zgadzają się na niskie zarobki. Dwa lata temu przeprowadziliśmy badanie ankietowe, żeby dowiedzieć się, dlaczego kobiety wstępują do wojska. Okazało się, że większość z nich pochodzi z rodziny wojskowych, dzięki którym łatwiej im dostać pracę”.

Identyczną tendencję zauważa O. Stiażkina w odniesieniu do kobiet zajmujących się twórczością artystyczną, stwierdzając, że w czasach radzieckich kobiety zaczynały uprawiać zawody twórcze dzięki koneksjom rodzinnym.

Natalia Dubczak opowiada również o codziennych kuriozach związanych z życiem kobiet w wojsku. Na przykład obowiązkowy w kobiecym mundurze krawat mocuje się do koszuli specjalną zapinką w kształcie tryzuba. Projektanci nie uwzględnili jednak, że kobieca koszula zapina się z lewej, a nie z prawej strony, dlatego żołnierki zmuszone są nosić symbol państwowy do góry nogami, co jest obrazą narodowego symbolu. Pani Dubczak przekazała nawet jedną taką koszulę z zapinką jako eksponat do utworzonego niedawno w Charkowie pierwszego ukraińskiego „Muzeum Równości Płci”.

Nowoczesny sposób wychowania dzieci również traktowany bywa jako dziwactwo. Tatiana Isajewa, jedna z inicjatorek utworzenia charkowskiego Muzeum Równości Płci, opowiada w wywiadzie o pewnym eksperymencie – grupie dzieci opowiedziano, że teraz ojciec również może wziąć urlop wychowawczy i poproszono, aby narysowały, jak by to mogło wyglądać. Na dziecięcych rysunkach rodzice zostali przedstawieni w tradycyjnych rolach – mama w fartuchu krzątająca się przy kuchni, tatuś w garniturze zabiera dziecko na interesującą wycieczkę. Żadnemu z dzieci nie przyszło do głowy, żeby rodziców zamienić rolami – żeby tatuś w fartuszu krzątał się przy kuchni, a mamie wręczyć kluczyki do samochodu, żeby mogła zabrać pociechy na interesującą wycieczkę.

Większość publikacji na temat kwestii kobiecych ukazujących się w Ukrainie tradycyjnie kończy się konstatacją smutnego faktu dotyczącego mężczyzn. Według statystyk w Ukrainie mężczyzna żyje średnio 62 lata, czyli o 12 lat krócej od Ukrainki i o 5-6 lat krócej od mężczyzn z krajów zachodnich. Ze wszystkich państw europejskich tylko w Rosji sytuacja przedstawia się gorzej – tam różnica w spodziewanej długości życia kobiety i mężczyzny wynosi 14-15 lat. Dlatego trudno się dziwić, że utrwała się wizerunek Ukrainy jako „państwa dziewcząt-naręczonych”. Z ankiet przeprowadzonych przez czasopismo „Korespondent” wyłania się ideał mężczyzny dla trzydziesto-, czterdziestoletnich Ukrainek: „powinien być mądry, przystojny, uprzejmy, hojny, bogaty, chętny do zeniaczki”.

Zdaniem rosyjskiej narzeczonej taka długa lista wymagań mogłaby się wydawać przesadą. W zeszłym roku spotkałam w pociągu rówieśnicę z Rosji, literaturoznawczynię z Jekaterynburga. Wygłosiwszy dziwaczną tyradę wychwalającą prezydenturę Miedwediewa, która jest błogosławieństwem dla przeciętnego Rosjanina, nagle posmutniała i dość niespodziewanie oznajmiła: „Wszystko dobrze, tylko dzieci nie ma komu rodzić. Wszyscy mężczyźni są pijani, zanim się obejrzysz. Może u was, w Ukrainie, nie jest aż tak źle, ale u nas piją wszyscy na umór”.

Nie pytałam, jak tam u nich wygląda sprawa z feminizmem, ani czy moja rozmówczyni, badaczka folkloru narodów zamieszkujących Ural, czuje się feministką. Nie odważyłabym się, choć może niepotrzebnie.

Tłumaczyła **Anna Kupińska**

Jedzenie i picie

Tania Malarczuk

Kobieta jest tym, co je i pije. Kobięca wolność – to swoboda wyboru jedzenia i picia. W każdym przypadku ta wolność jest niebezpieczna, bo korzystając z niej, kobieta jest w jakimś sensie społecznie upośledzona. Albo popada w obżarstwo albo w alkoholizm. Osobiście nie widzę innej alternatywy.

1.

Obie moje babcie przeżyły głód. Jedna – w 1933 roku, druga – w 1947. Głód radykalnie je odmienił. Babcie na zawsze pozostały „głodne”. Wartość jedzenia wyparła z ich wyobrażeń o szczęśliwym życiu pozostałe wartości. Nakryty stół, spiżarnia zapełniona workami z pszenicą, beczki z kiszoną kapustą i ogórkami, dziesięciolitrowe wiadra z przetopionym wieprzowym tłuszczem – to było wszystko, do czego dążyły w ciągu roku kalendarzowego, co czyniło je szczęśliwymi. Świadome swojego gastronomicznego szczęścia, babcie stawały się dobre i łagodniały, ich twarze jaśniały godnością i szacunkiem do samych siebie. Obie jednak doskonale rozumiały, że nie można przestać się niepokoić. Gastronomiczne szczęście trwa dopóty, dopóki jest pszenica w workach i smalec w wiadrach.

Babcia Jadzia, na przykład, lubiła wychodzić do ogrodu podczas przedłużającej się suszy i narzekać, że na pewno nie będzie urodzaju, że znów będzie głód. Widziałam, że te narzekania sprawiają jej przyjemność. Czasem podejrzewałam, że babcia Jadzia w gruncie rzeczy czeka na głód, że chciałaby, aby znów nastał. Oczywiście po to, żeby pokazać lekkomyślnym dzieciom i wnukom jedyne i najprawdziwszy sens życia – zamieniający się w kawałku chleba.

Babcia Jadzia pozostała niewolnicą okruszków na stole. Po obiedzie dokładnie zgarniała wszystkie okruszki ze stołu i wkładała je do ust. Prawdopodobnie smakowały jej najbardziej i dawały ostateczne nasycenie. Babcia Jadzia mnie też próbowała przekonać do zjadania okruszków ze stołu, a kiedy się opierałam, złościła się i krzyczała. Mówiła, że nic ze mnie nie wyrośnie, że nie mam żadnych szans na to, żeby stać się człowiekiem, bo nie szanuję chleba danego mi

z serca. Kiedy chleba zabraknie – a przecież niebawem może go zabraknąć! – pożałuję, i wtedy wszystko zrozumieć, ale będzie już za późno.

Bardzo lubiłam słuchać babcinych historii o głodzie. Oto Jadzia lat 5: sierota, chodzi po żytomirskim bazarze i zbiera pestki śliwek. Potem rozbija je o kamienie i zjada ich miękkie śródek. Wokół chodzą spuchnięci od głodu ludzie. Na ogół kobiety. Snują się jak zjawy, opierają o ogrodzenia i parkany, żeby nie upaść. I oto Jadzię zabierają do sierocińca. Pewnie dlatego, żeby porzucone dzieci umierały w jakimś jednym miejscu. W przytulku dawano jeść raz dziennie. Jadłospis – zupa fasolowa, przy czym fasolową nazywała się dlatego, że w talerzu z postną wodą pływała jedna, nie wiadomo skąd zdobyta, fasolka. Ostatnia scena: Jadzię przyprowadzają do młodej Żydówki do opieki nad dzieckiem. Jadzia posłusznie stoi w kącie pokoju i czeka na decyzję. Żydówka ogląda chude, umorusane pięcioletnie stworzenie i kłóci się ze swoim mężem. Mówi: Jak ona może opiekować się moim dzieckiem?! A Jadzia myśli sobie: daj mi tylko kawałek chleba, a będę służyła jak pies, będę lizała twoje ręce i stopy, tylko mnie nakarm. Żydówka karmi Jadzię bułką z masłem i Jadzia przez całe swoje późniejsze życie będzie mówiła: „Bułka, i to na dodatek z masłem!”. Przecież wystarczyłaby sama bułka.

Babci Wasyłynie głód 1947 roku szczególnie zapadł w pamięć. W tym roku wyszła za mąż. Miała nawet wesele, choć trudno mi sobie wyobrazić, co na nim podano do jedzenia. Pewnie jakieś placki z lebiody. Wiem, że po północy, kiedy zaproszone dzieci już poszły spać, goście weselni tańczyli „golaka”. O tym babcia Wasyłyna opowiedziała dopiero całkiem niedawno, kiedy uznała mnie za wystarczająco dorosłą, żebym mogła usłyszeć coś takiego. Doskonale potrafię sobie wyobrazić taki „goły” taniec. Dziki taniec śmierci. Jeść nie ma co, to chociaż potańczymy na koniec, jak należy.

Kiedy nadeszła wiosna 1948 roku, babcia Wasyłyna nie miała co posadzić w ogrodzie. Wrzucała do ziemi ziemniaczane obierki zamiast kartofli. I te obierki, o dziwo, wyrósły. Takich wielkich ziemniaków babcia Wasyłyna już nigdy później nie zebrała. Mówiła, że to był cud.

Kiedy na zachodnią Ukrainę przyszła sowiecka władza, babcia Wasyltyna musiała oddawać do kolchozu 200 kilo mięsa. To mniej więc dwa świnia. Babci szkoda było oddawać świnie. Żeby zaspokoić apetyt przewodniczącego kolchozu, w jamie w ogrodzie hodowała króliki. Nikt nie wiedział, ile dokładnie ich było, gdyż rozmnażały się w niesłychanym tempie i rosły do metra długości. Wykopywały tunele i, jak mówiła babcia, wylaziły popaść się, aż pod lasem. Kiedy trzeba było oddać mięso do kolchozu, babcia otwierała jamę i po omacku łapała za uszy pierwszego lepszego królika. Wystarczało dziesięć królików. Babcia Wasyltyna twierdziła, że to był kolejny cud.

Babcia gotowała dziwne potrawy. Na przykład zacierkę – mleczną kaszę z roztartą w jajku mąką. Albo gołąbki z kaszy, zawinięte w liście buraka pastewnego. Albo pierogi z „piórkami” (tak babcia nazywała szczypiorek). Jej najdziwniejsze danie to „kreptyky”, pieczone pierogi ze śledziami. Przygotowywało się je wyłącznie na Boże Narodzenie – i była to w istocie najsmaczniejsza potrawa jaką kiedykolwiek jadłam. Myślę, że Bogu warto byłoby urodzić się wśród ludzi choćby tylko po to, żeby skosztować babcynich „kreptyków”.

Babcia Wasyltyna skończyła zaledwie dwie klasy szkoły – na naukę nie było czasu. W szkole nauczyła się prawidłowo trzymać rękę i podpisywać się krzyżykiem. Nauczyła się na pamięć dwóch wierszy, które monotonnym głosem deklamowała krowom podczas każdego dojenia. Lubiałam leżeć obok na sianie i słuchać tych wierszy. Za każdym razem brzmiały inaczej. Wydawało mi się, że z żadnej książki nie dowiem się niczego więcej.

Przez całe życie babcia Wasyltyna nie opuściła ani razu swojej wsi. Zawsze mówiła, że mądrym można zostać i na swoim podwórzu. Do niej ta zasada stosowała się jak najbardziej. Ona była mądra i dobra. Żyła cicho i bez pretensji. Uprawiła hektary ogrodów, opiekowała się wnukami, raz w tygodniu czesała włosy w mocny warkocz i gotowała swoje pierogi z „piórkami”. I dziś wspominam babcię Wasyltynę jako jedyną znaną mi kobietę, która cieszyła się tym, co miała, bo wiedziała, jak to jest, kiedy nie ma niczego.

2.

W 1991 roku miałam dziewięć lat. Mgliście pamiętam sowieckie czasy, ale wyraźnie to, czego mi brakowało. A brakowało wszystkiego. Gum do żucia, pomarańczy, ubrań, kolorowych flamastrów, lalek, kapronowych rajstop w drobną siatkę, masła czekoladowego, roweru, amerykańskich kreskówek i brazylijskich seriali. Te lata na zawsze pozostaną dla mnie czasem, kiedy brakowało niezbędnych rzeczy. Czasem niezaspokojonych pragnień i dziecięcego obrażania się na kogoś wielkiego i nieznanego, kto nie płaci moim rodzicom pensji. Moja mama oduczyła mnie proszenia o kupowanie czegoś, czego i tak nie mogłam mieć. Siedziałam nad książkami i pisałam namiętne wypracowania szkolne o tym, że prawdziwym szczęściem nie są pieniądze, tylko swoboda idei. Nosiłam sukienki po starszej siostrze i pocieszałam się tym, że cały świat kręci się wokół mnie, bo tylko ja rozumiem jego istotę. Właściwie, tylko ja go rozumiem.

Mama, jak przystało na prawdziwe dziecko szóstej suszy, pragnęła wyłączyć tego, żeby być taką jak wszyscy. Bała się choć minimalnie odstawać od własnych wyobrażeń o przyzwoitości i dobrych manierach. Wszystkie jej spódnice były ciut za kolano. Krótszych lub dłuższych w ogóle nie kupowała. Wszystkie buty miały trzycentymetrowe obcasy, ani wyższe, ani niższe. Jej noworoczna sałatka ziemniaczana przez dziesięciolecia miała te same, niezienne składniki: tania gotowana kielbasa, groszek konserwowy, ziemniaki, marchewka, cebula, dwa jajka i majonez. Całkiem niedawno mama zaczęła dodawać do sałatki średniej wielkości kiszony ogórek. Nie wiem po co. Smak sałatki ani trochę się nie zmienił.

Najczęściej jadałismy ziemniaki. Gotowane, smażone, pieczone, tarte. I takie ziemniaczane dzieciństwo, muszę przyznać, to nie najgorsza alternatywa, ale dziś właściwie zajadam się ryżem polanym sosem sojowym. Żeby odnowić bilans gastronomiczny i obniżyć poziom wpływu ziemniaków na własny światopogląd.

Estetyczny smak mamy w całej pełni ujawniał się jedynie podczas jesienno-przygotowywania sałatek i kompotów. Mama układała półlitrowe, litrowe i trzylitrowe słoiki z najróżniejszymi smakotykami na półkach w korytarzu. Te

słoiki przyciągały mnie do siebie jak magnes. Zwyczajnie lubiłam im się przyglądać, lubiłam je sortować według wysokości, koloru, zawartości. Marynowane pomidory do marynowanych papryk i ogórków. Kompoty z gruszek i wiśni bliżej, a z jabłek i te kwaśne, z winogron dalej, tak żeby nie można było dostać się do nich bez taboretu. Mama pozwalała otwierać przetwory wyłącznie z okazji wielkich świąt, a ja miałam na nie ochotę bez przerwy, każdego dnia, w każdej chwili. Pamiętam, jak pewnego razu nie wytrzymałam i, kiedy nikogo nie było w domu, otworzyłam od razu wszystko, na co miałam ochotę. Jeden kompot, dwie sałatki i marynowane kabaczki. Urządziłam sobie prawdziwy bankiet z muzyką i eleganckim ubraniem: włączyłam odtwarzacz z ulubionym wtedy *Arlekinem* Alfy Pugaczowej, nałożyłam maminą czapkę z norek (uznałam ją za najdroższy element stroju) i przez kilka godzin wyjadałam sałatki i truskawki z kompotu. Mój bankiet musiał wyglądać naprawdę żałośnie, bo mama aż się popłakała, kiedy zastała mnie śpiącą w czapce z norek obok niezaprzeczalnych dowodów popełnionego przeze mnie przestępstwa – czterech pustych słoików.

Ogłoszenie niepodległości Ukrainy nie uczyniło mamy szczęśliwą. Wręcz przeciwnie. Mama okazała się bezradna w walce z nowymi czasami, które wymagały od kobiet jedynie tego, aby umiały dobrze sprzedawać. Wszystkie znajome mamy zaczęły pracować na bazarze. Nasze niewielkie zachodnio-ukraińskie miasteczko przekształciło się w jedno wspólne getto kobiet-sprzedawczyń. Pojawiła się nowa moda – wielkie skórzane kurtki z wieloma kieszeniami, w których wygodnie można było chować zarobione pieniądze. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam rękawiczki z obciętymi palcami – żeby w zimie wygodnie było palić, tupiąc obok rozwieszonych tureckich swetrów w obrzydliwe bordowe kwiaty. Jeden taki sweter dostałam również ja. W ciemności sypały się z niego iskry, a ja myślałam, że posiadam nadludzką moc zapalania wzrokiem przedmiotów.

W trzeciej klasie rozpoczęły się u mnie typowe dla nastolatek problemy z nadwagą, choć mamie, sądząc po jej zachowaniu, to się podobało. Jej córka jest pulchniutka, czyli jada do syta. Mama pieszczotliwie nazywała mnie

„pączusiem” i co niedziela piekła przepyszne pączki z powidłami śliwkowymi. Jadłam za trzech, wymiatałam wszystko po kolei. Makarony, gołąbki, pielmieni, znów makarony, chleb z kielbasą i majonezem, makarony, makarony, makarony. Jedzenie sprawiało mi olbrzymią przyjemność, która leczyła rany, których źródłem był kompleks człowieka drugiej kategorii. Oczywiście, myliłam tuszę z byciem człowiekiem pełnowartościowym. Napelniałam żołądek i zdawało mi się dzięki temu, że nie ma we mnie żadnej pustki.

Dziś mama mieszka przy „Arsenie” – gigantycznym supermarkecie, który znajduje się w odległości pięciu minut drogi pieszo. Mama lubi supermarket „Arsen” jak żywą istotę, prawdopodobnie płci męskiej. Niezależnie od tego, czy lodówka jest pusta czy pełna i możliwości portfela, odwiedza go trzy razy w tygodniu. Uważnie obchodzi półki sklepowe, notuje wszelkie nowinki, czasem pozwala sobie na zamorskie specjały, na przykład butelkę czeskiego piwa. Mama z „Asenem” czuje się przyjemnie. Tak jakby on miał ją w razie konieczności uratować, kiedy, nie daj boże, znów nastaną złe czasy. Mama mówi: kobieta – to supermarket, do którego ona chodzi. Wolność kobiety – to co najmniej dziesięć rodzajów śmietany w dziale z nabiałem.

3.

Tak jakoś się ułożyło, że w 2004 roku przeżyłam jednocześnie dwie rewolucje – rodzinną i ogólnoprawną. Obie wygrałam, choć nie zamierzałam z nikim walczyć.

Na początku roku bez zgody rodziców wyszłam za mąż i uciekałam do Kijowa. Uciekałam w dosłownym sensie. Cała moja przeszłość zmieściła się w niewielkim plecaku, choć, szczerze mówiąc, łatwiej by mi było obejść się bez niego. W kieszeni miałam kilka hrywien na kolejną paczkę papierosów, i to wszystko. Zakochani palacze są zupełnie niewymagający.

Mąż pracował jako dziennikarz telewizyjny w programie śledczym, prawdopodobnie jedynym w owym czasie w miarę obiektywnym. Raz, dwa razy w miesiącu mąż jeździł w delegacje, a ja wpraszałam się, by mu towarzyszyć. Myślałam, że kiedy będę obok nic mu się nie stanie. Że uda mi się go uratować.

W Mukaczewie, podczas pierwszej tury wyborów prezydenckich, na nasz samochód w ciemnościach napadli nieznani, ogoleni na tyso mężczyźni i o mało nie przewrócili auta. W ostatniej chwili udało nam się zamknąć okna i drzwi, pokładając nieuzasadnione nadzieje w wytrzymałość produktu krajowego. Łysych interesowała kaseta z kamery wideo, a mnie interesowało tylko jedno: co to za kraj, który wciąż domaga się ofiar i niczego nie daje w zamian.

Druga tura wyborów minęła nam w Łuzańsku. Od Łużańska do granicy z Rosją można dojść pieszo, choć jak dla mnie, wcale nie trzeba nigdzie iść – cała Rosja jest tutaj – w samym centrum Łużańska, na ulicy Radzieckiej w hotelu „Rosja”. Wynajęliśmy kierowcę rajdowca i on bardzo nam się przydał, kiedy trzeba było uciekać przed zbirami. Czarny jaguar najpierw trzymał się od nas w pewnej odległości, ale potem przykleił się na dobre. Dla kierowcy rajdowca (młody chłopak, nie więcej niż dwadzieścia pięć lat) to pewnie była najbardziej emocjonująca Formuła-1. On się nie bał. Mocno trzymał kierownicę i gnał tak, że aż mi ciemniało w oczach. Przy czym spokojnie stwierdził, że zna właścicieli jaguara. Dzięki bogu, bić nie będą. Po prostu zastrzelą.

Co wtedy jadłam? Przyprawy. W niebывалych ilościach. Wszystkie możliwe, oprócz klasycznego ziela angielskiego i liścia laurowego. Ignorując wszelkie przepisy kulinarne, wrzucałam do dowolnej potrawy po trochę z każdej paczki. A paczek miałam kilkadziesiąt. Współczuję tym, którzy musieli jadać moje niemal przestępcze eksperymenty. Bez opamiętania nadużywałam w kuchni imbiru i rozmarynu. Rozmaryn zostawał między zębami, a imbir piekł w język i przetyk. Od curry usta robiły się pomarańczowe, ale wtedy na szczęście, pomarańczowy kolor był bardzo popularny. Przyprawy stawały się symbolem zmian, na które czekałam od urodzenia. Jedzenie, tak jak życie, nabierało zupełnie innego, niezwykłego smaku. Nawet makaron, po dodaniu oregano, smakował inaczej, a kura z estragonem przypominała spieczoną na słońcu śliwkę.

W dniu, kiedy zaczął się „Majdan”, byłam przyjeżdżającą nie sprawiedliwością i przyszłością kraju, lecz bezpieczeństwem ukochanej osoby. Kobiety idą na barykady mimowolnie, żeby być blisko swoich niemądrych mężczyzn, których

czasem, nie wiedzieć dlaczego, korci bohaterstwo. Na Majdanie dużo było takich mężczyzn. Praktycznie wszyscy moi przyjaciele i znajomi. Dziennikarze, poeci, artyści, fotografowie, wykładowcy uniwersyteccy. Przy nich stały dziewczęta i żony – pozorne rewolucjonistki. I one, jestem o tym przekonana, są dużo groźniejsze w swoim gniewie, bo bronią głów swoich mężczyzn, a nie iluzorycznych, nic nie wartych sloganów politycznych. Czasem, pośród głuchej nocy, myślałam, że oto, zaraz przyjdą i wszystkich rozstrzelają – dziennikarzy, poetów, artystów, wykładowców – a kto zostanie? Ja, na przykład, nie chciałam się znaleźć pośród tych, którzy zostaną. Wydaje mi się, że w takiej grupie dalsze życie byłoby śmiertelnie nudno kontynuować życie.

Nie przechwalam się udziałem w Majdanie, unikam rozmów o pomarańczowej rewolucji, ale bardzo nie lubię, jak inni narzekają: po co i dla kogo walczyliście? Co osiągnęliście? Czy zrobiło się lepiej? Wykorzystano was jedynie w politycznych intrygach jak bezmózgie marionetki. Śmiesz mnie, gdy to słyszę, bo ja nie czuję się ani oszukana ani wykorzystana. Jeszcze żadna rewolucja nie spełniła oczekiwań swoich uczestników. Jej wartość polega na czymś zupełnie innym. Prawdopodobnie na tym, żeby zasmakować chilijskiej papryki na ostrzu tępego noża.

4.

Kobiety, które piją, podobają mi się dużo bardziej, niż kobiety, które jedzą. Choćby strasznie wyglądały kobiece popijawy, ukryta jest w nich jakaś ogromna siła oporu i protestu, niesłychany urok, wywołujący jednocześnie i współczucie, i zachwyt. Rozumiem, dlaczego kobiety są bardziej zagrożone alkoholizmem – one nie mogą zatrzymać się w połowie butelki. Alkohol jest jak rzeka, w której większość brodzi po kolana, ale kiedy wejdzie się po pas, to znosi go nurt. Pijana kobieta zakochuje się w samej sobie, w katastroficznym nastroju i dlatego nad wyraz pięknej. Opadają starannie dobrane maski społeczne i staranny wieczorowy makijaż. To, co na trzeźwo było ważne, po pijanemu ulega zapomnieniu. W końcu ważne

pozostaje tylko jedno pytanie: po co to wszystko? Mężczyźni potrzebują od czasu do czasu być bohaterami, przekonać się od czasu do czasu, że są ważni, a czego potrzebują kobiety? Podejrzewam, że alkoholiczki znają odpowiedź na to pytanie, ale nie mają już artykulacyjnej możliwości, żeby je wyrazić.

Moja sąsiadka, nie wiem nawet jak ma na imię, nigdy nie trzeźwieje. Nie wiem, ile ma lat i czy ma jakąś rodzinę. Z wyglądu przypomina rozczerowanego życiem koszykarza. Jest bardzo wysoka i chuda, krótko ostrzyżona, nosi sportowe buty i sportową kurtkę niezależnie od pory roku. Ma malutkiego jamnika, którego często wyprowadza na spacer pod moimi oknami. Kiedy nadchodzi czas picia, kobieta ożywia się. Zaczepia ludzi na ulicy, głośno coś omawia, co godzinę chodzi do pobliskiego spożywczego po nową porcję najtańszej wódki i śmieje się, śmieje się, śmieje się. Jej picie zawsze kończy się tak samo: kobieta leży bezradnie na korytarzu obok własnych drzwi i prosi wszystkich, kogo zobaczy, żeby pomógł jej otworzyć. Podchodzę, sprawdzam drzwi – zamknięte. Proszę kobietę o klucz. Wtedy ona mówi to, co może powiedzieć wyłącznie alkoholiczka, to, dzięki czemu właśnie bardziej szanuję alkoholiczki niż wiele gorliwych abstynentek. Ona mówi: „Kluczem to ja sama mogę otworzyć drzwi, ty spróbuj bez klucza! Tylko tak mogę pomóc” – i wciśka mi pilota od telewizora.

Nienawidzą jej wszystkie sprzedawczynie w pobliskim spożywczym. Sam sklep to sowiecki przeżytek, w którym są, jak się patrzy, trzy działy i wszystkie trzy są jednocześnie zamykane na remanent. I oto moja sąsiadka alkoholiczka ciągnie do spożywczego w bardzo konkretnym celu – chce kupić coś do wypicia. Długo ogląda asortyment alkoholi, prosi, żeby jej coś pokazać, grzecznie przeprasza i prosi, żeby pokazać coś innego. Sprzedawczyni kipi ze złości, ale się powstrzymuje. Wybucho wtedy, kiedy moja koszykarka prosi, żeby pokazać jej butelkę najdroższego w sklepie wina gruzińskiego. Żeby ją zdjąć z wystawy, sprzedawczyni musi wdrapać się po specjalnej drabinie. Alkoholiczka trzyma butelkę wina jak świętość, ostrożnie zdmuchuje pyłek, uważnie czyta etykietę i – uwaga! – interesuje się, czy butelkę przechowywano w odpowiednich wa-

runkach. Kiedy sprzedawczyni zielenieje ze złości, kobieta z godnością oddaje butelkę i zamawia zwykłą ćwiartkę wódki.

Często mam ochotę porozmawiać z sąsiadką, zapytać ją o coś banalnego, coś w rodzaju: „na czym polega sens życia?”, ale boję się, że ona zwyczajnie roześmieje mi się w nos.

* * * *

Kobieta jest tym, co je i pije. Ciągłe łaknienie i obsesja jedzenia czynią z niej niewolnicę ziemniaków i makaronów, nadmiar wolności – niewolnicę supermarketów. Nie wiem, być może tak właśnie powinno być. Balansując pomiędzy niewolnictwem jednym i drugim, kobieta ma szansę, by coś poczuć, zdziałać, zrozumieć.

Tłumaczyła **Anna Kupińska**

□ Autorkach



Sylwia Chutnik (1979) – absolwentka Instytutu Kultury Polskiej i Gender Studies Uniwersytetu Warszawskiego. Od lat dziewięćdziesiątych działa aktywnie w ruchu kobiecym, jest współzałożycielką Fundacji MaMa (2006), która działa na rzecz praw matek. Jest autorką powieści *Kieszonkowy atlas kobiet* (2008), za którą otrzymała nagrodę Paszport Polityki w dziedzinie literatury. W 2009 roku książka była także nominowana do nagrody literackiej NIKE.



dr Agnieszka Graff (1970) – jest adiunktem w Ośrodku Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie prowadzi zajęcia z zakresu literatury i kultury amerykańskiej. Od lat uczy też w ramach Gender Studies UW. Absolwentka Amherst College, Oksfordu i Szkoły Nauk Społecznych przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN (doktorat: 1999); autorka dwóch książek: *Świat bez kobiet. Płeć w polskim życiu publicznym* (2001) i *Rykoszetem. Rzecz o płci, seksualności i narodzie* (2008) oraz licznych artykułów poświęconych myśli feministycznej, płci w kulturze popularnej i ruchowi kobiecemu w USA i w Polsce. Stypendystka Fundacji Fulbrighta (2004/2005), w ramach programu "New Century Scholars: Towards Equality. The Global Empowerment of Women". Współpracuje z Helsińską Fundacją Praw Człowieka, jest członkinią zespołu Krytyki Politycznej.



Anna Grusková (1962) – autorka sztuk teatralnych i słuchowisk radiowych oraz scenariuszy filmów dokumentalnych zrealizowanych i prezentowanych w Słowacji, Republice Czeskiej i Austrii. Z wykształcenia teatrolożka, absolwentka Uniwersytetu Karola w Pradze, pracuje także jako dyrektorka teatru i dziennikarka, mieszka w Bratysławie.



Mirjam Hirsch (1982) – studiuje Gender Studies i historię współczesną na Uniwersytecie im. Humboldta w Berlinie, zajmuje się tangiem argentyńskim i problematyką społeczno-kulturowej tożsamości płci, ruchami społecznymi i feministycznymi w Europie i Ameryce Łacińskiej oraz współzależnościami między seksizmem, rasizmem, (neo)kolonializmem i kapitalizmem. Działa w międzynarodowym ruchu feministycznym, antyrasistowskim i antykapitalistycznym.



Petra Hůlová (1979) – ukończyła kulturoznawstwo i mongolistykę na Uniwersytecie Karola w Pradze. Jest autorką kilku powieści *Paměť mojí babičce* (2002, polskie wydanie: *Czas czerownych gór* ukazało się w 2007 roku), *Přes matný sklo* (2004), *Cirkus Les Mémoires* (2005), *Umělohmotný třípokoj* (2006) and *Stanice tajga* (2008), tłumaczonych na język angielski, niemiecki, francuski, węgierski, holenderski, polski.



dr Kateřina Jacques (1971) – członkini czeskiej partii Zielonych (Strana zelených). W 2006 roku została wybrana do izby deputowanych w parlamencie czeskim, wcześniej była dyrektorką departamentu praw człowieka w kancelarii premiera. W latach 1994-2002 studiowała politologię i germanistykę na Uniwersytecie Karola w Pradze, w 2006 roku obroniła doktorat z politologii.



Jana Juráňová (1957) – słowacka pisarka, feministka i współzałożycielka ASPEKTU, pierwszej feministycznej organizacji w Słowacji. Ukończyła anglistykę i rusycystykę na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie. Jest autorką sztuk teatralnych *Salome* (1989), *Misky strieborné, nádoby výborné* (1997) i powieści *Zverinec* (1994), *Siete* (1996), *Utrpenie starého kocúra* (2000), a także książek dla dzieci *Iba baba* (1999), *Bublíny* (2002), *Babeta ide do sveta* (2003), *Ježibaby z Novej Baby* (2006). Powieść *Orodovnice* (2007) była nominowana do najbardziej prestiżowej nagrody literackiej w Słowacji Anasoft Litera 2006. Najnowsza powieść *Žila som s Hviezdoslavom* również była nominowana do tej nagrody w 2009 roku. Tłumaczyła na słowacki książki Margaret Atwood, Judith Butler i Virginii Woolf.



Ľubica Kobová (1978) – filozofka, pisze doktorat na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie, absolwentka Gender Studies na Uniwersytecie Środkowo-europejskim w Budapeszcie. Współpracuje z ASPEKTEM w Bratysławie od 1998 roku, jest współautorką kilku publikacji ASPEKTU, m.in. *Aká práca, taká pláca?*

Aspekty rodovej nerovnosti v odmeňovaní (2007), *Kradmá ruka feministky rozvažuje za plentou*. *Aspekty parlamentných volieb* (2007), *Histórie žien*. *Aspekty písania a čítania* (2007), *Žena nie je tovar. Komodifikácia žien v našej culture* (2005), *Lesby-by-by*. *Aspekty politiky identít* (2004). Zajmuje się filozofią społeczną i polityczną, teorią feminizmu i teorią queer. Stypendystka Fundacji Fulbrighta (2008/2009) w Women's and Gender Studies Department na Uniwersytecie w Rutgers (USA).

Tania Malarczuk (1983) – ukończyła filologię ukraińską na Uniwersytecie Wasyla Stefanyka Prykarpatskiego w Iwano-Frankowsku. Od 2004 roku mieszka w Kijowie. Jest autorką czterech powieści *Endspiel Adolfo abo Troyanda dla Lizy*, *Zhory vnyz (knyha strahiv)*, *Jak ja stała sviatoju*, *Hovoryty*. W 2006 roku otrzymała ukraińską nagrodę BBC za książkę roku.



Rita Pawłowski (1941) – dziennikarka, od 1977 roku pracowała w różnych oddziałach Związku Kobiet NRD (Frauenverband der DDR); do 1989 roku pełniła funkcję referentki ds. kontaktów z prasą w zarządzie federalnym DFD. Po 1990 roku przez kilka lat pracowała w archiwach kobiet w Wiesbaden i Berlinie, była kilkakrotnie bezrobotna, a od 2001 roku jest na emeryturze i mieszka w Berlinie.



prof. Jirina Šiklova (1935) – socjolożka i publicystka, członkini opozycji demokratycznej w byłej Czechosłowacji, sygnatariuszka Karty 77, aresztowana za przewożenie przez granicę zakazanych książek dysydenckich, uczestniczka Praskiej Wiosny w 1968 roku i zwolniona z Wydziału Socjologii Uniwersytetu Karola w Pradze, którego była współzałożycielką. Po 1989 roku wróciła na uczelnię, gdzie założyła Instytut Socjologii Pracy. Jest założycielką Gender Studies, pierwszej feministycznej organizacji w Republice Czeskiej, autorką wielu artykułów i dwóch książek *Deník staré paní* (2003) and *Dopisy vnučce* (2007). W 1995 roku została uhonorowana tytułem „Kobieta Europy” za zasługi dla integracji europejskiej.

Jana Simon (1972) – dziennikarka i pisarka. Pracowała dla niemieckiej telewizji ZDF oraz gazet „Der Spiegel”, „Berliner Zeitung”, od 1997 roku związana z „tagesszeitung”. W 2001 roku została nagrodzona nagrodą Axel-Springer-Preis dla młodych dziennikarzy. Absolwentka italianistyki i politologii, studiowała w Berlinie i Londynie. Jest autorką kilku książek, m.in. *Denn wir sind anders. Geschichte des Felix S.* (2002), *Alltägliche Abgründe: Das Fremde in unserer Nähe. Reportagen und Porträts* (2004).



Natalka Śniadanko (1973) – tłumaczka i dziennikarka, pisarka, mieszka we Lwowie. Tłumaczyła na język ukraiński polskich autorów, m.in. Zbigniewa Herberta, Jarosława Iwaszkiewicza, Czesława Miłosza, Jana Brzechwę, Olę Tokarczuk, a także autorów niemieckich, m.in. Franza Kafkę, Friedricha Dürrenmatta, Güntera Grassa, Stefana Zweiga. Jej powieści ukazały się także w Polsce (m.in. *Ahathanhel* i *Kolekcja namiętności*, Rosji, Republice Czeskiej, Niemczech, Austrii, Belgii i Białorusi).



dr Bożena Umińska-Keff (1948) – poetka, pisarka, eseistka, nauczycielka akademicka. Z wykształcenia polonistka i filozofka. Interdyscyplinarną pracę doktorską obroniła w Instytucie Badań Literackich PAN. Od początku powstania Gender Studies na UW przy Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych, uczy na UW i innych uczelniach zajmując się interdyscyplinarną humanistyką. Pracuje w Żydowskim Instytucie Historycznym. Autorka książek: *Postać z cieniem. Portrety żydówek w polskiej literaturze* (2001), *Barykady. Kroniki obsesyjne* (2006) oraz tomów poezji: *Razem osobno* (1986), *Sen o znaczeniu snów* (1995), *Nie jesteś gotowy* (2000). Za *Utwór o matce i ojczyźnie* (2008) była nominowana do literackiej Nagrody NIKE w 2009 roku.

Heinrich Böll Stiftung z siedzibą w Berlinie jest niemiecką fundacją polityczną, bliską partii Sojusz 90/Zieloni.

Podstawowym zadaniem Fundacji zarówno w kraju, jak i za granicą, jest edukacja obywatelska, której celem jest popieranie kształtowania postaw demokratycznych, zaangażowania społeczno-politycznego i porozumienia pomiędzy narodami. Kieruje się przy tym swymi podstawowymi wartościami: ekologią, demokracją, solidarnością oraz wolnością od przemocy.

W regionie Europy Środkowej, m.in. w Polsce, Fundacja działa od ponad 10 lat.

Przedstawicielstwo Fundacji im. Heinricha Bölla w Polsce zainaugurowało działalność na początku 2002 r., w końcowej fazie rokowań związanych z przystąpieniem do Unii Europejskiej państw z regionu Europy Środkowej. Jednym z zadań Przedstawicielstwa było obserwowanie i wspieranie działań na rzecz uwzględniania perspektywy równości kobiet i mężczyzn w procesie integracji tych państw z UE. Po rozszerzeniu Unii Europejskiej tematyka kobieca wciąż stanowi główne zainteresowanie Fundacji im. Heinricha Bölla, jednak już od 2003 r. zadania Przedstawicielstwa zostały rozszerzone o tematy takie jak wspólna polityka zagraniczna Unii Europejskiej, polityka energetyczna i ochrona klimatu oraz demokratyczny rozwój Ukrainy.

Przedstawicielstwo inicjuje i wspiera społeczno-polityczną debatę w Europie Środkowej i Wschodniej (Polsce, Czechach, Słowacji i Ukrainie) także z perspektywy innych „zielonych” tematów.

Więcej informacji o naszych aktywnościach na

www.boell.pl oraz **www.boell.de**

Dwudziestolecie przełomu roku 1989 skłania do rocznicowych podsumowań. Pomimo dwudziestu lat demokratycznej transformacji kobietom nie udało się w sferze życia publicznego zniwelować na tyle dzielącego je od mężczyzn dystansu, aby ich głos w debacie publicznej był wyraźnie słyszany – a ponadto – ocena minionych dwóch dekad z perspektywy kobiet nie do końca wpisuje się w klimat rocznicowego święta. Jest bowiem pewnym paradoksem, że dla kobiet z krajów byłego bloku wschodniego odzyskana w roku 1989 wolność wiązała się często ze znacznym ograniczeniem praw ekonomicznych, socjalnych i reprodukcyjnych.

Wobec deficytu debaty publicznej na temat roli kobiet w okresie przemian, publikacja Przedstawicielstwa Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie podejmuje próbę wielowątkowego dialogu o doświadczeniach transformacji, oddając głos kobietom. Autorki publikacji oceniają minione dwudziestolecie reform z punktu widzenia kobiet z byłych krajów bloku wschodniego: Czech, Polski Słowacji, Ukrainy i w byłych Niemiec Wschodnich – i na tym tle – z perspektywy osobistych doświadczeń. Publikacja stanowi zarazem platformę międzypokoleniowego dialogu, albowiem autorki reprezentują różne pokolenia. W publikacji przeplatają się teksty osobiste z bardziej teoretycznymi rozważaniami, zaś teksty literackie stanowią niejednokrotnie dopełnienie bardziej obiektywnych prób opisu minionych dwudziestu lat. Wśród autorek publikacji m.in. Sylwia Chutnik, Agnieszka Graff, Petra Hůlová, Jiřina Šiklová, Natalia Śniadanko, Bożena Umińska-Keff i in.